



ROMANSE
KAWY
POLSKA

Sposób na kłopoty

CARA SUMMERS
JENNIFER DREW



Harlequin® na życzenie

Sposób na kłopoty

CARA SUMMERS
JENNIFER DREW

Dwie bestsellerowe powieści
najlepszych autorek romansów!



Cara Summers



Szczęście i brylanty

Tytuł oryginału: *The Life of Riley*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Źle się dzieje w państwie duńskim!

- Pod tym względem masz zupełną rację. - Riley nawet nie zadała sobie trudu, żeby spojrzeć na papugę, która przycupnęła na oparciu stojącego w pobliżu kuchennego krzesła. Bard zazwyczaj komentował wszystkie wydarzenia pod warunkiem, że znalazł dobry cytat z Szekspira. I tym razem trafił w dziesiątkę.

Riley wyjęła z plecaka dwie małe torebki. W plastikowej była kanapka, już mocno nadgryziona zębem czasu, z zieleńjącą szynką. Stanowiła dowód rzeczowy na to, że Ben - brat Riley - przez pomyłkę znów wziął nie swój plecak. Jaka niespodzianka kryła się w papierowej?

- Źle się dzieje w państwie duńskim!

- Tak, wiem. Zaraz to wyrzucę.

W chwili kiedy wyrwała kanapkę z jej środowiska, przed lodówką poruszyła się góra gęstego futra. Błysnęły oczy i rozległo się głuche warczenie.

- Nie, Beowulfie. Nawet o tym nie myśl.

Riley błyskawicznie wrzuciła kanapkę do kosza na śmieci pod zlewem i zatrzasnęła drzwi szafki.

- Zgnilce nie należą do psiego jadłospisu.

Poklepała futrzany łeb i z zaciekawieniem spojrzała na papierową torbę.

- Być albo nie być... Oto jest pytanie - skonstatował Bard.

- Nie. Pytanie brzmi: mam tam zajrzeć?

Wcale nie chciała się mieszać do prywatnych spraw Bena. Brat i stryj pracowali razem - ale każdy na pół etatu - w prowadzonych przez nią „usługach dla zwierząt”, Foster Care. Żeby wszystko szło sprawnie, każdemu przydzieliła oddzielny plecak, z kalendarzem dyżurów, wszelkimi instrukcjami, karmą i kluczami do mieszkań klientów. Przez ostatnie pół roku zdążyła się dowiedzieć, że takie rozwiązanie nie daje rezultatów. Przynajmniej nie w przypadku jej brata i stryja. Ci dwaj ciągle mylili plecaki i wiele rzeczy trzeba było powtarzać od początku.

Lecz to nie wyjaśniało sprawy papierowej torby. Riley zawsze używała plastikowych. Wysypała zawartość na stół i przez dłuższą chwilę wpatrywała się ze zdumieniem w brylantową broszkę. Z niepokojem zmarszczyła brwi. Była prawie pewna, że ją już gdzieś widziała. W ciągu ostatnich kilku tygodni czworo jej klientów zameldowało o różnych kradzieżach. Wczoraj była u niej policja. Riley znalazła się na pierwszym miejscu listy podejrzanych. Stryj Avery stwierdził wręcz, że powinna wynająć adwokata. Riley nie zamierzała jednak pójść za jego radą. Żaden klient mimo wszystko nie uważał jej za złodziejkę. Wzięła broszkę do ręki i w tej samej chwili zadzwonił telefon.

Sięgnęła po słuchawkę.

- Foster Care, słucham?

Uniosła broszkę do światła.

- Mówi kapitan Duffy - warknął głos po drugiej stronie. - Pani Foster?

- Tak - odparła. W tej samej chwili rozpoznała broszkę. Drobinę światła odbitego od brylantów zatańczyły na przeciwległej ścianie. Klejnot wymknął się ze zdrtwiałych palców Riley i z cichym stukiem upadł na podłogę.

Beowulf szczechnął krótko.

- Źle się dzieje w państwie duńskim - zauważył Bard.

Riley z osłupieniem spoglądała na broszkę, którą już kilkakrotnie widziała u Hattie Silverman.

- Dokonano następnej kradzieży. Przed chwilą dzwoniła jedna z pani klientek, Hattie Silverman. Proszę przyjść dzisiaj na posterunek, punktualnie o wpół do drugiej - warknął kapitan Duffy.

Riley klęknęła na podłodze. Próbowwała sobie przypomnieć szczegóły ostatniego spotkania z Hattie. W głowie wirowało jej od natłoku myśli. Skąd ta broszka w plecaku Bena? Jak to teraz wyjaśnić policji?

- Nie wiem, czy pan mi uwierzy, kapitanie... - zaczęła. Podniosła broszkę i wstała. - Ale...

- Żadnych wykrętów - uciął Duffy. - O wpół do drugiej. Jeśli pani nie przyjdzie, to wyślę po panią patrol. Zrozumiano?

- Ale...

- Hattie Silverman zeznała, że jej zdaniem, nie ma pani z tym nic wspólnego - ciągnął Duffy. - Wiem jednak, że była pani wczoraj w jej mieszkaniu. Wyprowadzała pani psa, gdy pani Silverman poszła do lekarza. Czy to prawda?

Już drugi raz w ciągu paru sekund broszka upadła na podłogę. Riley nie mogła zapanować nad drżeniem dłoni.

- To prawda - skłamała. Wcale nie była u Hattie. Wczoraj wypadła dyżur Bena.

- O wpół do drugiej - przypomniał Duffy i odłożył słuchawkę.

Strach chwycił Riley za gardło. Przecież to niemożliwe... Owszem, w ostatnich dniach dość często sprzeczała się z Benem. Chodziło głównie o jego naukę. Ale to przecież nie powód, żeby go zaraz podejrzewać o

kradzieże w domach klientów! Musi być jakieś inne wyjaśnienie tej całej afery.

- Źle się dzieje w państwie duńskim! Z namysłem popatrzyła na brylanty.

- Oj, co prawda, to prawda...

Pisnęło jakieś przestraszone zwierzę. Riley Foster mimochodem spojrzała przez ramię i w tej samej chwili zderzyła się z idącym tuż za nią mężczyzną. Przez moment miała wrażenie, że wpadła na skałę.

- Przepraszam - wymamrotała i uniosła głowę. Prawdziwy twardziel, pomyślała. Ujrzała przystojną twarz, okoloną długimi, zaczesanymi za ucho, ciemnymi włosami. Ważniejsze jednak były jego oczy. Gdzieś już widziała podobne, chłodne i niemal hipnotyzujące spojrzenie... Wtem sobie przypomniała. To był wzrok drapieżnika z dżungli, patrzącego na swoją ofiarę.

- Nic się pani nie stało?

Ostry, lekko chropawy głos doskonale pasował do tego wizerunku. Riley powstrzymała odruch, żeby odwrócić się i uciec. Przypomniała sobie, co naprawdę było przyczyną zderzenia.

- Wszystko w jak najlepszym porządku - odpowiedziała prędko, chociaż prawdę mówiąc, już dawno nie było jej tak... dziwnie po zwyczajnym skądinąd wypadku. Szerokim łukiem ominęła „skałę” i w tłumie przechodniów szybko przeszła przez jezdnię na zielonym świetle. W porze lunchu ciepły wiosenny dzień wyciągnął z biur większość urzędników pracujących na Manhattanie. Teraz już pomału wracali do swoich zajęć.

Riley z niepokojem spojrzała na zegarek. Pierwsza dwadzieścia. Zostało jej dziesięć minut do spotkania z kapitanem. Dobrze wiedziała, że nie może się spóźnić. Jeszcze nie podjęła ostatecznej decyzji, co zrobić w

sprawie skradzionej brylantowej broszki Hattie Silverman. Raczej nie mogła oddać jej policji. Chciała uniknąć aresztowania. Ostatnie przesłuchanie aż nadto wskazywało, że uważają ją za podejrzaną.

Rozejrzała się po ulicy. Zaczęła nadśluchiwać. Do jej uszu dobiegła kakofonia dźwięków - jęk klaksonów, wyrwane z kontekstu strzępki rozmów, długie syczenie otwieranych drzwi autobusowych... Nagle znów rozległ się przyciszony pisk wystraszonego kota. Dobiegał chyba z wąskiej przecznicy, którą przed chwilą minęła.

Riley mocniej zacisnęła rękę na pasku plecaka i zawróciła. Przystanąła na moment u wylotu zaułka, a potem zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie. Jasne kwietniowe słońce zupełnie zniknęło za wysokimi ścianami okolicznych domów. Po pięciu krokach zobaczyła jakieś poruszenie w pobliżu muru. Podeszła bliżej i przykucnęła przed potarganą kotką.

- Wszystko w porządku - powiedziała łagodnie. Przysunęła się o centymetr, lecz w tej samej chwili kotka parsknęła gniewnie i uciekła.

Na szczęście pobiegła w głąb ślepego zaułka. Przycupnęła w kącie, wśród pokruszonych cegieł.

- Wszystko w porządku - powtórzyła Riley i powoli poszła za kotką. Zwierzak zamiauczał przeraźliwie.

- Tak, wiem, że się bardzo boisz. Chyba stoczyłaś ciężką bójkę - mruknęła, widząc na grzbiecie zwierzęcia powyrywane płatki sierści. Kotka jednak miała bystre spojrzenie i nie wyglądała na chorą. Trzęsła się tylko jak galareta.

- Ciekawe, jak teraz wygląda twój przeciwnik - powiedziała Riley uspokajającym tonem. Powoli wsunęła rękę do plecaka i wyciągnęła nieco suchej kocięj karmy. - Założę się, że jesteś głodna.

Położyła jeden okruch jakieś pół metra od siebie, a pozostałe układała coraz bliżej, tworząc z nich ścieżkę. Kotka ostrożnie powąchała karmę i łapczywie ją chwyciła. Riley obserwowała z ulgą, jak zbliżała się w jej stronę. Ostatni okruch leżał na jej dłoni.

- Wiesz co? Nauczyłam się tej sztuczki w kinie, kiedy po raz pierwszy widziałam „E. T. ” - przyznała. Miękkim ruchem chwyciła kotkę za kark, przytuliła do siebie i wolną ręką otworzyła plecak. Schowała zwierzę do środka. Z doświadczenia wiedziała, że musi je dobrze zamknąć, bo uciekłoby przy pierwszym hałasie.

- Już... - mruknęła. Sprawdziła, czy kotka będzie miała dość powietrza.

- Ładny plecak, mała.

Riley drgnęła. Powoli uniosła się z kolan i spojrzała za siebie. To, co zobaczyła, napełniło ją strachem. U wylotu zaułka stało dwóch chłopaków. Obaj barczyści i krótko ostrzyżeni. Kiedy podeszli bliżej, zrozumiała, że nie czeka jej nic dobrego. Młodszy z nich miał nie więcej niż dwanaście lub trzynaście lat, starszy był w wieku jej brata. Zapewne szesnastolatek.

- Tylko nie próbuj wrzeszczeć - warknął starszy.

Miała tak zaciśnięte gardło, że nie mogłaby krzyczeć, nawet gdyby chciała.

- Odłóż plecak i wyskakuj z kurtki - zakomenderował młodszy.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie włązi w ciemny zaułek. Przynajmniej nie na Manhattanie. Jack DeRosa z ponurym wyrazem twarzy spoglądał za dziewczyną znikającą w wąskiej przecznicy. W takich miejscach dzieją się złe rzeczy. Zimny pot oblał mu czoło na wspomnienie pewnej okropnej nocy. Nie ma powodu o tym myśleć... Już lepiej się zająć dziewczyną. Co by się stało, gdybym tak nie przystanął i nie popatrzył za nią? - dumał Jack. Skąd mi to przyszło do głowy? Przecież w granie rzeczy

nie była najładniejsza. Miała dość krótkie włosy, ale jej oczy... Urzekające, czyste, niebieskie i głębokie. Na ich widok ciarki przebiegły mu po plecach.

Po co włąziła w tę uliczkę? Jack zmarszczył brwi i odruchowo przyspieszył kroku. Z jej zachowania wnosił, że zrobiła to celowo. Chciała się z kimś spotkać? W zaułkach Nowego Jorku załatwiano wiele nielegalnych i pokątnych sprawek.

Ledwo dotarł do rogu, zobaczył trzy postacie w pobliżu ceglanej ściany. Lata pracy w policji zmusiły go do działania. Odruchowo przywarł do muru i sięgnął ręką do pasa po pistolet. Lecz dłoń zawisła w próżni. Przypomniawszy sobie, że przecież nie ma broni. Nie pełnił służby, bo był na zwolnieniu lekarskim. Dał krok naprzód, nie zwracając uwagi na coraz ostrzejsze klucie w biodrze. Rzutem oka ocenił sytuację. Dwóch małolátów z jakiegoś młodzieżowego gangu. Na pewno obaj uzbrojeni. Nie w pistolety, bo już dawno by je wyciągnęli, ale w noże. Ich dwóch, ona jedna. Mógł liczyć tylko na element zaskoczenia.

Powoli przesuwając się wzdłuż muru. Młodszy chłopak chwycił za pasek plecaka. Dziewczyna szarpnęła plecak z powrotem. Jack odskoczył od ściany i puścił się biegiem. Biodro rwało go coraz bardziej przy każdym następnym kroku.

- Dwóch na jedną? - zapytał, przystając. - To nie fair.

Starszy chłopak odwrócił się błyskawicznie. Jack zauważył nóż w jego dłoni. W tej samej chwili świat zawirował mu przed oczami. Zaułek stał się ciemniejszy, smród śmierci bardziej dotkliwy... Powróciły wspomnienia. Strach zmroził mu krew w żyłach i spowolnił ruchy. Niemal cudem uniknął pierwszego ciosu nożem. Drugie cięcie rozdarło mu rękaw marynarki. Zrobił unik w prawo i poczuł, że lewa noga mocno się pod nim ugięła. Szybko przerzucił ciężar ciała na prawą, zdrową nogę, a mimo to miał

wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie. Ostrze noża z zabójczą precyzją zmierzało w stronę jego brzucha... W ostatniej chwili usłyszał przenikliwy krzyk - krzyk strachu i bólu - i obudził się z odrętwienia.

Skoczył w lewo, odwrócił się na pięcie i z całej siły uderzył chłopaka w szyję. Tamten jak podcięty przewrócił się na ziemię. Jack sięgnął po kajdanki. Niestety, też ich nie miał.

Znowu krzyk. Dziewczyna stała plecami do ściany i w wyciągniętych rękach trzymała pistolet. Chłopak przyciskał ręce do oczu i cofał się po omacku. Dziewczyna minęła go i podbiegła do Jacka. Wycelowała broń w dźwigającego się na kolana drugiego z napastników.

- Liczę do trzech i już was tu nie ma! Raz... dwa...

Chłopak zerwał się i umknął co sił w nogach. Drugi został na miejscu i wył rozpaczliwie. Dziewczyna podeszła do niego.

- To tylko ocet - powiedziała. - Najlepiej przemyj oczy, to przestanie cię szczypać.

Jack oniemiał. Przez chwilę gapił się na nią w osłupieniu. Ocet?!

- Mam chusteczki w plecaku - dodała.

- Chusteczki? - Jack złapał chłopaka za rękę i wykręcił mu ją na plecy.

- Co ty wyprawiasz? - zaprotestowała dziewczyna.

- Zabieram go na posterunek. To tylko dwie przecznice stąd.

- Nie. Puść go.

Jack uważnie spojrział na pistolet. Z tej odległości widział, że to tylko sikawka, ale nie miał ochoty dostać octem w oczy.

- Próbowali cię obrabować. Powinnaś złożyć skargę.

- Ani mi się śni. Zostaw go. Nie widzisz, że to tylko dzieciak?

Jack później zachodził w głowę, co spowodowało, że uległ jej prośbie. Może sprawiło to spojrzenie jej niezwykłych niebieskich oczu? A może coś

szczególnego w całym jej zachowaniu? A może rozpacz chłopaka, który spoglądał na nich zafascynowanym i wystraszonego wzrokiem.

- Masz kupę szczęścia, draniu - mruknął Jack, puszczając jego rękę.

Wyrostek jak oparzony pognął w ślad za kumplem.

- Dziękuję - powiedziała Riley.

- Jeśli już chcesz mi podziękować, to podziękuj raczej za to. - Jack zręcznym ruchem wyłuskał pistolet z jej dłoni i schował go do kieszeni.

- Hola! Nie będę miała czym się bronić! - zaprotestowała gorąco.

- Ten pistolet wcale nie służy do obrony. To zabawka dająca fałszywe poczucie bezpieczeństwa. - Wziął dziewczynę za ramię i pociągnął w stronę wylotu zaułka.

- Tak? Lecz ta „zabawka”, jak ją nazywasz, wybawiła nas z niezłej opresji.

- Po prostu miałaś szczęście... - Zachwiał się lekko i zaklął pod nosem.

- Jesteś ranny? Dziabnął cię nożem w nogę?

- Nie. To stare dzieje. - Sam nie wiedział, jak to się stało, że poczuł jej dłoń w swoim ręku. Miała mocny i chłodny uścisk. Ciekawa rzecz, że wcale go to nie zdziwiło.

- Potrzebujesz lekarza? Może wezwiemy pogotowie?

- Nie. - Zły na siebie, gwałtownie cofnął rękę i pokuśtykał w kierunku ulicy. Dość miał lekarzy i szpitali. Z nasilenia bólu wywnioskował, że jeszcze przez najbliższe dni przyjdzie mu utykać. Diabli nadali...

- Nie powinieneś łązić po zaułkach, póki zupełnie nie wydobrzejesz - zauważyła Riley.

- Nie powinienem? Przecież poszedłem tam za tobą!

- Po co? To niebezpieczne. A teraz bądź tak łaskaw i oddaj mi pistolet.

Jack tępo popatrzył na jej wyciągniętą rękę. Potem zerknął w jej niebieskie oczy. I to był najgorszy błąd.

- Posłuchaj mnie... - westchnął ciężko. - Zaraz ci powiem, co zrobię. Zostawię tę zabawkę w depozycie u sierżanta na najbliższym posterunku policji. Odzyskasz swoją własność, kiedy przyniesiesz zaświadczenie, że skończyłaś kurs samoobrony.

- Samoobrony?! Nie mam czasu...

- To znajdź. - Obrzucił ją najgroźniejszym policyjnym spojrzeniem. - W przeciwnym razie każda następna włóczęga po zaułkach może okazać się ostatnią.

Spacer na posterunek trwał o wiele dłużej, niż Jack się spodziewał. Wciąż utykał i biodro bolało go jak diabli. Dyszał ciężko przy każdym kroku. Fizykoterapeuta zalecił mu serię ćwiczeń dwa razy w tygodniu dla wzmocnienia mięśni. Noga powinna być już dawno zdrowa. Jack przystanął i rozmasował obolałe biodro. Nie chciałbym, żeby Duffy cokolwiek zauważył, pomyślał. Ale na pewno się przyczepi...

Jack zatrzymał się przed drzwiami pokoju na pierwszym piętrze i wziął głęboki oddech. Musiał jakoś przekonać szefa, że może już wrócić do pracy. Oszalałby, gdyby przez kolejny miesiąc miał siedzieć w domu. Zamknął oczy i zaczerpnął tchu. Nie chciał już myśleć o tamtej wariatce. Jak tylko weszli na posterunek, zostawił ją z sierżantem. Kazał jej przejrzeć wszystkie broszury o kursach samoobrony.

Pchnął drzwi i wszedł do środka. W nozdrza uderzył go zapach przypalanej kawy, starych kanapek i dymu z papierosów. Nareszcie w domu, pomyślał, przeciskając się ciasno stojącymi biurkami. Kilka z nich było pustych, lecz na jego miejscu ktoś siedział, Co gorsza - ktoś, kogo Jack nie znał.

- DeRosa!

Jack jęknął w duchu. Odwrócił się i zobaczył szczupłą brunetkę w starannie skrojonym brązowym kostiumie. Gdyby wierzyć raportom, Alexandra Markham była jedną z najlepszych policjantek w mieście. On jednak wcale nie pochwalał jej metod. Myślała tylko o własnej karierze

I „po trupach” zmierzała do celu. Błysnęła zębami w olśniewającym uśmiechu.

- Duffy był tutaj jakieś dziesięć minut temu - powiedziała ściszym głosem. - Nie wyglądał na zachwyconego, kiedy dowiedział się, że cię jeszcze nie ma.

Jack głośno przełknął ślinę. Szef należał do tych uparciuchów, którzy cenili punktualność na równi z inteligencją. A niech to...

- Kogo posadził mi za biurkiem? - spytał, żeby zmienić temat.

Oboje weszli w głąb korytarza wiodącego do biura kapitana.

- To tylko tymczasowy przydział. Nazywa się Carmichael. Przyszedł do nas na miesiąc, chyba że nieco dłużej zostaniesz na zwolnieniu.

- Myślałem, że może Duffy już dziś przywróci mnie do służby.

Popatrzyła na niego z wyraźnym zaskoczeniem.

- A jak twoja noga?

- Prawie dobrze. - Byłoby jeszcze lepiej, gdyby nie ta przekłeta przygoda w zaułku, dodał w duchu. I pewnie bym się nie spóźnił.

- Nie powinienes jej forsować, Jack - powiedziała Alexandra z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Markham!

Odwrócili się jak na komendę. Carmichael odłożył właśnie słuchawkę telefonu i uniósł się zza biurka Jacka.

- Dzwonił facet z lombardu, w którym byliśmy wczoraj. Chce nam coś pokazać.

Alex zerknęła na Jacka.

- Wiem, że nie lubisz żadnych porad, ale moim zdaniem, nie powinieneś wracać, póki nie będziesz zdrowy na sto procent. - Uśmiechnęła się. - No, muszę lecieć. Nie bój się kapitana.

Jack odprowadził ją wzrokiem, zadowolony, że nie czekała na odpowiedź. Nie chciał się przyznać, nawet przed samym sobą, do obaw, że już nigdy nie będzie zdrowy na sto procent. Trzasnęły otwierane drzwi.

- DeRosa! - warknął Duffy.

Jack odwrócił się i ostrożnie wszedł do biura. Duffy wskazał mu krzesło, zamknął drzwi i sam przysiadł na skraju biurka.

- Spóźniłeś się i wciąż kulejesz - stwierdził sucho.

- W obu przypadkach przyznaję się do winy - odparł Jack. Nie było najmniejszego sensu szukać usprawiedliwienia.

- No i co? - burknął Duffy. Postukał palcem w zegarek. - Zarezerwowałem dla ciebie cały kwadrans. Zostało ci z tego pięć minut.

- Chcę wrócić do służby.

Duffy parsknął pod nosem.

- Rozmawiałem z twoimi lekarzami. Fizycznie niby jesteś w porządku, ale psycholog ma poważne zastrzeżenia co do twojego stanu.

Tego można było się spodziewać. Zdaniem psychologa, ciągłe ataki bólu należało przypisać urojeniom. Poczuciu winy za śmierć młodego policjanta... Jack uważał, że właśnie praca pozwoliłaby mu przyjść do siebie. Jak tu jednak przekonać doktorów i kapitana?

- Jeśli choć jeden dzień dłużej przyjdzie mi siedzieć w domu... - urwał. Niedopowiedziana reszta zdania ciężko zawisła w powietrzu.

Duffy bezradnie rozłożył ręce.

- Nic nie poradzę, dopóki nie wystawią ci lepszej opinii. Chociaż...

- Co takiego?

- Mamy tu pewną delikatną sprawę. Oficjalnie nie mogę do niej nikogo przydzielić, bo brak mi odpowiednich ludzi.

Jack popatrzył na niego spod oka. Kapitan siedział z ponurym wyrazem twarzy. Jack przeczuwał pułapkę. Wreszcie nie wytrzymał napięcia, westchnął i przerwał nieznośną ciszę.

- Tajna robota? - spytał.

- Coś w tym rodzaju. Poza tobą wtajemniczeni są tylko Markham i Carmichael. Tworzycie zespół.

A zatem wszystko już postanowione. W głowie Jacka zabręczał dzwonek alarmowy.

- Chwileczkę... Na czym polega to zadanie?

Duffy wstał, przeszedł na drugą stronę biurka i wziął do ręki papierową teczkę.

- Tutaj są kopie wszystkich dokumentów. W ostatnim miesiącu doszło do serii kradzieży w apartamentach przy Central Parku. Ginęła głównie biżuteria. Coś, co leżało na wierzchu. Nikt nie próbował włamywać się do sejfów.

- Amatorszczyzna - mruknął Jack.

- To samo myślą Markham i Carmichael. Pierwsze trzy przypadki miały miejsce w tym samym budynku. Wszystkie trzy poszkodowane damy należą do tego samego kółka brydżowego. Spotykały się w czwartki po południu. Podejrzewaliśmy, że to któraś z nich. Potem jednak przyszła wiadomość, że kolejnej kradzieży dokonano w budynku odległym o dziesięć przecznic. Wspomniane damy są po siedemdziesiątce, wątpliwe zatem, by

były zdolne do takich spacerów. W zeszłym tygodniu znaleźliśmy nowy punkt zaczepienia. Wszystkie ofiary korzystały z „usług dla zwierząt”, Foster Care, prowadzonych przez niejaką Riley Foster, do spółki ze stryjem i nieletnim bratem. Każde z nich ma klucze do mieszkań klientek. I to na razie tyle.

Jack popatrzył na teczkę w rękach kapitana.

- Na czym polega moja rola? Przecież wszystko wskazuje na to, że znalazł pan już złodziei.

Duffy obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

- Nie złapaliśmy pani Foster na gorącym uczynku ani nie znaleźliśmy u niej skradzionych przedmiotów. Nie mogliśmy nawet uzyskać nakazu rewizji, bo jej klientki twierdzą, że to na pewno nie ona. Wczoraj odebrałem telefon od komisarza, którego matka chrzestna też została okradzona. To jedna z pań z kółka brydżowego. Powiedziała mu, że, cytuję: „nie wolno nam nachodzić tej sympatycznej dziewczyny od zwierząt”.

Obciął koniec cygara i bez ogródek wyznał, co naprawdę myśli o wszystkich komisarzach i ekscentrycznych staruszkach współczesnego świata.

- Co mam konkretnie zrobić? - spytał Jack.

- Będziesz naszą wtyczką. Dostaniesz pracę w Foster Care. A kiedy już zdobędziesz wyraźne dowody, to aresztujesz winowajcę.

- A jeśli nie zdobędę? - zapytał. Duffy zdusił cygaro w popielniczce.

- Zdobędziesz. Nie chcę stale mieć komisarza na karku. Potrzebuję swobody, zwłaszcza przy innych sprawach. Markham i Carmichael są święcie przekonani, że winna jest Riley Foster. Ty masz to tylko potwierdzić. Byłoby dobrze, gdybyś ją przyłapał z jakimś świecidełkiem w ręku. Jeśli nie, to chociaż znajdź coś w jej rzeczach lub mieszkaniu. Wtedy

kochana chrzestna komisarza poszuka sobie innej niańki do ulubionych piesków!

- Jak to się skończy, chcę natychmiast wrócić do normalnej służby.

Kapitan zmrużył oczy.

- Targujesz się?

W tej samej chwili rozległ się terkot telefonu.

- Słucham - burknął do słuchawki. Milczał przez kilka sekund, a później popatrzył na Jacka. - Tak, panie komisarzu. Wszystko idzie zgodnie z planem. Powierzyłem tę sprawę jednemu z naszych najlepszych ludzi.

Rzucił słuchawkę na widełki.

- Zabieraj teczkę i bierz się do roboty. Za chwilę przyjdę do ciebie.

Jack zamknął za sobą drzwi, ciężko osunął się na krzesło i szybko przekartkował akta Foster Care. Sprawa nie wyglądała na zbyt skomplikowaną. Bułka z masłem. Wystarczyło przejrzeć raporty Alexandry Markham, by nabrać przekonania, że za wszystkimi kradzieżami krył się ktoś z firmy panny Foster. Dwadzieścia trzy lata, absolwentka renomowanego college'u dla dziewcząt... Czyli na pewno jakaś rozpieszczona księżniczka z Park Avenue, pomyślał. Matka zmarła, kiedy dziewczynka miała dwanaście lat. Dziewięć miesięcy temu, po śmierci ojca w katastrofie samolotowej, Riley została praktycznie bez centa.

Dane zebrane przez Alexandrę jak zwykle były bardzo dokładne. Znalazła się w nich nawet wzmianka, że wypadek mógł być w istocie samobójstwem. Fostera oskarżano bowiem o defraudację niemałej kwoty z funduszu powierniczego. Tuż po pogrzebie panna Riley przeniosła się do stryja, który mógł jej zapewnić godne warunki bytowania. Po trzech miesiącach podjęła „usługi dla zwierząt”, kierując swą ofertę do bogaczy.

Klienci wręcz ją uwielbiali i polecali swoim znajomym. Wszyscy wierzyli w jej niewinność.

Jack zamknął teczkę. Ciekawe... Foster Care mogło stanowić znakomitą przykrywkę dla sprytnych złodziei. Szefową bandy prawdopodobnie była panna Riley, choć stryj i brat też się znaleźli w kręgu podejrzanych. Brat zastępował ją po szkole i w czasie weekendów. Stryj, zapomniany aktor na emeryturze, brał na siebie część pozostałych obowiązków. Trzy, cztery dni i wpadną w moje ręce, pomyślał Jack.

Odchylił się na krzesło i zamknął oczy. Dobiegający z za drzwi głos kapitana brzmiał jakby odrobinę ciszej. Ból w nodze także zelżał. Jacka ogarnęło ogromne znużenie. Ale to minie, pocieszył się w duchu.

Riley uśmiechnęła się przepaszająco swoim najpiękniejszym uśmiechem, chwyciła kotkę za kark i wpackowała z powrotem do plecaka. Młody sierżant po drugiej stronie biurka zamarł z ręką na kolbie pistoletu. Odruchowo sięgnął po broń, kiedy kociak zniecacka wskoczył mu na papiery.

- Przykro mi. Łatwo się denerwuje...

- No tak... - bąknął sierżant, wyraźnie zakłopotany, że o mały włos nie wycelował w kota.

- Dziękuję panu za wszystkie ulotki i foldery dotyczące samoobrony - szybko dodała Riley. - A przy okazji, gdzie jest biuro kapitana Duffy'ego? Miałam się dzisiaj z nim spotkać i już jestem spóźniona.

- Proszę na górę, po schodach w końcu korytarza - odparł sierżant. - Ale...

- Słucham?

- Nie wiem, czy powinna pani zabierać ze sobą kota. Kapitan... bardzo dba o swoje rzeczy.

- Rozumiem. Dziękuję - odpowiedziała Riley i poszła w stronę schodów.

Najważniejsza jest szczerłość. To zawsze powtarzał jej ojciec, kiedy dorastała. Ale sam nigdy nie był całkiem szczerzy. Przegrał w kasynie oszczędności ludzi, którzy przez lata darzyli go szacunkiem i zaufaniem. Zdaniem policji, niedaleko pada jabłko od jabłoni...

Na piętrze rozejrzała się po zatłoczonej sali. Nie zobaczyła policjantki, która ją raz przesłuchiwała. Z wolna podeszła do szklanych drzwi z napisem „Kapitan Duffy”.

Nagle spostrzegła znajomą twarz. Był to ten sam mężczyzna, który w zaułku pośpieszył jej na pomoc. Na jego widok wpadł jej do głowy znakomity pomysł.

Obudziło go głośne miauczenie. Jack otworzył oczy i zobaczył przed sobą rewolwerowca w spódnicy, strzelającego octem.

- Przepraszam, że ci przerwałam drzemkę - powiedziała dziewczyna.

- Wcale nie spałem. Pozwalałem tylko odpocząć oczom.

- Bez wątpienia. Jeśli mi wyświadcysz drobną przysługę, to przyrzekam, że nikomu o tym nie powiem. Mam spotkanie z kapitanem. Możesz przez kilka minut popilnować Abry?

- Abry? - Jack ze zdumieniem spojrział na niewielkie zwierzę kręcące się w plecaku. Szczur, pomyślał w pierwszej chwili.

- To skrót od „abrakadabra” - wyjaśniła Riley. - Wyskakuje z plecaka jak królik z kapelusza w najmniej odpowiednich momentach. Sierżant tak się przestraszył, że chwycił za pistolet. Nie chciałabym, żeby kapitan Duffy miał podobną przygodę.

Jack sam nie wiedział, jak to się właściwie stało, że w trakcie rozmowy kotka znalazła się w jego rękach. Poczuł na swojej dłoni delikatny dotyk kociego języka.

- Trzymaj ją blisko siebie. Najlepiej pod marynarką. Dachówce są bardzo nerwowe. Nie mam pojęcia, jak długo siedziała w tym zaułku, zanim ją znalazłam.

- Poszłaś tam... ze względu na to zwierzę? - z niedowierzaniem zapytał Jack. Riley tymczasem upychała mu kotkę za pazuchą.

- To jest kotka - wyjaśniła Riley. - Stoczyła ciężką walkę i wpada w panikę, słysząc najdrobniejszy hałas. Jeśli ucieknie, to w takim miejscu można jej bardzo długo szukać. Sierżant uprzedzał mnie, że kapitan Duffy nie będzie tym zachwycony.

- Ach tak? - warknął gniewny głos tuż za jej plecami.

Kotka jak oparzona wyrwała się z rąk Jacka, śmignęła między nogami Duffy'ego i wpadła do jego biura. Riley pobiegła za nią. Jack zerwał się z miejsca i, niewiele myśląc, wepchnął kapitana w ślad za uciekinierką, sam też wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Kotka, miaucząc zawzięcie, skuliła się w kącie. Riley pomału zbliżała się do niej, mówiąc coś cichym i łagodnym głosem. Już wyciągała rękę, ale kotka prychnęła nagle i umknęła. Jack rzucił się na kolana i niemal zawył z bólu. Nie złapał kotki. Zwierzak wskoczył na biurko kapitana i strącił stertę papierów.

- Szlag by to trafił! - krzyknął Duffy.

Kotka schowała się za biurkiem.

- Ciszej, proszę - powiedziała Riley tym samym łagodnym tonem, którym wcześniej przemawiała do zwierzęcia. - Przecież pan chyba widzi, że jest okropnie wystraszona.

- W to nie wątpię. Przed chwilą rozwalila całą moją dzisiejszą robotę!

- Ciiicho... - uspokajała go Riley. - Pańskie wrzaski tylko pogorszą sytuację.

Na czworakach przesunęła się w stronę Jacka.

- Ty idź naokoło biurka, a ja spróbuję przejść pod spodem. Tylko nie rób żadnych gwałtownych ruchów. Zrozumiałeś?

Jack czuł się jak idiota, ale posłusznie spełnił jej prośbę, nie zwracając uwagi na łupanie w biodrze. Miał dłuższą drogę i poruszał się dużo wolniej, więc trochę czasu minęło, zanim zobaczył kotkę. Riley dotarła do niej pierwsza i powtórzyła sztuczkę z karmą. Mądra dziewczyna. Zachowywała się tak samo, jak zachowałby się policjant wobec wystraszonego przestępcy, wymachującego bronią. W ostatniej chwili zwierzak znów zamierzał uciec, lecz tym razem Jack był na to przygotowany. Złapał kotkę w pół skoku i wsunął za pazuchę.

- Znakomicie - z uśmiechem pochwaliła go Riley i wypełzła spod biurka.

- I jak tam, DeRosa? - z przekąsem zapytał kapitan Duffy. - Opanowałeś sytuację?

- Tak jest - służbiście odpowiedział Jack. Zgiął nogę, żeby wstać, i skrzywił się nieznacznie. Riley ujęła go pod ramię.

- Wesprzyj się na mnie - mruknęła.

- Dam sobie radę - burknął obcesowo.

- Jesteś tego zupełnie pewny? - zapytał Duffy.

- Przecież zawarliśmy umowę - przypomniał mu Jack.

Kapitan skinął głową i zerknął na dziewczynę.

- Podejrzewam, że już się znacie.

- Nie - odpowiedzieli zgodnym chórem.

- Panna Riley Foster, inspektor DeRosa - cynicznie wycodził Duffy.

- Foster?

- Inspektor?

- Dopóki nie ustalimy prawdziwych sprawców kradzieży, zatrudni pani DeRosę jako nowego opiekuna do zwierząt - oznajmił Duffy. - Od tej pory będziecie nierozłączną parą.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Riley z przerażeniem spojrzała na Duffy'ego.

- Niby dlaczego? - zawołała.

- Bo jest pani naszą główną podejrzaną - cierpliwie wyjaśnił kapitan.

W jego słowach dało się wyczuć drobny cień satysfakcji.

- Podejrzaną? - Riley była bliska paniki.

- Miała pani doskonały motyw, środki i możliwości, aby dokonać wszystkich znanych nam kradzieży w mieszkaniach pani klientek - odparł Duffy. - Zgodnie z raportem inspektor Markham, zamierza pani otworzyć tak zwany hotel dla zwierząt, ale brak pani odpowiednich środków na adaptację wnętrza. To jest motyw. Zyskała pani stały dostęp do mieszkań kilku bogatych osób. To są środki i możliwości. Nie mogę jednak pani aresztować, bo jak do tej pory w pani rękach nie widziano żadnej ze skradzionych rzeczy.

Riley zacisnęła ręce na plecaku.

- Niczego nie ukradłam!

- Może to pani udowodnić poprzez współpracę z nami. Proszę zatrudnić inspektora DeRose.

DeRosa wprawdzie kulał na jedną nogę, lecz bez wątpienia był mądrzejszy od wszystkich policjantów, którzy ostatnio ją przesłuchiwali. Nie brakowało mu przenikliwości. Nie chciała, żeby kręcił się koło niej, póki sama nie wyjaśni sprawy broszki.

- Nie. To pogwałcenie moich praw obywatelskich. Duffy pochylił się w jej stronę.

- Z początku uważałem panią za niewinną. Winnie Cantrell była o tym dogłębnie przekonana, więc zatelefonowała do swojego chrześniaka, komisarza policji w tutejszym okręgu, i powiedziała mu, że panią nagabuję. Teraz szef patrzy mi na ręce, a ja mam tego już serdecznie dosyć. Znalazłem zatem człowieka, który zajmie się dochodzeniem. Prawda, DeRosa?

- Prawda - przytaknął Jack.

- A jeśli odmówię?

- To zadzwonię po Markham i Carmichaela. Każę im panią obserwować. Popytają wśród pani klientów, nawet wśród tych, którym jeszcze nic nie zginęło. W lot gruchnie plotka, że ma pani do czynienia z policją.

Riley głośno przełknęła ślinę. Nie podobała jej się ta perspektywa.

- A jeśli się zgodzę?

- Markham i Carmichael dostaną inny przydział. Klientom damy też na razie spokój, do czasu następnej kradzieży. W zamian za to zapewni pani ochronę DeRosie. Jak dobrze pójdzie, to za tydzień sprawca znajdzie się pod kluczem.

- Co to znaczy „ochronę”?

- Zatrudni go pani jako pomocnika i wynajmie mu jeden z pokoi.

- Co takiego? A jak się wytłumaczę przed stryjem?

- Powiesz mu, że niedawno przyjechałem do miasta i nie miałem czasu się urządzić - zaproponował Jack.

- O, właśnie! - Duffy z wdzięcznością skinął głową i znów spojrzął na Riley.

- Wcale nie muszę tego robić - odparła.

- Nie - warknął kapitan. - Ale kradzieże miały miejsce u pani klientów.

Nie lepiej z tym szybko skończyć, panno Riley?

- No dobrze... Zgoda, ale stawiam pewien warunek. Duffy poczerwieniał i zmrużył powieki.

- Nie przywykłem do kompromisów, młoda damo.

- Nie chcę, żeby mój stryj i brat cokolwiek o tym wiedzieli. I tak mają wystarczająco wiele własnych zmartwień. Dlatego...

- Proszę posłuchać. - Duffy był już czerwony jak burak i mówił podniesionym głosem. - Nikt oprócz pani nawet nie może wiedzieć, że Jack DeRosa jest gliniarzem! Ma działać incognito! Zrozumiano?

- Tak. Owszem. Wszystko jasne. - Riley pospiesznie odsunęła się od biurka i spod oka zerknęła na Jacka. -Zgadzam się... - Znowu spojrzała na Duffy'ego. - Tydzień, powiada pan? Dobrze, niech będzie tydzień.

- Podejrzewam, że nawet krócej - wtrącił Jack, by załagodzić sytuację. - Mogę zacząć już dzisiaj?

- To właśnie chciałem zaproponować - burknął kapitan Duffy.

- Mogę przez chwilę skorzystać z pańskiego biura? - zapytał Jack. - Chciałem omówić kilka szczegółów z panną Foster.

- Macie pięć minut - odparł Duffy i podszedł do drzwi. Przystanął w progu. - Pięć minut - powtórzył. -Potem nie chcę was widzieć. Ani was, ani tego... czegoś, co chowasz pod marynarką, DeRosa. Zrozumiano?

- Zrozumiano - powiedział Jack.

Kapitan Duffy wyszedł, trzaskając drzwiami. Riley westchnęła głośno. Potem z ukosa popatrzyła na DeRose. Umiała postępować z ludźmi, chociaż o wiele lepiej radziła sobie ze zwierzętami. Na Jacka też na pewno znajdzie jakiś sposób. Wyglądał groźnie, niczym rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu. Te jego oczy... Bystre, przenikliwe i świdrujące. Riley chrząknęła. Szybko musiała coś powiedzieć.

- Często miewasz podobne sprawy?

- Nie.

Przypatrywała mu się przez minutę.

- Nie jesteś zbyt rozmowny.

- Nie.

- Papuga mojego stryja więcej gada od ciebie.

- Serio?

- Owszem.

Umilkła. Postanowiła podjąć to wyzwanie, chociaż cisza dłużyła jej się w nieskończoność. Za niecałe cztery minuty trzasną drzwi i do pokoju wejdzie naburmuszony kapitan Duffy. Liczyła w duchu upływające sekundy. Zerknęła na kotkę i zobaczyła ze zdziwieniem, że Abra leży wygodnie na wielkiej dłoni Jacka. DeRosa delikatnie głaskał ją drugą ręką. Do ilu ludzi strzelał w swoim życiu? Przecież był policjantem. Musiała się przy nim pilnować. A jednak... Kiedy tak patrzyła, jak czule gładzi kotkę, dziwny dreszcz przeszył jej ciało.

Napotkała jego spojrzenie. Błąd. Przejrzał ją już na wylot? Nie. Przecież to niemożliwe.

- Wygrałaś - odezwał się Jack.

Riley gwałtownie zamrugła powiekami. Miała wrażenie, że jego słowa wyrwały ją z niewidzialnego czaru.

- Co takiego?

- Zaczę pierwszy. Trzeba omówić parę szczegółów, zanim wróci kapitan Duffy.

- Szczegółów - powtórzyła i oblizła usta. Nawet nie wiedziała, że są tak bardzo suche. - Masz rację. Wiesz co? Możesz spokojnie z tego zrezygnować. Znaczący... z zadania. Jak chcesz być moim pomocnikiem,

skoro nic nie wiesz o zwierzętach? To trudna praca, wymagająca wiele poświęcenia. Nie bierz mi tego za złe, ale w twoim stanie raczej...

Umilkła, bo w tej chwili Jack przestał się uśmiechać. Wstał. Riley cofnęła się pół kroku. Zdawało jej się, że ktoś zgasił światło. Po chwili spostrzegła, że to barczysta postać Jacka zasłania całe okno.

- Dobrze wiesz, że oboje nie mamy wyboru - mruknął. - Im szybciej dojdziemy do porozumienia, tym lepiej.

W uszach dziewczyny zabrzmiał metaliczny szczęk zamykanej bramy więzienia. Od razu byłoby po sprawie, gdyby Jack zajrzał do plecaka i znalazł tam brylantową broszkę. Nie, lepiej myśleć o czymś innym. Nie wolno dać się zastraszyć. Do tej pory dobrze umiała postępować z różnymi facetami - nawet uzbrojonymi w noże.

- Skąd jesteś? - zapytała.

- Mieszkam w West Side.

- Źle. W West Side mieszka inspektor DeRosa. Mój, hm... pomocnik niedawno przyjechał do Nowego Jorku. Zatem skąd jesteś?

Jack z uznaniem pokiwał głową.

- Celny strzał, panno Foster. Z Kalifornii.

- Riley. Wszyscy do mnie tak mówią. Masz rodzinę? Zawód?

- Stan cywilny: kawaler. Imałem się różnych zajęć. W swoim życiu już byłem robotnikiem i kucharzem.

Riley przekrzywiła głowę i przypatrywała mu się przez chwilę.

- Naprawdę umiesz gotować?

Zmrużył oczy.

- Naprawdę. A co w tym dziwnego? Błyskawicznie podjęła decyzję. Skoro miała już gościć u siebie policjanta, postanowiła w stu procentach wykorzystać jego obecność.

- Brat, stryj i ja na zmianę pełnimy dyżury w kuchni. Jeśli masz zamiar u nas mieszkać, musisz się podporządkować przyjętym zasadom. Potraktuj to jako część policyjnego kamuflażu.

Spojrzał na nią spod oka.

- Nie ma sprawy.

- Świetnie. A co z twoim nazwiskiem? Jak się będziesz przedstawiał?

- Tak jak dotąd. Nie potrzeba niczego zmieniać. Jack DeRosa.

- Bardzo mi miło, Jack. - Riley uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Spostrzegła z cichą satysfakcją, że zawahał się na moment. To znak, że odzyskała panowanie nad sytuacją. Jack wreszcie potrząsnął jej dłonią. Tak jak się spodziewała, miał mocny uścisk.

- Mamy napięty plan na popołudnie - powiedziała. - Resztę spraw omówimy po drodze.

- A co z tym? - spytał, unosząc kotkę, wciąż uczeponą jego dłoni.

Riley zmarszczyła czoło.

- Powinnam ją zabrać do domu.

- Świetnie. - Jack podał jej zwierzę. - Przedtem wpadniemy do mnie, żeby wziąć zabrać parę rzeczy.

Chciała wziąć Abreę, lecz kotka syknęła gniewnie i przywarła do rękawa Jacka.

- Chyba już jesteś na nią skazany - zauważyła Riley. Jack zrobił nadąsaną minę.

- Mogę gotować, ale nie będę niańczył kotów.

- Jako mój pracownik, przydasz się nie tylko kotom.

- Nie będę niańczył kotów - powtórzył Jack, patrząc na Abreę leżącą na jego łóżku.

Nawet nie otworzyła ślepek na znak, że go usłyszała. Udawała śpiącą, tak samo jak w taksówce. Gdyby jednak zechciał ją oddać w ręce Riley, od razu by się obudziła i zaczęła wić się i prychać. Próbował tego już trzy razy.

Riley była wyraźnie rozbawiona. Jack nie podzielał jej wesołości. Poradziła mu, żeby z wolna zaczął się przyzwyczajać do zakochanej kotki.

Abra przeciągnęła się lekko, westchnęła i wygodniej zapadła w poduszki.

- Źle wybrałaś - powiedział do niej Jack. Popatrzył na nią ze skupieniem. Widział bezdomnych w lepszym stanie niż to kocię. Nie zatraciła jednak walecznego ducha. Za to po cichu ją podziwiał.

Podziwiał także Riley Foster... A to stwarzało pewien problem. Duży problem.

Odwrócił się, wyjął z szuflady bieliznę i skarpetki i włożył je do walizki. Pakował się systematycznie, starannie przepatrując szafę, a mimo to myślał o czymś innym. Od dawna już miał taki zwyczaj. Nieraz całkiem niegłupi pomysł wpadał mu do głowy podczas zwykłych, codziennych czynności. Bywało nawet, że w ten sposób znajdował rozwiązanie jakiejś trudnej sprawy. A co teraz? Panna Riley nie wyglądała na złodziejkę...

Lata policyjnej służby nauczyły go, że najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Rzadko się mylił, oceniając ludzi. Riley miała w sobie coś nieodparcie niewinnego. Coś, co czaiło się w jej oczach i całym zachowaniu.

Wszedł do łazienki, otworzył kosmetyczkę i włożył do niej przybory do golenia. Musiał przyznać przed samym sobą, że Riley mu się podoba. Wiedział o tym już w tej sekundzie, kiedy wpadł na nią na ulicy. Długo potem wciąż czuł jej dotyk i delikatny zapach ciała. Miał ochotę popędzić za nią i ponownie pochwycić ją w ramiona.

Bardzo ciekawe. Coś nowego. Wydarzenie wręcz bez precedensu. Kim ona była, że na jej widok zachowywał się w taki sposób? W tłumie pań nie zwróciłby na nią najmniejszej uwagi. Zazwyczaj wołał bardziej zadbane i ładniejsze kobiety. Riley Foster nie przejmowała się swoim wyglądem. Nie malowała się i chyba sama strzygła sobie włosy tępymi nożyczkami. Nie używała żadnych perfum. Przynajmniej on tego nie wyczuwał, choć w taksówce siedziała obok niego. Jej zapach... przypominał wiosnę. Tak, to chyba najlepsze określenie. Jack wrócił pamięcią do czasów dzieciństwa, do ciotki Rachel i do elfów, o których mu opowiadała. Właśnie. Riley Foster miała w sobie coś z elfa.

Bezwiednie zamknął kosmetyczkę i popatrzył w lustro. Biedna ciotka Rachel... Ją też zawiódł. W czasie rekonwalescencji wspominał ją coraz częściej. Nie były to miłe wspomnienia. Źle sypiał.

- Skoncentruj się na prowadzonym śledztwie - powiedział do faceta w lustrze. - Tu masz bilet do normalnego świata. „Riley Foster” to tylko nalepka na aktach. Łatwo sobie dasz radę z takimi kradzieżami. Musisz pozostać obiektywny i nie poddawać się uczuciom. Przecież to potrafisz.

Wrócił do sypialni i włożył kosmetyczkę do prawie pełnej walizki. Pozostał tylko pistolet. Wyjął go z szuflady, rzucił na stos ubrań i zamknął walizkę.

Kotka natychmiast otworzyła oczy, wstała i zbliżyła się do jego ręki.

- Komediantka - mruknął. Zabrał ją ze sobą i wyszedł z pokoju.

„Poznaj swojego wroga”. Riley nie była pewna, kto to powiedział. Pewnie Szekspir. Albo ktoś z Biblii. Każde mieszkanie na swój sposób coś mówi o człowieku. Niestety, to nie dotyczyło mieszkania Jacka DeRosy. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Riley postanowiła rozejrzeć się dokładniej. Najpierw meble: kanapa, fotel, dwa małe stoliki z lampkami,

telewizor. Żadnych półek z książkami, rozrzuconych czasopism ani nic w tym stylu. Pełna anonimowość, jak w podrzędnym motelu.

Przeszła na drugą stronę i dostrzegła odtwarzacz na szafce. Fotel zasłaniał jej widok. Przykucnęła i zobaczyła rząd płyt kompaktowych, równo stojących na półce. Była ich pewnie ponad setka. Jack DeRosa lubił muzykę poważną, jazz i bluesa. Czyli podzielał jej zainteresowania...

Poszła do kuchni, oddzielonej od reszty mieszkania wysoką ladą i dwoma stołkami. Dwoma, powtórzyła w myślach. Więc miewał gości? Może narzeczoną? Riley! - skarciła się. Wróc na ziemię! Co cię obchodzi, kogo Jack DeRosa przyjmuje w domu? Chyba powinnaś raczej uważać go za wroga. Spróbuj go lepiej poznać, dla własnego dobra. Energicznym krokiem podeszła do szafki i otworzyła drzwiczki. Zobaczyła kilka kompletów szklanek, kubków i talerzy. Sztućce były w szufladzie. Wszystko czyste, jakby należało do stałego wyposażenia mieszkania. Poza tym nieco zapasów: zupa w puszcze, tuńczyk, cukier i kawa. To wszystko. A gdzie cukierki? Wyprostowała się z westchnieniem. Zwiad się nie udał. Co wyczytać z takich rezultatów? Jak dotąd dowiedziała się, że Jack słucha dobrej muzyki i że pija prawdziwą kawę. Sherlock Holmes może wysnułby z tego odpowiednie wnioski. Ona była ciemna jak tabaka w rogu.

Wnętrze lodówki obiecywało więcej. „Jesteśmy tym, co jemy”. Tej mądrości nie mogła zwalić na Szekspira. To mówił Daryl, z którym przez dwa tygodnie chodziła za studenckich czasów. Co prawda miał niezłego hopla na punkcie zdrowej żywności, ale czasem udawało mu się powiedzieć coś niegłupiego. Riley oparła dłoń na drzwiach lodówki. Zastanawiała się przez chwilę, a potem zajrzała do środka.

Nic. Światło padło na puściusieńkie półki. W przypiływie nagłej desperacji szarpnęła drzwiczki zamrażalnika. Westchnęła z ulgą, widząc

napoczęte pudełko czekoladowych lodów. Zaraz jednak zmarszczyła brwi. Jak to? Jack DeRosa lubił te same lody co ona. Nawet z tej samej firmy. Z otępieniem wpatrywała się w lodówkę. Poznaj swojego wroga, aby się dowiedzieć, że jesteście do siebie podobni... No nie...

- Tam nie znajdziesz pieniędzy ani biżuterii. Drgnęła i obejrzała się przez ramię.

- Nie słyszałam, jak wszedłeś.

- Zauważyłem. Może łaskawie mi wyjaśnisz, po co zaglądasz do zamrażalnika?

Przemawiał do niej cierpkim tonem, z poważną, wręcz posępną miną. A w jego oczach... Riley pospiesznie odwróciła głowę i z zakłopotaniem zamknęła wszystkie szafki i szuflady. Przycięła sobie palec i syknęła z bólu.

- Ja nie... - Nerwowo potrząsnęła ręką. - Nie...

- Obawiam się, że tak. Wiele osób chowa gotówkę do zamrażalnika. Wie o tym każdy doświadczony złodziej.

Riley zaczerwieniła się po same uszy. W podobnych chwilach zwykle liczyła do dziesięciu, by zapanować nad wzburzeniem. Ale nie teraz. Bez wahania podeszła do DeRosy i stanęła z nim twarzą w twarz.

- Nie jestem złodziejką. Nie okradłam nikogo z moich klientów. - Miała ochotę stuknąć go palcem w pierś, ale trzymał pod pachą kotkę. - Nie zabrałam niczego z lodówki. Nawet nie spróbowałam moich ulubionych lodów. I... tyle!

- Czego tam szukałaś?

- Jakiejś wskazówki... Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o tobie.

- Wzruszyła ramionami. - Ale nic nie znalazłam.

- Zupełnie nic?

- Cóż... Wiem tylko, że lubimy tę samą muzykę i lody czekoladowe.

- To już coś.

Riley potrząsnęła głową.

- Zbieg okoliczności. Wcale nie jesteśmy do siebie podobni. Gdzie pochowałeś resztę rzeczy? Gdzie bałagan?

- Lubię sprzątać. Zmrużyła oczy.

- Kpisz ze mnie.

- Nie.

Tym razem nie wytrzymała i walnęła go dłonią w pierś, chociaż celowała jak najdalej od kotki. Abra syknęła ze złością i zamiauczała.

- Cicho - powiedziała Riley, patrząc na nią surowo. Spojrzała z powrotem na Jacka. - Być może głośno się nie śmiejesz, ale widzę po twoich oczach...

- Usiłuję - chrząknął głośno - nad nimi zapanować. Riley zagryzła usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

W źrenicach Jacka zatańczyły iskierki wesołości. Dopiero teraz zobaczyła, że miał szare oczy. Szare jak dym, nieco jaśniejsze w chwilach rozbawienia. Nagle uświadomiła sobie, że stoi bardzo blisko niego. Może nawet za blisko. Ogarnęła ją fala żaru. Nigdy przedtem nie doświadczyła tak silnego uczucia. Odruchowo zatrzymała spojrzenie na ustach Jacka. Były wąskie, typowo męskie, lecz zmysłowe. Jakby twarde i miękkie zarazem. Stworzone do całowania...

Nie, nie. Co jej nagle strzeliło do głowy? Czekala, aż Jack DeRosa naprawdę ją pocałuje? Szybko cofnęła się o parę kroków, nie dowierzając własnym odruchom. Jeszcze chwila, a doszłoby do... Miała wrażenie, że odskoczyła od ognia. Czuła w ustach smak dymu.

- No tak... - bąknęła, usiłując zebrać myśli. Oczy Jacka gwałtownie pociemniały. Już się nie uśmiechał. Dopiero miałby powód do radości,

gdyby naprawdę go pocałowała! Pewnie przez kilka dni nie mógłby dojść do siebie.

- Pójdziemy już?

- Oczywiście - odparła, nie ruszając się z miejsca. Nogi miała jak z waty. Potrzebowała kilku sekund, aby na dobre się opanować. - Jeszcze jedno... Powiedziałeś, że umiesz gotować.

- Bo umiem.

- Po tej kuchni tego nie widać. Jack milczał przez chwilę.

- Od dawna nie gotowałem.

Pewnie, że nie gotował. Przecież miał chorą nogę. Wiele razy widziała grymas bólu na jego twarzy.

- Przepraszam. Czasami bywam okropnie wścibska. Nie zamierzałam...

Urwała, bo w tym samym momencie zabrzączał jej telefon komórkowy. Nie wiedziała jeszcze, kto dzwoni, lecz dziękowała w duchu opatrności, że przerwano jej tę rozmowę. Wyciągnęła telefon z plecaka.

- Foster Care... Winnie? Nie, nie jestem na posterunku. Tak, rozmawiałam dzisiaj z kapitanem. Nadal ciąży na mnie podejrzenie.

Jack błyskawicznie znalazł się koło niej i położył dłoń na słuchawce.

- Pamiętaj, jestem tylko twoim pomocnikiem - szepnął. - Nikim więcej.

- Ona się dopytuje o wyniki śledztwa - odpowiedziała również szeptem. - Przecież mogę...

- Powiedz jej, że oddzwonisz albo coś takiego. - Zabrał rękę.

- Winnic.. - zaszcebiotała Riley. - Wpadnę do ciebie, gdy zakończę popołudniowy obchód, dobrze? W takim razie do zobaczenia.

Schowała telefon do plecaka i odwróciła się do Jacka.

- To dobry moment, aby ci powiedzieć, że nie najlepiej potrafię kłamać. Muszę pamiętać, żeby się nie zdradzić. Winnie traktuje mnie jak wnuczkę. Martwi się o mnie. W czasie spotkania od razu spyta, co wreszcie postanowił Duffy. Nie chciałabym jej okłamywać.

- Więc trzymaj się jak najbliżej prawdy.

- Nie powiem jej, że już po wszystkim, skoro wciąż mnie podejrzewacie.

- Kłopot w tym, że Duffy odwołał Markham i Carmichaela. Nie będą cię nachodzić. Jeśli ta starsza pani ma trochę oleju w głowie, to zada sobie pytanie: kto teraz prowadzi śledztwo? Wnioski są oczywiste. Nie schowam się przed nią.

Riley zastanawiała się przez kilka sekund. To, co powiedział Jack, nie było pozbawione sensu.

- No dobrze... Jak jej to wytłumaczyć?

- Już ci mówiłem: nie odbiegaj od realiów. Rozповідаj, że ze względu na brak dowodów dochodzenie poszło zupełnie innym torem.

- To przecież do pewnego stopnia prawda.

- No właśnie.

Przypatrywała mu się przez chwilę.

- Naprawdę jesteś dobry w tym, co robisz.

- Staram się.

Przecudownie! - jęknęła w duchu.

Potrzebny mi sprytny gliniarz! Zwłaszcza teraz, kiedy w plecaku mam skradzioną broszkę!

ROZDZIAŁ TRZECI

- Wpadniemy do mnie tylko na chwilę, żeby zostawić walizkę - powiedziała Riley, przekręcając klucz w zamku. - Abra potem pojedzie z nami. Nie powinniśmy jej zostawiać z Bardem i Beowulfem.

- Z Bardem i Beowulfem? - powtórzył.

- To papuga i pies - wyjaśniła Riley. - Trafiły tutaj po śmierci swoich właścicieli. Nie mogłam oddać ich do schroniska. Ale stryj Avery powiedział, że na tym koniec. Żadnych innych zwierzaków. - Popatrzyła na niego z ukosa i pchnęła drzwi na oścież. - Dobrze chociaż, że Abra przylgnęła do ciebie.

- Zaraz, zaraz... Nie należy do mnie. Nie jestem farmerem.

- Przecież to tylko kotka. - Riley weszła energicznie do mieszkania.

Rozległo się szczekanie i kilka innych dźwięków, których Jack nie potrafił zidentyfikować. Za chwilę przez przedpokój przetoczyła się góra futra. Z radosnym ujadaniem skoczyła na dziewczynę. Riley zatoczyła się do tyłu i wpadła na Jacka. Rzucił bagaż, złapał ją za ramiona i wsparł się plecami o ścianę. To pozwoliło im obojgu zachować równowagę. Kotka wyrwała się i pognała do kuchni, zawzięcie ścigana przez psisko. Riley chwyciła Jacka za rękę i pociągnęła za sobą.

- Ratuemy ją! - krzyknęła.

Z kuchni dobiegał niesamowity hałas. Jeden skrzekliwy głos wybijał się ponad inne:

- Och, biedny Joriku!

Jack rozejrzał się po pomieszczeniu. Zobaczył dużą papugę siedzącą na dachu wielkiej drucianej klatki. To ona cytowała nieśmiertelnego barda ze Stratfordu. Jack w pierwszej chwili pomyślał, że fanem Szekspira jest starszy pan, odziany w czerwony aksamitny szlafrok. Wysoki, z długimi włosami zaczesanymi do tyłu, jota w jotę pasował do opisu aktora, zawartego w raporcie Alex. Był to na pewno stryj Riley. Góra futra za stołem szczeknęła trzy razy. Odpowiedział jej gniewny syk uczeptionej obrusa kotki. Widać było, że Abra przejęła inicjatywę i trzyma w szachu zarówno psa, jak i papugę.

W krótkim momencie ciszy zabrzmiał nagle wesoły śmiech młodego drągala opartego o kredens. Chłopak niemal zwijał się z uciechy. To pewnie brat Riley, pomyślał DeRosa

Nagle pies przestał szczekać, sapnął głośno i zabrał łapy ze stołu. Kotka parsknęła na papugę. Młodzieniec znów zachichotał.

- Precz, precz, powiadam! - zaskrzeczała papuga.

Potem zapadło milczenie, przerywane jedynie cichym skomleniem psa i zduszonym śmiechem chłopaka.

Avery Foster dramatycznym ruchem wycelował palcem w kotkę.

- Ten zwierzak tu nie zostanie. Już ci mówiłem: dwa wystarczą. Zmieniasz mi dom w menażerię!

- Na pewno nie zostanie, stryju - potulnie zgodziła się Riley i obdarzyła go serdecznym uściskiem. - Za kilka dni znajdę jej odpowiednie lokum. Obiecuję. A kiedy już otworzę prawdziwe schronisko, to na pewno ktoś też przygarnie Barda i Beowulfa.

- No dobrze... - mruknął udobruchany Avery. Wywrócił oczami i machnął ręką. - Jesteś przekonana, że nowojorczyacy marzą o psie wielkim jak żreback i o papudze, która co pięć minut masakruje Szekspira...

- Och, biedny... - zaczął Bard.

Kotka miauknęła przeraźliwie. Papuga zaskrzeczała coś w odpowiedzi, zatrzepotała skrzydłami i umilkła.

- Niemożliwa szelma - odezwał się brat Riley. - Wystraszyła ich nie na żarty. - Zerknął na Jacka. - Kim pan jest?

- To Jack DeRosa, mój nowy pomocnik - szybko wyjaśniła Riley.

Jack poczuł na sobie uważne spojrzenie dwóch par oczu. Ben przypatrywał mu się z ciekawością, stryj zaś z wyraźną rezerwą.

- Powtarzałaś zawsze, że nigdy nikogo z zewnątrz nie zatrudnisz - powiedział Avery, nie odrywając wzroku od Jacka.

- To prawda, ale pan DeRosa chciał się gdzieś zatrzymać, bo dopiero przybył do Nowego Jorku. Pomyślałam sobie, że na krótką chwilę możemy mu odstąpić jeden z naszych pokoi. Dałam mu więc „ofertę nie do odrzucenia”. To wszystko.

Avery wydał usta.

- Ma pan jakieś referencje?

- Kapitan Duffy bardzo go polecał - wtrąciła Riley. - Spotkaliśmy się na posterunku.

Stryj natychmiast zapomniał o Jacku i z niepokojem spojrzał na bratanicę.

- A ty co tam robiłaś?

- Była następna kradzież. Tym razem u Hattie Silverman. Duffy wezwał mnie na rozmowę.

- Na pewno wciąż cię podejrzewa. - Avery ciężkim krokiem zaczął przechadzać się po kuchni. - Powinnaś wziąć adwokata. Ktoś przecież musi cię bronić.

Zatrzymał się i popatrzył na Jacka.

- Może pan przemówi jej do rozsądku.

- Ja... - Jack nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

- Rozsądek podpowiada mi, że musimy dbać o oszczędności - spokojnym, lecz stanowczym głosem oznajmiła Riley. - Nie będę brać pieniędzy przeznaczonych na naukę Bena tylko po to, żeby pogawędzić z jakimś cwany prawnikiem. A poza tym...

- Żyjemy wśród peniaczy! - Avery podszedł do kredensu i odwrócił się z uniesioną dłonią tak prędko, aż mu zafurkotały poły czerwonego szlafroka. - Każdemu z nas potrzebny prawnik!

- Niepotrzebna mi kasa, jeśli nie pójdę na studia - wtrącił Ben. - Nie muszę mieć magistra, żeby być filmowcem.

- Najpierw ukończysz college - powiedziała Riley. - To już postanowione. Dopiero potem zaczniesz kręcić filmy.

- Stryj Avery nie kończył studiów, a został aktorem.

- Hola, hola! - Avery uniósł obie ręce. - Wypraszam sobie! Już tyle razy powtarzałem, żeby mnie nie wciągać do rodzinnych sprzeczek.

Ben zerknął na Jacka.

- A pan? Zmuszali pana do nauki?

- Nie - odparł Jack. Wróciły dawne, bolesne wspomnienia. Ciotka Rachel namawiała go, by wziął jej oszczędności i żeby zaraz po maturze wstąpił do akademii policyjnej. Nie skorzystał z oferty. Dziś wstydził się tego tak samo jak w dniu jej pogrzebu. Zanim jednak zdążył powiedzieć coś więcej, Ben zwrócił się do Riley:

- Weź tę forszę i idź do adwokata.

- Nie - odpowiedziała twardo. - A poza tym dziś się dowiedziałam, że dochodzenie skierowano na inne tory. Nie znaleziono żadnych dowodów łączących mnie z kradzieżami.

- To już o wiele lepiej - ucieszył się Ben.

Avery wciąż jeszcze nie skończył rozmowy z Jackiem.

- A skąd pan zna naszego drogiego kapitana?

- To stary kumpel mojego ojca. Walczyli razem w Wietnamie - wyjaśnił Jack. Wcale nie kłamał. Dobrze to zresztą pasowało do całej historyjki, którą po drodze wymyślili z Riley. Tylko czy to wystarczy, by przekonać stryja? Avery Foster miał skłonności do egzaltacji, ale poza tym umiał myśleć trzeźwo i przenikliwie.

- Trochę oszczędza pan nogę - zauważył jakby na potwierdzenie domysłów Jacka.

- Mały wypadek samochodowy - odparł DeRosa. - Uznałem, że to dobry pretekst, aby wynieść się z prowincji i poszukać szczęścia w wielkim mieście.

Avery już otworzył usta, żeby zadać następne pytanie, ale Riley stanęła przed nim i wzięła się pod boki.

- Stryju, proszę... To nie jest akt trzeci z twojej najnowszej sztuki. Nie udawaj Sherlocka Holmesa.

- Wręcz przeciwnie! - z dramatycznym uniesieniem zawołał Avery. - Jeśli Harold pozyska odpowiednich sponsorów, to będę Sherlockiem Holmesem!

Riley dała krok naprzód. Stryj cofnął się pospiesznie.

- Masz mi za złe, że go zatrudniłam? - spytała. - Chcesz go zwolnić, zanim jeszcze zaczął pracę?

- Jestem Ben - tuż koło ucha Jacka rozległ się głos młodzieńca. - Niech pan nie zwraca zbytnej uwagi na zachowanie stryja. Wydaje mu się, że cały czas jest na scenie. Czyż to nie fajne?

Jack popatrzył na niego. Ben był wyższy od siostry, ale miał jej karnację i kolor włosów. Tylko niebieskie oczy chłopca wydawały mu się nieco jaśniejsze.

- Pewnie, że fajne - przytaknął. - To przecież dobrze, że tak bardzo troszczy się o twoją siostrę. Chcesz mnie o coś zapytać?

- Naprawdę będzie pan tu mieszkał?

- Taki był projekt - odparł Jack.

- A umie pan gotować?

- Trochę.

- Spaghetti też? - zagadnął chłopak.

- Owszem.

- Czy słyszałem słowo „spaghetti”? - Avery zerknął ponad ramieniem wciąż stojącej przed nim dziewczyny.

- Umie gotować! - z ożywieniem zawołał Ben.

- Z klopsami? - spytał Avery.

Nagle Jack zdał sobie sprawę, że stał się obiektem zainteresowania wszystkich żywych istot przebywających w kuchni. Riley, Ben, Avery, Beowulf, Bard i Abra spoglądali na niego, jakby trzymał w ręku bilety do ziemi obiecanej.

- Z... klopsami - potwierdził z wolna.

- Nie zapędzicie go do garów już pierwszego dnia pracy! - ucięła Riley. - Dajcie mu chociaż trochę czasu na aklimatyzację. Poza tym dzisiaj ja mam dyżur.

- Wieczorem idę do Jeffa i Henry'ego - natychmiast oznajmił Ben. - Zostanę tam na noc. Musimy się przygotować do egzaminów z matmy.

- Jeff miał przyjść tutaj - przypomniała mu Riley. - Chciałam dziś z tobą porozmawiać.

- Jego mama robi lasagne - odparł Ben i popatrzył na Jacka. - To co z tym spaghetti? Może jutro?

- W sobotę! Świetnie! - ucieszył się Avery. - Przed dziewiątą na pewno wrócę od Harolda. - Przeniósł wzrok na Riley. - Za chwilę też do niego idę. Popracujemy nad trzecim aktem, więc nie czekaj na mnie z kolacją.

Spojrzał na Jacka.

- Witamy na pokładzie.

- Właśnie - dodał Ben i błysnął zębami w uśmiechu. W kuchni zrobiło się pustawo.

- Od razu się uspokajają, kiedy im zapowiem, że mam zamiar wziąć się do kolacji - westchnęła Riley.

- Aż tak źle?

- Nawet gorzej. Ale im też to nie wychodzi. Ja jednak przynajmniej próbuję ich potraw.

- Dlaczego nie zatrudnisz jakiejś gospodyni?

- Nie stać mnie na to.

- Stryj mieszka w apartamencie przy Park Avenue, a nie stać go na gosposię?

- Niestety, nie. Poczył złe inwestycje. - Odwróciła się szybko, ale Jack zauważył, że nagle posmutniała. Spojrzała na zegarek. - Nie stać nas będzie nawet na zakupy, jeśli zaraz nie pojedziemy do Zimmermanów. Zbieraj się. Bernardyn czeka na mały spacer.

Jack kroczył za nią z zamyśloną miną. Prawdziwa Riley nie pasowała do tej, której opis znalazł w policyjnych aktach. I nie była jedyną z rodziny Fosterów, która miała wyraźny motyw, by dokonać kradzieży. Avery potrzebował pieniędzy na swoją sztukę, Ben zaś marzył o karierze filmowca. No i ten apartament... Czyny, utrzymanie...

W windzie zrozumiał nagle, że gnębi go coś jeszcze. Nie chciał, aby to Riley okazała się złodziejką.

- To jest pomocnik, co się zowie, słonko! - z uznaniem powiedziała Winnie Cantrell. - Dokonałaś świetnego wyboru.

Spojrzała na słoiczki stojące na kredensie. Z jednego z nich zaczerpnęła łyżeczkę pokruszonych listków, wrzuciła je do filiżanki i natychmiast sięgnęła do innego. Promienie wieczornego słońca wpadały przez okno do kuchni. Winnie parzyła herbatę tak starannie, jakby przeprowadzała jakieś doświadczenie. Po pewnym czasie spojrzała na Riley. W niebieskiej szyfonowej podomce wyglądała na adeptkę magii.

- Musisz mi wszystko o nim opowiedzieć - oznajmiła Winnie.

Riley z rezygnacją wdrapała się na wysoki stółek. Winnie niemal wprost z korytarza zabrała ją do kuchni, pozostawiając Jacka na łasce trzech innych pań z kółka brydżowego.

- Mów - zażądała.

- Poznaliśmy się w mrocznym zaułku. Pomógł mi... uratować zabłąkaną kotkę - powiedziała Riley.

- Och! Naprawdę? Jakie to romantyczne!

Zdaniem Riley, w Jacku nie było ani krzty romantyzmu. Wręcz przeciwnie, stanowił niemałe zagrożenie. Wciąż pamiętała o tym, co się stało w jego kawalerce. O tym, jak w zasadzie niewiele brakowało, żeby go pocałowała.

- Trochę mi przypomina mojego drugiego męża -ciągnęła Winnie, wciąż zajęta parzeniem herbaty. - Ten to był chłop na schwał... Tylko że nie miał pieniędzy. Ale mnie to zupełnie nie przeszkadzało, bo przejęłam pokaźny majątek po pierwszym mężu.

- Moja znajomość z Jackiem DeRosą to coś całkiem innego. On jest... -
W ostatniej chwili ugryzła się w język. Niewiele brakowało, a byłaby wspomniała, że Jack jest policjantem. - Po prostu moim pomocnikiem. Zatrudniłam go, bo zna się na zwierzętach. Kotka, którą znaleźliśmy, od początku przyłgnęła do niego.

- Zwykły zwierzak, kochanie, a ma więcej rozsądku od ciebie - zauważyła Winnie.

- Nie starcza mi teraz czasu, żeby uganiać się za chłopakami! - z przejęciem zawołała Riley. - Wszystkim wiadomo, że pod koniec roku chcę otworzyć własne schronisko, więc...

- Nie cofnęłam swojej oferty. Chętnie pożyczę ci pieniądze i możesz zaczynać już jutro.

- Nie, dziękuję. Jeśli coś mi się nie powiedzie, stracę tylko własne fundusze.

- Ciągłe się porównujesz z ojcem? Przecież jesteś zupełnie inna. Nie możesz brać na siebie winy za wszystko, co on zrobił.

- I wcale nie zamierzam powielać jego błędów. Nie będę korzystała z cudzych oszczędności.

Winnie ścisnęła ją lekko za obie dłonie.

- Jak chcesz. Wiedz jednak, że na tym świecie nie obędziesz się bez pomocy. Wszyscy tak robią. A teraz powiedz mi coś więcej o swoim pomocniku. Zawsze mówiłaś, że cię nie stać na zatrudnianie nowych ludzi. Dlaczego zmieniłaś zdanie?

Riley była przygotowana na to pytanie. Prawdę mówiąc, oczekiwała go od chwili wejścia do kuchni.

- Niedawno przybył do Nowego Jorku i nie miał się gdzie zatrzymać. Będzie pracował przede wszystkim za wikt i mieszkanie.

- Wprowadził się do ciebie? A to heca! To ja cię tu namawiam, żebyś zwróciła na niego trochę większą uwagę, a ty...

Winnie okrążyła stół i z całej siły uściskała dziewczynę.

- Cofam to, co powiedziałam o mądrości kotki. - Westchnęła z głębi piersi. - Wyczuwam w tym początek przepięknej historii. Wyczytałam to rano w herbacianych fusach. Telefon od komisarza potwierdził zresztą moje przypuszczenia.

- Co powiedział? - zapytała Riley.

- Policja nie znalazła żadnych wyraźnych dowodów, wskazujących na twoje powiązania z tymi kradzieżami. Dalsze śledztwo poszło zupełnie innym torem. - Przerwała, słysząc donośny gwizd czajnika, i odwróciła się w stronę kuchenki. - Jesteś całkiem bezpieczna! A w dodatku spotkałaś pana DeRose. To się nazywa szczęście!

Riley skrzywiła się nieznacznie. Coś ssało ją w żołądku. Szczęście? Cóż za złuda! Żyła krok od koszmaru. Przecież Jack w każdej chwili mógł wsunąć dłoń do plecaka i znaleźć papierową torbę, a w niej - drogocenną brylantową broszkę.

- Winnie... Muszę ci coś powiedzieć. Tylko ciebie darzę pełnym zaufaniem.

- Proś, o co zechcesz, kochanie. Po siedmiu mężach i jeszcze liczniejszych kochankach - nigdy nie stawiałam kresek na wezglowiu łóżka - nic mnie już w życiu nie zdziwi. Nie krępuj się. Opowiadaj.

- Tu nie chodzi o mężczyzn - westchnęła Riley - ale o kradzieże.

- Tym się nie musisz martwić.

- Muszę. Dzisiaj rano zajrzałam do plecaka i znalazłam w nim brylantową broszkę. Nie mam pojęcia, jak tam się znalazła. Chciałam ją zaraz zanieść na policję, ale w tym samym czasie zadzwonił kapitan Duffy i

powiedział, że brakuje im tylko dowodu, żeby mnie aresztować. Przestraszyłam się i o niczym mu nie powiedziałam.

- Co to za broszka? Możesz ją opisać? - zainteresowała się Winnie.

- Jestem zupełnie pewna, że to własność Hattie. Duży kamień pośrodku, otoczony brylancikami. Widziałam, jak ją nosiła.

- No tak... - z westchnieniem powiedziała Winnie. - Tego się właśnie obawiałam.

- Czego? - Riley popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Rozmowa z komisarzem dała mi do myślenia. Napomknął, że jak chcę ci naprawdę pomóc, to powinnam przedstawić własną listę podejrzanych. Nie potrzebowałam się długo zastanawiać. Od razu przyszła mi na myśl Hattie.

- Niemożliwe... - Riley pokręciła głową. - Przecież nie cierpi na brak pieniędzy.

Winnie ściszyła głos do szeptu.

- Przed piętnastoma laty poznałam ją w fundacji, którą wówczas prowadziłam. Uznałam, że warto jej pomóc, więc zaproponowałam, aby przeprowadziła się do tego domu. W przeszłości rabowała banki ze swoim kochankiem. Miał powiązania z mafią. Nazywał się Louis „Skala” Mancuso, ale ona mówiła doń „Rocky”. Zawsze była pod jego wpływem. Przed miesiącem wyszedł z więzienia. To przecież wtedy zaczęły się pierwsze kradzieże, prawda?

Riley tylko przytaknęła.

- Zadzwoił do niej tylko raz. Od tamtej pory Hattie stała się jakaś dziwna.

- Może popadła w czarną rozpacz, że z nią się nie kontaktuje?

- Albo... - Winnie na chwilę zawiesiła głos, a potem dokończyła szeptem: - Albo on próbuje znów ściągnąć ją na złą drogę. Pamiętasz, co w „Ojcu chrzestnym” spotkało Michaela Corleone?

Riley, choćby się starała, nie mogła sobie wyobrazić Hattie Silverman w roli złodziejki. Staruszka chodziła z laską i gdzie usiadła, tam przysypiała.

- Przez tyle lat żyła uczciwie. W dodatku ledwie się rusza. Jak doszłaby do Cory Simpson? Przecież to za daleko!

Winnie ponownie westchnęła.

- W poniedziałek, w sam dzień kradzieży, byliśmy u Cory na plotkach. Pojechaliśmy tam taksówką.

Riley stanowczo pokręciła głową.

- Hattie by cię nie okradła. Lubi was. Ciebie, Gert i Prune... Dlaczego miałyby was skrzywdzić?

- Na pewno zdaje sobie sprawę, że wcale nie zbiedniejemy, kiedy nam zabierze te parę błyskotek.

- Załóżmy, że to prawda. Jak zatem wytłumaczysz fakt, że jej własna broszka znalazła się w moim plecaku?

- Hattie wiedziała, że mam zamiar rozmówić się z komisarzem. - Winnie nachyliła się w stronę dziewczyny. - Bała się, że jak śledztwo pójdzie innym tropem, to zaczną ją podejrzewać. Wpadła w panikę.

Riley chwyciła ją za rękę.

- Chyba się mylisz!

- Jest jeden sposób, by to sprawdzić - odpowiedziała Winnie. - Podrzucić broszkę z powrotem do jej mieszkania. Zobaczymy, co zrobi. Gdy oznajmi, że ją znalazła, to rzeczywiście jest niewinna. Co innego, jeśli spróbuje znowu ci ją podrzucić...

Riley już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknęła. Żadne spory z Winnie nic tu nie pomogą. A poza tym - spodobał jej się ten pomysł. Przecież najlepiej pozbyć się tej upiornej broszki...

- Zgoda - mruknęła. - Zrobię to dziś wieczorem.

- Grzeczna dziewczynka. Potrzebna ci moja pomoc?

- Nie, dziękuję. Lepiej będzie, jak spróbuję sama. Winnie konspiracyjnie mrugnęła do niej okiem, kiwnęła głową, zabrała tacę z herbatą i poszła do pokoju.

- Dolać panu herbaty? - spytała starsza pani, którą Riley przedstawiła mu jako Winnie Cantrell. Gdy zobaczyła, że utyka, zaraz go chciała napić jedną z „lecniczych herbatek”. Jack jednak nie dał zwieść się pozorom. Wiedział, że wyszła do kuchni głównie po to, żeby bez świadków porozmawiać z Riley. Policjanci też tak postępowali.

- Nie, dziękuję - odpowiedział grzecznie. - Jeszcze nie dopiłem poprzedniej.

Winnie bezceremonialnie zerknęła mu do filiżanki.

- To za mało, by magia mogła zacząć działać - oznajmiła. - Nie pomoże na nogę.

Jack poczuł się jak dziecko skarcone przy stole za to, że nie zjadło całego śniadania. Szybko upił następny łyżeczek herbaty.

Winnie z aprobatą pokiwała głową i podeszła do następnej ofiary. W salonie było mnóstwo ludzi. Przeważnie staruszek. W chwili gdy Winnie i Riley zniknęły za drzwiami kuchni, atak na Jacka przypuściły trzy leciwe panie, należące do kółka brydżowego.

Siwowłosa Hattie Silverman była z nich najcichsza i najmniej. Co chwila zapadała w króciusięnką drzemkę. Miała też najmniejszego pieska, rasy chihuahua, który wabił się Baby. W tej chwili oboje spali. Gert i Prune

Fielding były bliźniaczkami. Rozsiadły się w fotelach po obu stronach Jacka. Obie krępe i przysadziste, przyszły z buldogami imieniem Frick i Frack. Charakterem jednak różniły się jak dzień od nocy. Gert była starą zrzedą w okularach, krytykującą wszystko, co powiedziała jej siostra. Z kolei wiecznie uśmiechnięta Prune wcale się o to na nią nie gniewała. Jack zastanawiał się, czy w ogóle jest coś na świecie, co mogłoby ją choć na moment wytrącić z równowagi.

Wtem zauważył, że Prune uśmiecha się do niego przymilniej niż przed chwilą.

- Jeśli nie lubi pan herbaty, to zapraszam do siebie - powiedziała, patrząc gdzieś ponad jego lewym ramieniem. - Parzę wyśmienitą kawę.

- Ha! - parsknęła Gert. - Wyśmienitą. Dobre sobie. Nigdy nie wiadomo, co do niej nasypiesz. - Spojrzała na Jacka. - Bez okularów jest ślepa jak nietoperz.

Jack uniósł swoją filiżankę.

- Bardzo smakuje mi ta herbata.

W odróżnieniu od swoich przyjaciółek, Winnie Cantrell była wysoka i szczupła. Od psów zdecydowanie wolała koty. Miała wielkiego i czarnego kocura o wyjątkowo dobranym imieniu Belzebub. Teraz leżał leniwie na oparciu kanapy, wysuwając pazury dosłownie centymetr od ramienia Jacka.

DeRosa czytał w aktach, że każda z tych kobiet była klientką Riley i że każda z nich padła ofiarą kradzieży. Z uścisków, jakie przed półgodziną towarzyszyły ich powitaniu, należało wnosić, że żadna też nie wierzy w winę dziewczyny.

- Czujesz się pewnie tutaj jak Alicja na podwieczorku u Szalonego Kapelusznika - ściszone głosem powiedziała Riley, siadając tuż koło niego na kanapie. Jack uśmiechnął się do niej w odpowiedzi.

- Zjedz jeszcze jedno ciastko. To pomaga usunąć z ust cierpki smak herbaty.

Zerknął do filiżanki.

- Mogę zapytać, co to za mieszanka? Riley roześmiała się cicho.

- Winnie nigdy nie zdradza sekretów swojej kuchni. Podejrzewam jednak, że to jakiś lubczyk.

- Tego się właśnie obawiałem. - Jack spojrzał na nią spod oka. - Jak ci poszło podczas rozmowy?

Wzruszyła ramionami i popatrzyła w ścianę.

- Nie wie, że jesteś policjantem.

Czego się boi mi powiedzieć? - zachodził w głowę DeRosa. Po południu zrobili całkiem niezłą rundkę. Pięć spacerów z psami. Czeka mnie kolejna bezsenna noc, westchnął w duchu. Bezwiednie rozmasował obolałą nogę.

- Zaraz wychodzimy - odezwała się Riley.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Winnie poszła otworzyć, odprowadzana przez komitet powitalny, złożony z trzech psów i kota. Riley zeszywniała lekko, słysząc głos w przedpokoju.

- Jakieś kłopoty? - cicho zapytał Jack.

- Nie... Nic takiego.

Winnie wróciła w towarzystwie młodego, przystojnego blondyna. Ten rozejrzał się po pokoju, zobaczył Riley i natychmiast ruszył w jej stronę.

- Cześć. Jak leci? - spytał i wziął ją za rękę. - Zmartwiłem się, kiedy ciotka mi powiedziała o kradzieżach i podejrzeniach. Dlaczego nie odpowiadasz na moje telefony? Unikasz mnie?

- Byłam bardzo zajęta - odparła dziewczyna.

- Chciałbym ci jakoś pomóc.

- Wzięłam sobie do serca twoją ostatnią radę i zatrudniłam pomocnika - powiedziała Riley. - To Jack DeRosa. Jack, to siostrzeniec Winnie, Charles Cantrell.

Jack wstał i wyciągnął rękę na powitanie. W ten sposób zmusił Charlesa, żeby puścił dłoń Riley. Wydawało mu się, że dziewczyna westchnęła z ulgą. Właśnie się zastanawiał, co to może znaczyć, kiedy podeszła do nich gospodyni.

- Riley już ci przekazała wszystkie dobre wieści? -zwróciła się do Charlesa. - Wreszcie przyjęła do pracy pomocnika.

- Właśnie się poznaliśmy - odparł Cantrell.

- Ja jeszcze go nie poznałam.

Jack odwrócił głowę na dźwięk nowego głosu. Zobaczył szczupłą blondynkę, idącą w jego stronę.

- Ach, tu jesteś, Christino - ucieszyła się Winnie. -Myślałam, że stoisz za mną.

- Miałam pilny telefon. Przegapiłam coś jeszcze?

- Riley została oczyszczona z wszelkich podejrzeń -oznajmiła Winnie.
- Ktoś w policji poszedł po rozum do głowy.

- Co? Co się stało? - Hattie przerwała drzemkę i nagłym ruchem uniosła się z fotela. - Nie dosłyszałam? Była kolejna kradzież?

Nastąpiły dokładne wyjaśnienia. Jack dowiedział się przy okazji, że Christina jest siostrą Charlesa i że Riley przed laty chodziła z Cantrellem. Charles najwyraźniej chciałby ją odzyskać. Oboje właśnie zniknęli w przedpokoju.

- Tak, proszę pani. Będę pilnował, żeby Frick nie zabawiał się w parku z suczkami - odparł Jack, z roztargnieniem słuchając pouczeń Gert, jak opiekować się jej buldogiem. Uśmiechnął się do niej przymilnie. - Moja

szefowa zbiera się do wyjścia - powiedział. - Nie chciałbym stracić posady już pierwszego dnia pracy.

- Ale ja jeszcze nie zdążyłam nic panu powiedzieć o Fracku. - Prune wyciągnęła rękę, aby go powstrzymać, lecz chybiła o parę centymetrów.

Gert położyła jej dłoń na ramieniu.

- Daj spokój, dziewczyno! Ma przez ciebie wylecieć z pracy?

Jack ukłonił się bliźniaczkom i już, już miał odejść, gdy wyrosła przed nim Hattie. Zmarszczyła czoło, jakby próbowała coś sobie przypomnieć.

- Poznał pan mojego Baby?

- Tak - odpowiedział Jack. Chihuahua wyszczerzył ząbki.

- On chyba pana nie poznaje - zmartwiła się Hattie. - Pewnie przespał całą rozmowę.

- Lepiej na niego uważać - wtrąciła Gert. - To ludożerca.

Baby szczerknął krótko, kiedy Winnie wzięła Jacka pod ramię i poprowadziła w stronę przedpokoju. Opieka nad zwierzętami łączy się z opieką nad ich właścicielami, pomyślał DeRosa. Zuch dziewczyna z tej Riley... Lecz jego podziw trwał nadspodziewanie krótko. Ledwie bowiem stanął w drzwiach, zobaczył Riley całującą się namiętnie z Charlesem.

Targnęły nim sprzeczne uczucia - ale jedno było najsilniejsze. Miał szczerą ochotę złapać Charlesa za kołnierz

I rzucić nim o ścianę.

- Szlag by to trafił! - zakląła Riley, gdy tylko wyszli na ulicę.

- Co się stało? - zapytał Jack.

- Chciałabym mieć nieco więcej doświadczenia w postępowaniu z mężczyznami.

Skęcili za róg budynku. Riley odruchowo zerknęła na Jacka. Kroczył obok, z tym samym nieodgadnionym wyrazem twarzy, który widziała u

niego w przedpokoju, kiedy próbowała uwolnić się z objęć Cantrella. Niezupełnie wiedziała, jak ma to rozumieć.

- Ty na pewno dobrze znasz się na kobietach.

- Co takiego? - Nie potrafił powstrzymać zdumienia.

- Nic się nie przejmuj - powiedziała. - Nie będę cię pytać o szczegóły.

To i tak w niczym by mi nie pomogło. Mężczyźni są inni.

- Nigdy nie rozmawiałaś o tym z tatą? Riley pokręciła głową.

- Zawsze był w biurze albo w delegacji. Na zebraniu lub na jakimś zjeździe. Praca. Przede wszystkim praca. Nie miałam mu tego za złe. Teraz dla mnie praca też jest najważniejsza. Niepotrzebnie pozwoliłam Charlesowi, żeby mnie pocałował... - dokończyła jakby z namysłem.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał. Zatrzymali się na przejściu dla pieszych, czekając na zielone światło.

- Chciał się umówić na randkę, ale mu odmówiłam. Powiedziałam, że mam dużo zajęć. Wyglądał na zrozpaczonego, więc nie broniłam się przed pocałunkiem.

- Głupio zrobiłaś.

- Dzięki - odparła kwaśno. - Zawsze to dobrze wiedzieć, że ktoś podziela twoje zdanie.

Kątem oka zauważyła, że twarz Jacka drgnęła w lekkim uśmiechu. Zrobiło jej się lżej na duszy. Przeszli przez ulicę i wzdłuż Central Parku skierowali się w stronę domu stryja Avery'ego. Chłodny powiew przynosił zapachy bzu i magnolii. O szóstej wieczór zelżał już ruch na ulicach. Większość przechodniów rozeszła się do domów. Riley lubiła tę porę dnia.

- Dlaczego z nim nie zerwiesz, skoro z braku czasu nie zamierzasz się z nikim wiązać?

- Żyję pod ciągłą presją. Charles jest siostrzeńcem Winnie. Ona z kolei usiłuje zabawić się w swatkę. Lubię ją, więc mam wrażenie, że jestem jej coś winna.

Uniosła głowę. Jack przez ułamek sekundy patrzył jej prosto w oczy, a potem spojrział w bok. Nie była pewna, lecz wydawało jej się, że cień smutku przemknął po jego przystojnej twarzy.

- Darzysz ją wielką przyjaźnią - mruknął. - Zresztą z wzajemnością.

Riley przytaknęła w milczeniu. Zatrzymali się na kolejnych światłach.

- To dzięki niej i jej koleżankom z kółka brydżowego zdobyłam tak wielu klientów. Rozповідаły o mnie na lewo i prawo, nie szczędząc pochwał. Zawdzięczam jej bardzo wiele.

- Z tego, co widziałem, wynika prosty wniosek, że żadnej z nich nie zbywa na pieniądzech.

- Też tak zawsze myślałam. Teraz jednak, po tym, co mi powiedziała Winnie... - urwała i zerknęła na Jacka. - Dlaczego pytasz?

- Wykonuję swoją robotę. Chcę znaleźć prawdziwego sprawcę kradzieży.

- To żadna z nich - odparła stanowczo i dodała w duchu: Nieprawda. Na krótką chwilę zapomniała, co jeszcze ma dzisiaj zrobić. Mały błąd, i szybko trafi do więzienia. A jak nie ona, to może Hattie Silverman? Tylko jak podrzucić broszkę z powrotem do mieszkania Hattie? Kątem oka dostrzegła błysk zielonego światła. Zamyślona, dała krok naprzód... i niemal wpadła pod taksówkę, jadącą po pasach. W ostatniej chwili ktoś chwycił ją za ramię i silnie szarpnął do tyłu. Taksówka przemknęła obok, a Riley upadła na Jacka. Oboje przez dłuższą chwilę leżeli na chodniku. Riley z trudem odzyskiwała oddech. Podniosła się powoli. Jack jęknął cicho.

- Nic ci nie jest? - spytała.

- To ta cholerna noga - odparł i usiadł. Para przechodniów ominęła ich szerokim łukiem. - Chyba ją na dobre skręciłem.

- Daj rękę. Pomogę ci wstać - zaproponowała.

- Nie trzeba. Poczekaj, tylko odpocznę z minutę i sam się podniosę.

- Przepraszam - powiedziała. Jack rozmasował biodro. - Nie patrzyłam, co robię, kiedy weszłam na jezdnię. Gdybyś mnie nie złapał...

Na policzku poczuła delikatne drapanie jego brody. Bił od niego niezwykle męski zapach mydła... i słońca. Mogłaby tak długo leżeć w jego objęciach. Kiedy próbowała wstać, położył jej rękę na plecach.

- To nie najlepszy pomysł - powiedział.

Zawisła spojrzeniem na jego ustach. Nieważne, czy to dobry, czy może zły pomysł... Chciała go pocałować. Ani na chwilę nie przestawała o tym myśleć - nawet wtedy, gdy całowała się z Charlesem.

Nie była pewna, kto zaczął pierwszy. Nagle poczuła lekkie muśnięcie na swoich wargach. Trwało to tylko moment, lecz natychmiast ogarnęła ją fala gorąca.

- Bardzo zły pomysł - dodał Jack, nie wypuszczając jej z uścisku.

Tym razem pocałunek trwał o wiele dłużej. Świat odpłynął gdzieś na bok. Jak przez mgłę słyszała trąbienie klaksonu i śmiech, dobiegający z wnętrza jakiegoś samochodu. Serce waliło jej jak młotem. Jack był stworzony dla niej. Chciała mu się zwierzyć ze wszystkich tajemnic... Właśnie, tajemnice. Zbyt wiele ich było i nie wszystkie dostępne dla uszu policjanta. Westchnęła cicho i odchyliła głowę. Jack był gliniarzem, ona zaś podejrzaną, a tuż obok, w plecaku, spoczywał namacalny dowód, który w każdej chwili mógł stać się przyczyną jej ostatecznej zguby.

- Masz rację - wyszeptała. - To nie najlepszy pomysł. Niech to będzie dla nas nauczka na przyszłość.

Z wyraźnym trudem stanął na czworakach i bez pośpiechu dźwignął się na nogi. Riley nie próbowała mu w tym dopomóc. Bardzo się pilnowała, żeby go znów nie dotknąć.

Jack skrzywił się, próbując stać prosto.

- Masz jakiś środek przeciwbólowy?

- Całą fiolkę pastylek, w walizce. Śpię po nich jak suseł.

Gdy ponownie czekali na zmianę świateł, zupełnie nowy plan zrodził się w głowie Riley. Już wiedziała, kiedy i w jaki sposób podrzuci brylantową broszkę do mieszkania Hattie Silverman.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Riley spojrzała na swoje odbicie w lustrze stojącym w sypialni. Patrząca na nią dziewczyna nie wyglądała na kryminalistkę. Ale nią była. Przed chwilą z pełną premedytacją uśpiła policjanta. Zerknęła na swoje dłonie. Wciąż drżały, tak jak wówczas, gdy dosypywała pokruszoną tabletkę przeciwbólową do zupy pomidorowej, przeznaczonej dla Jacka. Niemal ją rozlała, stawiając talerz na stole.

Zjadł wszystko, do ostatniej łyżki. Jeszcze pochwalił ją za to, że dodała tymianku.

Słuchała tego z otępieniem. Do tej pory nikt nigdy nie podziękował jej za pomidorówkę. A przecież to najbezpieczniejszy przepis: otworzyć puszkę, dolać wody i zamieszać. Nawet nie pamiętała o tymianku. Po prostu, niewiele myśląc, sięgnęła po najbliższej stojącą przyprawę i dosypała jej do zupy tylko po to, żeby stłumić gorycz pokruszonej tabletki.

Jack podziękował jej dwukrotnie, a potem zasnął na kanapie.

To już nie było częścią planu. Miał usypiać powoli i w swoim pokoju. Tymczasem zaległ w bibliotece, niemal tuż przy drzwiach wejściowych. To spowodowało niemałe komplikacje. Riley przeprowadziła wszystkie zwierzęta do swojej sypialni, żeby nie hałasowały w chwili jej powrotu do domu.

- Precz, przekłeta plamo! Precz, mówię! - zaskrzeczał Bard.

Riley oderwała spojrzenie od swoich dłoni. Papuga nie odzywała się od chwili awantury z Abłą. Teraz przypomniała sobie kwestię Lady Makbet. Znakomite wyczucie!

- Jesteś jasnowidzem?

- Precz, przeklęta plamo!

Riley zmarszczyła brwi.

- To wcale nie to samo. Nie zabiłam go, tylko uśpiłam.

Przyszło jej do głowy, że te same słowa będzie kiedyś musiała powiedzieć przed sądem. Jeśli Jack DeRosa dowie się, co zrobiła, to ją aresztuje bez żadnych ceregieli.

I na pewno już nigdy w życiu jej nie pocałuje. To byłoby najgorsze. Westchnęła. Jak to się stało, że nie potrafiła myśleć o niczym innym? Mądre dziewczęta nie wypatrują oczu za śledzącymi ich policjantami. Cóż więc ją tak pociągało? Sypianie z wrogiem?

- Nie miałam wyboru.

Bard poważnie popatrzył na nią przez pręty swojej klatki.

Beowulf zaskomlał ze współczuciem, ale nawet nie uniósł łba z poduszki.

- Nie przyzwyczajaj się - poradziła mu Riley. - Jak tylko wrócę, powędrujesz z powrotem na legowisko w kuchni. Muszę jednak podrzucić broszkę do mieszkania Hattie, zanim się ktoś zorientuje.

Popatrzyła na zegarek. Wpół do dziesiątej. Cała akcja zabrała jej więcej czasu, niż było zaplanowane. Nie wiedziała, jak długo tabletka będzie działać. Przycisnęła rękę do brzucha i wpadła do łazienki. Jeden krótki przystanek, a potem do dzieła.

Smród śmieci przyprawiał go o mdłości. Skradał się powoli, wbijając wzrok w ciemność. Noc była bezksiężycowa. Światła latarni nie docierały w głąb ponurego zaułka. Echo strzału błędziło gdzieś po zakamarkach, ale poza tym panowała cisza. Nic nie widział. Rzucił się do biegu, lecz zaraz musiał zwolnić. Po twarzy spływały mu grube krople potu. Nie wiedział, czy zdąży. Nagle tuż przed sobą zobaczył dwa cienie zwarte w morderczym

uścisku. Przystanął i uniósł pistolet w wyciągniętych dłoniach. Odczekał chwilę, żeby uspokoić oddech. Nie mógł strzelać, dopóki nie rozpoznał walczących. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch za sobą i odwrócił się błyskawicznie. W powietrzu błysnęło ostrze noża. Poczł przeszywający ból w boku. Strzelił na oślep i broń wypadła mu z ręki. Jasny błysk na ułamek sekundy rozdarł egipskie ciemności. Znow poczł ostrze noża w swoim ciele. Padł jeszcze jeden strzał. Za późno, przemknęło mu przez głowę, zanim na dobre stracił przytomność. Za późno.

Jack usiadł gwałtownie i przez chwilę nie wiedział, co się stało. Dyszał jak lokomotywa. Rozejrzał się.

W pierwszym odruchu nie poznał tego miejsca. Skupił uwagę na przedmiotach. Pamiętał z doświadczenia, że to najlepszy sposób, by pozbyć się koszmaru. Słyszał swój oddech. Zamknął powieki, znow je otworzył i przycisnął ręce do skroni. Głęboko wciągnął powietrze. Poczł woń starej skóry i wosku zmieszanego z cytryną. Obok niego, na małym stoliku, stała zapalona lampka z witrażowym abażurem. Na drewnianej podłodze leżał wyblakły dywan. Całą przeciwległą ścianę zajmował regał z książkami.

Jack zamrugał oczami. Był w bibliotece, w mieszkaniu Riley Foster. Przypomnił sobie, że po kolacji oprowadzała go po pokojach. Tutaj przyszli na końcu. Usiadł i...

Zasnął? Nigdy dotąd mu się to nie zdarzało. Ze zmarszczonymi brwiami próbował sobie przypomnieć wszystkie wydarzenia minionego wieczoru. Skąd wziął się w bibliotece? Och, prawda... Noga bolała go tak bardzo, że postanowił wcale się nie kłaść. Chciał poczytać. Poczekałby, aż wszyscy zasną, i wtedy przeszukał mieszkanie. Książki stały na półkach bez ładu i składu, więc trochę trwało, zanim którąś wybrał i usiadł na kanapie.

Skrzypnęły drzwi. Jack odruchowo napiął wszystkie mięśnie. Już się podnosił, kiedy spostrzegł kotkę. Abra zatrzymała się w progu, a potem przydreptała bliżej. Jednym susem znalazła się na stoliku.

Jack popatrzył jej prosto w oczy.

- Nie przepadam za kotami.

Nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Powoli przeszła na drugą stronę stolika i przeskoczyła na poduszkę.

- Nigdy nie rezygnujesz, co?

Ułożyła się wygodnie tuż koło jego biodra.

- Głupia - mruknął Jack. Wbrew swoim słowom delikatnie przesunął palcem po zmierzwionym futrze. Riley miała rację - Abra lgnęła do niego.

Myśl o Riley sprawiła, że spojrzał na zegarek. Wpół do dziesiątej. Kolacja była koło ósmej, a potem przeszli się po mieszkaniu. Riley stwierdziła, że co najmniej przez dwie godziny będzie ślęczała nad papierami. Jack popatrzył w stronę biurka. Tu ją widział tuż przed zaśnięciem. Siedziała, pochylona nad jakimś rejestrem, i pisała zawzięcie. W bibliotece było tak cicho jak teraz. Niczym z ogromnej dali słyszał skrzypienie ołówka i szelest przewracanych kartek. Było mu dobrze jak w rodzinnym domu. Pamiętał to uczucie z odległych lat dzieciństwa. Oczy kleiły mu się do snu.

Drgnął. Znów przysypiał. Głowa opadła mu na ramię. Co to ma znaczyć? Nigdy przedtem nie miał takich przygód. Chyba że... Z nagłym podejrzeniem podniósł się z kanapy i przeniósł cały ciężar ciała na zranioną nogę. Poczuł lekkie mrowienie, ale nic poza tym. Ani śladu bólu, który mu dokuczał.

Nie brał środków przeciwbólowych, bo po każdej dawce był nieco ociężały. Tak jak teraz. Instykt gliniarza, poparty doświadczeniem,

podpowiadał mu, że Riley specjalnie go uśpiła. Przecież sam jej powiedział, że schował do walizki sporo różnych tabletek.

Chcąc, nie chcąc, musiał przyznać, że popełnił błąd. Przede wszystkim winien pamiętać, że jest policjantem. Nie wolno mu przejawiać głębszych uczuć w stosunku do podejrzanej. Powinien ją traktować z jak największą rezerwą. O, właśnie. Przecież już widywał wiele ładnych dziewcząt i nie miało to żadnego wpływu na jego zachowanie. Przynajmniej nie w godzinach pracy.

Riley jednak była inna. Całkiem inna. Po prostu go uśpiła. Jego własnym lekarstwem! Jack wszedł do kuchni. Nie znalazł tutaj ani dziewczyny, ani psa, ani papugi. W pierwszej chwili wpadł w przerażenie. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Pewnie uciekła, żeby zatrzeć za sobą wszystkie ślady. Potem jednak pomyślał spokojniej. Nie, tego by nie zrobiła. Wprawdzie znali się niezbyt długo, lecz widział jej stosunek do brata i stryja. Nie zostawiłaby ich na pastwę losu. A poza tym... Jack uśmiechnął się chytrze. Nie odeszłyby zbyt daleko z górą futra na czterech łapach i papugą co pięć minut cytującą skrzekliwie Szekspira.

Spojrzał na czajnik. Miał ogromną ochotę na kawę, ale wiedział, że najpierw musi za wszelką cenę znaleźć Riley.

Odwrócił się, aby pójść dalej, i nagle poczuł, że coś ociera mu się o nogę. Była to oczywiście Abra.

- Poprowadzisz? - spytał.

Jego pokój był na samym końcu korytarza. Kotka jednak skierowała się całkiem gdzie indziej. Jack pchnął drzwi do sypialni i poczuł delikatną woń polnych kwiatów. Zapach Riley. Rozejrzał się. Odpowiedziały mu puste spojrzenia psa i papugi. Znow się zaniepokoił. Zamknęła Barda i Beowulfa po to, żeby spokojnie uciec? W tej samej chwili usłyszał szum

wody dochodzący zza zamkniętych drzwi łazienki. Westchnął z ulgą. A zatem wciąż była tutaj.

Powiew wiatru poruszył firankami. Z dala dobiegały ściszone odgłosy ulicy. Sądząc po meblach, ten pokój był kiedyś przeznaczony dla jakiegoś mężczyzny. Białe obicia w granatowe prążki, ciemne drewno, bez żadnych upiększeń... Ale z drugiej strony, na wszystkim znać już było wyraźne piętno Riley. Na ścianach wisiały duże kolorowe zdjęcia rozmaitych zwierząt. Jack nawet rozpoznał trzy psy, które widział dzisiaj wieczorem w mieszkaniu Winnie Cantrell. Na kanapie leżały niedbale rzucone tęczowe poduszki. W sypialni panował niezwykły porządek. Jack zajrzał do kilku szuflad. To samo. Wszystko poukładane na swoim miejscu.

Potem zobaczył plecak leżący przy łóżku. Do tej pory nie miał okazji sprawdzić, co jest w środku. Wziął go do ręki i odsunął suwak. Abra natychmiast wskoczyła na pościel, a Beowulf leniwie uniósł łeb z poduszki. Wstał i wsunął nos do plecaka, jakby szukał jedzenia. Złapał coś w pysk, posmakował i wypluł.

- Źle się dzieje w państwie duńskim! - oznajmił Bard. Beowulf znów obwąchiwał plecak. Tym razem wyciągnął batonik. Abra kocim truchtem przydreptała bliżej, ale Jack wciąż patrzył na papierową torbę, która jeszcze przed chwilą tkwiła w psim pysku. Wystawało z niej coś - broszka? Uniósł ją. Na ścianach zamigotały różnobarwne ogniki.

Usłyszał cichy stuk drzwi od łazienki. Riley weszła do sypialni. Jack uniósł głowę.

- Możesz to jakoś wytłumaczyć? - spytał.

Nie odpowiedziała. Oczy zrobiły jej się wielkie jak spodki, poblądła i osunęła się na podłogę.

- Hej. Wstawaj. Nie śpij.

Głos dochodził do niej z ogromnej odległości. Poczowała czyjaś dłoń na swojej twarzy. Westchnęła i poruszyła głową.

- O, tak. Grzeczna mała. Otwórz oczy.

Głos był znajomy, głęboki i natarczywy. Zrobiła, co jej kazano, i spojrzała na Jacka. Jego twarz była tuż przy jej twarzy. A może to tylko sen? Taki piękny... Sen o miłości i o pożądaniu. O czystym uczuciu, zrodzonym między dwojgiem młodych...

- Czy ja śnię? - zapytała.

- Nie.

- To jeszcze lepiej - stwierdziła z westchnieniem.

- Zemdlałaś.

Zamrugła oczami i nagle wszystko sobie przypomniała. Zobaczyła Jacka, który stał obok jej łóżka i trzymał w ręku brylantową broszkę. Zacisnęła powieki. Niech to będzie tylko zły sen, błagam! - zaszlochała w duchu. Ale kiedy ponownie otworzyła oczy, wszystko było jak przedtem.

- Nie umarłam? - spytała.

- Można tak powiedzieć.

- Całe życie przemknęło mi przed oczami. Słyszałam, że po czymś takim na pewno się umiera.

Jack zasznurował usta, żeby się nie uśmiechnąć".

- Zwykle bajki. Możesz usiąść?

- Nie zakujesz mnie najpierw w kajdanki?

- Coś mi się zdaje, że nie jesteś w stanie popробować nagłej ucieczki - mruknął Jack. Złapał ją pod pachy i posadził, opierając o łóżko. Sam usiadł obok.

- Pewnie jesteś ciekaw, skąd mam tę broszkę.

- Owszem.

Pokręciła głową.

- Nigdy mi nie uwierzysz.

- Nie zaszkodzi spróbować. Zacznijmy od prostych pytań. To twoja własność?

Riley zastanawiała się przez chwilę. Co prawda cały dzień spędzili razem, nawet się całowali, ale w gruncie rzeczy nic o nim nie wiedziała. Poza tym że do przesady uwielbiał porządek. Co jeszcze? Och, prawda... umiał gotować. Winnie go polubiła... i jej przyjaciółki także... i lubił zwierzęta. Abra znowu wskoczyła mu na kolana. Zakochana idiotka. A co na drugiej szali? Niewiele... nie licząc policjanta, który przed chwilą odkrył dowód przestępstwa.

- Wystarczy, że powiesz prawdę - mruknął Jack tym samym głębokim głosem, który ją wyrwał z omdlenia.

- Nigdy nie miałam takiej broszki. Należy do Hattie Silverman.

- Wierzę ci. Widzisz? Poszło jak po maśle.

- No dobrze, więc próbujmy dalej. Wcale jej nie ukradłam. Nie wiem, w jaki sposób znalazła się w moim plecaku. Naprawdę.

- Źle się dzieje w państwie duńskim - zauważył Bard. Riley spojrzała na papugę ponad krawędzią łóżka.

- Wydaje mu się, że jest jasnowidzem. - Odwróciła głowę i napotkała nieprzenikniony wzrok Jacka. - Myślisz, że kłamię, prawda?

- Przede wszystkim muszę się napić kawy. A tobie przydałby się solidny łyk koniaku. Znajdziesz tu jakąś butelczynę?

- Nie mamy czasu...

- Uhm. - Zgonił kota z kolan na podłogę i wstał. Skrzywił się, prostując kolana. Riley zerwała się natychmiast i podparła go ramieniem.

- Ty się nie ruszaj - mruknął. - Bo znów mi zemdlejesz. Zrozumiano?

- Ale twoja noga...

- Już z nią dużo lepiej - powiedział. - Te tabletki są wprost cudowne.

Riley zaczerwieniła się jak burak.

- Zatem wiesz?

- Dobry gliniarz zawsze rozpozna, kiedy go ktoś uśpi.

I dobry gliniarz powinien zawsze rozpoznać, że ktoś kłamie. Jack z namysłem popatrzył na Riley. Zmarszczyła nos i nieufnie zajrzała do kieliszka z koniakiem. Ostrożnie pociągnęła pierwszy łyček. Oj, chyba w tym wypadku będę musiał zrezygnować ze swoich dawnych przyzwyczajień!
- westchnął w duchu DeRosa.

Zawsze był dumny z tego, że potrafił panować nad emocjami bez względu na okoliczności. Teraz jednak, niespodziewanie dla samego siebie poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Wszystko zaczęło się w zaułku, w czasie awantury o plecak i bezdomnego kota. Miał wrażenie, że w jakiś dziwny sposób coś go łączy z tą dziewczyną.

Chciał jej wierzyć, choćby przez to stał się nawet mniej obiektywny. Mało tego, cholernie dobrze czuł się w jej towarzystwie. Wziął kubek do ręki i wypił resztkę kawy. Potem usiadł po drugiej stronie stołu, naprzeciwko Riley. Najwyższa pora zacząć działać, jak przystało na prawdziwego detektywa, pomyślał.

Dziewczyna zadrżała, skrzywiła się i wychyliła następny łyk koniaku.

- Nie smakuje ci? - spytał.

- Przypomina lekarstwo. Kiedy byłam mała, miałam niańkę, Irlandkę, która leki mieszała z cukrem i whisky. To wystarczyło, żeby zrobić ze mnie abstynentkę.

- Tak to już bywa. Mnie w przyszłości też będzie trudno namówić do zupy pomidorowej.

Ciemny rumieniec zabarwił jej policzki.

- Przepraszam. Byłam przekonana, że się niczego nie domyślisz.

- Dlaczego to zrobiłaś?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Muszę podrzucić te broszkę z powrotem do mieszkania Hattie.

- Dlaczego?

- To bardzo skomplikowana sprawa.

Jack wstał, podszedł do kredensu i nalał sobie jeszcze jedną kawę. Zdecydowanie była mu potrzebna, jeżeli chciał zachować zdolność trzeźwego myślenia.

- Zaoszczędzisz mi sporo czasu, opowiadając wszystko po kolei.

Riley przełknęła łyk koniaku.

- Winnie uważa, że to właśnie Hattie jest złodziejką.

- Ta z małym pieskiem? Ta, co wciąż drzemała?

- Tak.

- Nietypowa z niej kryminalistka.

- W pierwszej chwili też nie mogłam w to uwierzyć. Ale Hattie ma za sobą kryminalną przeszłość. Rabowała banki. Jej dawny partner dopiero miesiąc temu opuścił mury więzienia. Miała doskonały motyw, środki i możliwości. Potrzebne jej są pieniądze.

Jack słuchał w skupieniu. Riley powtórzyła mu niemal całą rozmowę z Winnie.

- Dzisiaj w nocy chciałam podrzucić broszkę do jej mieszkania i przy okazji sprawdzić, czy nie ma tam innych skradzionych rzeczy. Może znalazłabym jakiś dowód na to, że Rocky nadał się z nią spotyka?

Jack przypatrywał się jej przez moment. Raport Alex nie zawierał żadnych rewelacji, dotyczących osoby Hattie Silverman.

- To najbardziej niecodzienna opowieść, jaką słyszałem w swoim zawodowym życiu - oznajmił bez ogródek. - A słyszałem już naprawdę wiele.

Riley odpowiedziała mu szczerym spojrzeniem.

- Nic innego ode mnie nie usłyszysz.

Odstawił kubek i podniósł się ze stołka.

- Idziemy.

- Och... - Zamarła, niezdolna do żadnego ruchu. Wziął ją pod rękę i pomógł wstać.

- Ale... Pozwól mi chociaż napisać kilka słów do stryja i Bena. Muszę im zostawić odpowiednie instrukcje.

- Po co? Przecież wrócą rano.

- Muszą się sami zająć klientami przez ten czas, jak będę w więzieniu.

Jack westchnął ciężko.

- Nie zabieram cię do więzienia. Pomogę ci podrzucić broszkę do mieszkania pani Silverman.

- Co takiego?! Więc mi wierzysz?

- Powiedzmy, że wierzę w uczciwą policyjną robotę.

Najlepiej kolejno sprawdzić wszystkich podejrzanych. Zaczniemy od twojej przyjaciółki Hattie.

- Masz jakiś konkretny plan? - zapytał Jack, kiedy stanęli pod budynkiem, w którym mieściła się siedziba kółka brydżowego Winnie Cantrell. Dochodziło wpół do jedenastej. Przez szklane drzwi widać było jasno oświetlony hol, wartownika w mundurze i kamerę wiszącą na ścianie.

- Coś w tym stylu - odpowiedziała Riley i wsunęła swój klucz do zanika.

Wartownik uniósł głowę znad książki i uśmiechnął się na powitanie.

- Dobry wieczór, panno Riley. Wzięłem się za psa dokładnie tak, jak mi pani kazała. Wnuczek jest po prostu zachwycony.

- Bardzo się cieszę, Tommy. - Riley szybkim krokiem podeszła do kontuaru. - Poznaj mojego nowego pomocnika, Jacka. Jack, to Tommy Nesbitt.

- Nie spodziewałem się, że pani tak szybko wróci. Pani Cantrell chyba już śpi o tej porze.

Riley pochyliła się do niego.

- Nie przyszłam do Winnie. Obiecałam Hattie, że przed snem wpuszczę krople do oczu jej pieska. Bała się, że zapomni, a nie chce, aby wszyscy wiedzieli, że ma kłopoty z pamięcią. Hattie jest taka czuła na punkcie swojej sprawności...

Tommy uśmiechnął się szeroko i łobuzerko mrugnął okiem.

- Sam jestem już w takim wieku, że też zaczynam zwracać na to większą uwagę. Mam zadzwonić do pani Silverman, aby uprzedzić ją, że pani przyszła?

Riley pokręciła głową i skierowała się do windy.

- Nie. Jeśli już śpi, to nie będę jej budzić. Wejdziemy tylko na parę sekund i już nas nie ma.

Jack milczał do chwili, kiedy zamknęły się za nimi drzwi kabiny.

- To było sprytne. - Riley może miała niewinne spojrzenie, lecz okazała się zręczną kłamczuchą. Postanowił to sobie zapamiętać.

- Nie lubię kłamać - powiedziała, jakby czytając w jego myślach. - Za każdym razem mam wrażenie, że nos mi się wydłuża o całe kilometry.

Uśmiechnął się mimo woli.

- Kłamiesz jak z nut - zauważył.

Z jej oczu zniknął ślad rozbawienia. Nie zdążył jednak zapytać o nic więcej, bo w tej samej chwili winda stanęła na piętrze i rozległ się cichy syk rozsuwanych drzwi. Riley poszła w głąb korytarza. Dogonił ją w momencie, gdy wchodziła do mieszkania Hattie.

- Możesz mnie trochę wtajemniczyć w swoje przemysłne plany?

Odwróciła się do niego.

- Przeszukiwałaś już mieszkania?

Znacząco poruszył brwiami.

- Mam w tym nieco doświadczenia.

- Podrzucę broszkę do sypialni Hattie. Ty przez ten czas rozejrzyj się po pokojach i sprawdź, czy nie znajdziesz jakichś skradzionych rzeczy.

Jack nagle uświadomił sobie, że niczego, co w ten sposób znajdą, nie będzie można przedstawić jako dowodu na rozprawie. Z drugiej strony, był niemal pewien, że tutaj nic nie ma. Zamknął za sobą drzwi i poczuł, że drobne ząbki wbijają mu się w kostkę.

- A niech to szlag! - jęknął.

Usłyszał ciche warczenie, a potem coś go ugryzło w drugą nogę.

- Coś mnie gryzie! - wysapał i przesunął ręką po ścianie, szukając kontaktu. Zapalił światło.

Był to Baby, skulony i gotów do następnego ataku. Jack odskoczył i niechcący mocniej stanął na zranionej nodze.

- Zabierz go stąd - mruknął. Poczuł, jak kolano się pod nim ugina. Uderzył ramieniem w ścianę.

Riley klęknęła na podłodze.

- Baby... To tylko ja. I Jack.

Baby szczechnął, odbiegł kilka kroków, zawrócił w miejscu i znów zaszarżował.

- Ciiicho... - Riley wyciągnęła do niego rękę. Zatrzymał się, nerwowo obwąchał jej palce, pobiegł dalej i zaczął szczekać na Jacka.

W drugim pokoju błysnęło światło. Laska stuknęła o podłogę.

- Co tam się dzieje, Baby? Kto przyszedł? To ty, Rocky? Odpowiedz!

Na głos swojej pani pies odbiegł w głąb mieszkania.

- Rocky? Uważaj, bandyto. Mam broń.

Jack usłyszał charakterystyczny trzask odwodzonego kurka.

- Ona nie żartuje. - Sięgnął za siebie, otworzył jakieś drzwi, złapał Riley za ramię i wciągnął ją za sobą. Laska zastukała bliżej. Baby wyskoczył z ujadaniem, pośliznął się na posadzce, nie zdążył wyhamować i uderzył w ścianę. Zerwał się zaraz i znów zaczął szczekać.

- Znikamy stąd - oznajmił Jack, zamknął drzwi i odwrócił się, gotów do ucieczki. Dopiero teraz zauważył, że siedzą w przestronnej szafie. Baby wciąż szczekał. Łupnął w drzwi i zaczął drapać. Stukot laski rozlegał się coraz głośniejsze.

- Prędko! - Jack rozgarnął ubrania i przedarł się pod tylną ścianę szafy. Na podłodze stały rozmaite, wielkie i małe pudła. W końcu znalazł odrobinę miejsca, żeby swobodnie stanąć.

- Nic ci nie jest? - szepnęła Riley.

Usłyszał ją tylko dlatego, że stanęła na jakimś pudełku i jej usta znalazły się na wysokości jego ucha. Była tak blisko, że jej policzek dotykał jego policzka. Jack zacisnął powieki i starał się o tym nie myśleć.

- Zaraz kichnę - wyszeptała.

Odwrócił głowę i zamknął jej usta pocałunkiem. Nie kichnęła i nie zaprotestowała. Odwrotnie, przysunęła się jeszcze bliżej, jakby tylko na to czekała. Była słodka. Jack czuł dotyk jej pełnych piersi. Przestań, powtarzał

sobie w myślach, ale niewiele to pomagało. Stała tuż przy nim, tak blisko, że wyczuwał bicie jej serca.

Hattie otworzyła drzwi szafy i głośne szczekanie wyrwało Jacka ze świata cudownych marzeń. Przypomnił sobie zniszczenia, jakich ładunek śrutu może dokonać w ludzkim ciele. Przesunął się przed Riley, żeby ją sobą zasłonić.

- Cicho, Baby! Cicho, mówię!

Pies szczeknął raz jeszcze i pisnął o wiele ciszej.

- Przecież widzisz, że tu nikogo nie ma. Gdzie by się miał schować? Tu są stare ubrania i listy, które Rocky przysyłał mi z więzienia. Nawet ty nie możesz się wcisnąć do środka. Chodź już.

Baby znów pisnął.

- Przestań jęczeć i wracaj do łóżeczka. Muszę się przespać. Ostatnio zdarza mi się, że nie pamiętam, jak się nazywam. Przyjdzie czas, że i o tobie też zapomnę.

Trzasnęły zamykane drzwi.

Jack westchnął z ulgą. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymywał oddech. W oddali cichło stukanie laski. Jack powoli policzył do dziesięciu i dopiero wtedy przystąpił do działania.

- Idziemy - szepnął do Riley. Po cichu wypełzli z szafy. Przedpokój był zupełnie pusty, lecz w ciemnościach usłyszeli skrobanie psich pazurów po podłodze. Zanim Baby znów zaczął szczekać, Jack wyciągnął dziewczynę na korytarz i starannie zamknął za sobą drzwi wejściowe.

Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, dopóki bezpiecznie nie dotarli do windy. Zresztą, o czym tu gadać? - ze złością pomyślał Jack. Jak można być takim głupim! Tuż koło siebie usłyszał śmiech Riley. Popatrzył na nią.

- Przepraszam... - jęknęła. - Już nie mogę...

Roześmiała się na całe gardło, aż łzy stanęły jej w oczach.

Jack zmarszczył czoło. Co w tym takiego śmiesznego?

- Myślisz, że to zabawne?

- Zapomniałam, że Hattie ma strzelbę!

- Wiedziałaś?!

Riley głęboko zaczerpnęła tchu i oparła się plecami o ścianę kabiny.

- Od dawna wisi nad jej łóżkiem. Ale jest nie nabita. W całym domu nie znajdziesz amunicji. Hattie uważa się za pacyfistkę.

- Wykiwała nas - warknął Jack, lecz śmiech Riley był tak zaraźliwy, że w końcu sam zachichotał. - To przynajmniej wyjaśnia, dlaczego nie sięgnęłaś po swój pistolet z octem.

Teraz już śmieli się na dobre. Wciąż chichocząc, minęli Tommy'ego i uciekli.

- To miłe, że Rocky ciągle do mej pisał przez te wszystkie lata... - zaczęła Riley i urwała nagle.

- Co się stało? - zapytał Jack.

- Broszka. Muszę tam wrócić.

- Nie ma mowy - zaprotestował Jack. Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. - Strzelba może być nie nabita, ale Baby ma ostre zęby!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wstawał świt. Przez kuchenne okno Jack widział powoli jaśniejące niebo. Miał nadzieję, że nowy dzień pozwoli mu pozbierać myśli. Spędził niespokojną noc, to budząc się, to znów zasypiając. Dawne koszmary odeszły w niepamięć, zastąpione dziwnymi marzeniami, w których główną rolę odgrywały Riley i ciasna szafa w przedpokoju u Hattie Silverman.

Starał się myśleć o czymś innym, ale nie bardzo mu to wychodziło. Od powrotu do domu żadne z nich nie wspomniało o „incydencie” w szafie. Riley powiedziała mu krótko „dobranoc” i poszła do swojej sypialni. On zrobił to samo, lecz o trzeciej rano porzucił wszelką nadzieję, że uda mu się wyspać. Zrobił więc to, co zamierzał zrobić od samego początku - przeszukał mieszkanie.

Nie znalazł żadnych skradzionych rzeczy, ale dowiedział się wiele o Fosterach. Avery był chomikiem. Zbierał wszystko: stare programy teatralne, listy od wielbicieli, wycinki z gazet i miłosne wyznania licznych kochanek.

Ben miał hopla na punkcie filmów. Zgromadził pokaźny zbiór kaset wideo, a na ścianach w swoim pokoju pozawieszał kartki z rozpisany szkicem jakiegoś scenariusza.

Jack ziewnął szeroko i popatrzył na rąbek słońca, widoczny już ponad horyzontem. Zwykle lubił tę porę dnia. Teraz jednak przede wszystkim musiał się napić kawy.

Z niechęcią zerknął na czajnik. Woda gotowała się stanowczo zbyt wolno. Kiedy będzie ta kawa?!

Riley nie była zaskoczeniem. W życiu codziennym okazała się równie pedantyczna, jak w pracy. Nad biurkiem w bibliotece wisiał plan miasta z zaznaczonymi domami klientów i głównymi trasami spacerów, przewidzianymi dla czworonogów. W dwóch plecakach, leżących obok biurka, znalazł dokładnie to samo: notatniki z adresami, plastikowe torebki z karmą, klucze i sikawki. Księga rachunkowa była prowadzona z niezwykłą starannością. Fosterowie żyli z tego, co udawało się im zarobić. Riley odkładała niewielkie sumy na naukę Bena, lecz poza tym żadne z nich nie robiło choćby najmniejszych inwestycji ani nie miało oszczędności.

Jack zaparzył kawę i z cichym westchnieniem oparł się o kredens. Zupełne fiasko. Ani nie znalazł skradzionej biżuterii, ani nie wiedział, co ze sobą począć. Podniósł kubek do ust. Wprawdzie oparzył język pierwszym łykiem kawy, lecz to przynajmniej pozwoliło mu odzyskać jasność umysłu.

Nie wolno mu było kochać Riley Foster. Nie mógł sobie na to pozwolić. Po pierwsze, powinien się zająć pracą. Po drugie, panna Riley nie była zwykłą dziewczyną, skora do flirtu. Szukała w życiu czegoś więcej.

Poczuł, że coś go trąca w pogryzioną kostkę, skrzywił się i popatrzył w dół. Napotkał czujne spojrzenie kocich oczu.

- Uważaj, Abra. To w tę nogę zatopił kły groźny Baby.

Zupełnie nowy i oddzielny problem stanowiła Hattie. Nie miał najmniejszej szansy, żeby dokładnie przeszukać jej mieszkanie. A jak inaczej zdobyć potrzebne dowody? Postanowił sobie, że w najbliższym czasie musi wpaść na posterunek i dowiedzieć się czegoś więcej o niejakim Louisie Skale Mancuso.

Abra znów otarła się o jego nogę.

- Au! Mówiłem ci, że to mnie boli!

- Powinieneś... iść do lekarza - zamruczała zaspana Riley, przyglądając mu się spod wpół przymkniętych powiek. Przed chwilą weszła do kuchni. - Lepiej... uff -jęknęła nagle, bo uderzyła biodrem o blat stołu. - Lepiej niech to ktoś obejrzy.

- Mówiłem ci już, że nic mi nie będzie. Dwa miesiące temu dostałem serię zastrzyków przeciwężcowych. A poza tym nafaszerowali mnie różnymi lekarstwami.

Riley była już ubrana w dzinsy, podkoszulek i niebieską kurtkę. Ledwo jednak patrzyła na oczy i chwiała się przy każdym kroku.

- Kawy - mruknęła. Wyciągnęła ręce i niemal po omacku sięgnęła po kubek.

Jack pomógł jej w tych poszukiwaniach.

- Raczej nie jesteś rannym ptaszkiem, prawda?

- Nie. - Riley wypła łyk i jednym okiem popatrzyła na Jacka. - W przeciwieństwie do ciebie.

Abra miauknęła głośno. Jack spojrzał na nią.

- Dlaczego leży na grzbiecie i macha łapą w powietrzu? Co jest?

Riley zerknęła pod stół.

- Chce, żebyś ją podrapał. Kiedy tak się układa, to dowód zaufania. Uważa cię za swoją własność.

- Nie ma mowy - odparł Jack, lecz przykucnął i podrapał kotkę po brzuchu. - Koty są wyjątkowo głupie.

- Nieprawda - sprzeciwiła się Riley, podchodząc do lodówki. - Ich iloraz inteligencji jest niższy tylko od kapucynek i szympansów.

Otworzyła zamrażalnik, wyjęła kostkę lodu i wrzuciła ją do kubka. Kilka kropel gorącej kawy chlapnęło jej na rękę.

- Au!

- Wiesz co? Idź lepiej z powrotem do łóżka.

- Nie mogę. - Wypiła kolejny łyk i udało jej się otworzyć drugie oko. -

W każdy sobotni poranek mam najwięcej pracy. Aż pięć psów muszę wyprowadzić na spacer i... - Z cichym westchnieniem ulokowała się na stołku. -I czeka mnie jeszcze dzisiaj spotkanie z budowlańcem.

- Z jakim znowu budowlańcem?

- Ma zerknąć na pomieszczenia, które wynajęłam na potrzeby Foster Care, i zrobić kosztorys.

- A co potem? - zapytał Jack.

- Przeczytam to i się rozpłaczę - odpowiedziała Riley, krzywiąc się. - Później obetrę łzy, usiądę z kartką w rękę i obliczę, ilu klientów mi potrzeba, żeby mu zacząć płacić.

- Nie możesz zaciągnąć pożyczki?

- Próbowałam. Nikt w banku nie chce gadać z dziewczyną, która nie ma żadnego doświadczenia w interesach.

- A u klientów?

- Nie - odpowiedziała twardo. - Jeżeli mi się nie powiedzie, to tylko ja na tym stracę. Nie roztrwonię pieniędzy przyjaciół.

Jack przyglądał jej się przez chwilę. Riley zwróciła głowę w jego stronę, ale wciąż miała trudności z mówieniem i patrzeniem.

- Chcesz śniadanie? Jajecznice... albo coś takiego? Znacząco poruszył brwiami.

- Od ciebie? Raczej nie, dziękuję.

- Bardzo śmieszne. - Wstała od stołu i wyciągnęła kubek w stronę Jacka, żeby jej dolał kawy.

Promień słońca zamigotał w jej włosach. Wyglądała naprawdę prześlicznie. Zaspana i kusząca... Jack odstawił czajnik i wsunął ręce do kieszeni. Najwyższa pora, żeby wyjaśnić sobie parę rzeczy, pomyślał.

- Chciałbym na chwilę wrócić do tego, co wydarzyło się zeszłej nocy...
- zaczął.

Riley gwałtownie zamrugowała powiekami.

- Zeszłej nocy? - powtórzyła. - Aaa... prawda. Zapomniałam. Musimy podzucić broszkę.

- Nie - sprzeciwił się Jack.

- W ogóle niczym się nie przejmuj - wpadła mu w słowo Riley. - Tym razem pójdę sama. Nie mam pewności, czy Baby znów cię nie ugryzie. Zwykle jest bardzo grzeczny. Lubi mnie.

- Nie w tym rzecz - przerwał jej. - Chodzi mi o to, co się stało w szafie.

- Ach...

Jack spojrzał jej prosto w oczy i poczuł się bardzo dziwnie.

- Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała.

- W jakim sensie?

- Nie powinienem cię całować.

Popatrzyła na niego odrobinę przytomniej. Wbrew woli zerknął na jej usta. Były leciutko rozchylone i wilgotne... Gdybym ją teraz pocałował, pewnie bym poczuł smak świeżej kawy, pomyślał. Zdziwił go gwałtowny przypływ pożądania. Riley podeszła parę kroków bliżej i położyła mu rękę na piersi. Abra zamiauczała. Jack cofnął się aż pod kredens.

- Nie.

Przez twarz Riley przemknął cień smutku. Szybko spuściła powieki. Tak będzie dla nas najlepiej, z bólem pomyślał Jack. Aby ukryć swoje zmieszanie, pochylił się i podniósł Abregę z podłogi.

- Posłuchaj, Riley... Mam do wykonania pewne ważne zadanie. Powinienem jak najszybciej wracać do pracy. Tobie też nie brakuje zajęć. Będzie lepiej, jak w miarę szybko wyjaśnimy sprawę kradzieży i unikniemy zbędnych komplikacji.

- Tak... oczywiście - odparła. - Masz rację.

Cholera! Widać było wyraźnie, że się zdenerwowała. Drżącą ręką odstawiła kubek na stół. Jack miał wrażenie, że kopnął małe bezbronne zwierzątko. Abra polizała go po rękę. Sprawilo mu to niewielką ulgę.

- W szafce znajdziesz płatki kukurydziane - powiedziała Riley i odeszła.

Pobiegł za nią, chociaż wiedział, że nie powinien tego robić. Złapał ją za rękę.

- Riley... To wszystko wyszło nie tak, jak naprawdę chciałem...

Popatrzyła na niego zupełnie przytomnie i buńczucznie uniosła głowę.

- Wyraziłeś się nadzwyczaj jasno. Ale teraz mnie nie dotykaj. Kiedy to robisz, nie potrafię zmusić się do rozsądku.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Po chwili rozległo się walenie. Riley wyszła do przedpokoju.

- A to kto?

Znów rozległ się dźwięk dzwonka.

- Otwierać. Policja.

Jack przepchnął się obok Riley, otworzył drzwi i zobaczył Alexandrę Markham, Carmichaela i dwóch policjantów. Alexandra popatrzyła na niego i uśmiechnęła się z lekką drwiną, widząc, że jest boso. Potem spojrzała ostro na Riley.

- Obudziliśmy was?

- Masz nakaz - powiedział Jack. Nie zabrzmiało to jak pytanie. Wystarczył mu jeden rzut oka na Alexandrę, aby wiedzieć, że mają odpowiedni papier. Carmichael wyjął nakaz z kieszeni i pokazał go w wyciągniętej ręce.

Jack jeszcze nie wpuścił ich do środka. Starannie przeczytał nakaz.

- Kapitan Duffy wie o tym?

- Sam o to wystąpił - odparła Alex. - Możemy już przystąpić do przeszukania?

Jack dał krok w bok. Przytrzymał Riley za rękę. Policyjny korowód pomaszerował w głąb mieszkania.

- Gdzie masz broszkę Hattie? - cicho zapytał Jack. Riley poklepała się po kieszeni kurtki.

- Tam, gdzie ją wczoraj włożyłam.

Jack zręcznym ruchem wyłuskał broszkę, rozpiął dzinsy i schował ją pod suwakiem.

- Co ty wyprawiasz? - szepnęła Riley.

- Tutaj nikt nie będzie mnie obmacywał.

- Po co to robisz? - zapytała. - Jeśli ją znajdą, twoje zadanie dobiegnie końca. Będziesz mógł wrócić do pracy.

Popatrzył jej prosto w oczy.

- Owszem. Ale nie podoba mi się to najście.

Riley zacisnęła dłonie.

- O tej porze powinnam być już u Zimmermanów. Jak myślisz, ile to potrwa?

- Około dwóch godzin. - Zabrał ją do kuchni i nalał jej kawy. Dopiero teraz zauważył, że jest bardzo blada. Posadził ją na stolku. - Tylko nie zemdlej.

- Nie zemdleję. Co będzie z Benem i stryjem, jak mnie aresztują? Kto się zajmie tymi wszystkimi zwierzętami?

Jack lekko ścisnął ją za rękę.

- Nic się nie martw. Niczego tu nie znajdą.

- Skąd ta pewność? - spytała Alexandra, stając w drzwiach kuchni.

- Z doświadczenia - odparł Jack.

Puścił rękę Riley i odwrócił się do koleżanki. - Sam przeszukałem to mieszkanie. A teraz chciałbym się dowiedzieć, co wy, do diabła, wyprawiacie?

Zerknęła na niego spod oka.

- Nie wiesz? To się nazywa rewizja.

- Panna Foster zgodziła się na współpracę, pod warunkiem, że przestaniecie ją nachodzić. Duffy dał na to swoje słowo.

- Wczoraj w nocy dokonano kolejnej kradzieży - oznajmiła Alexandra.

- Gdzie? - spytała Riley.

- W tym budynku, dwa piętra niżej. - Alex wyjęła notes i przerzuciła kilka kartek. - W mieszkaniu państwa Abernathy. Byli w teatrze. Wyszli o wpół do ósmej i wrócili krótko przed północą.

Jack spojrzał na Riley. Zacisnęła dłonie na kubku tak mocno, aż jej pobielały palce.

- Zeznali, że bardzo często, pod ich nieobecność, wyprowadzała pani ich psa na spacer. Czy to prawda? - dopytywała się Alexandra.

- Tak - odpowiedziała Riley.

- Była pani wczoraj wieczorem w ich mieszkaniu?

- Nie.

Alexandra podeszła bliżej, podsunęła sobie wolny stołek i usiadła.

- Co pani robiła wczoraj wieczorem pomiędzy wpół do ósmej i północą?

- Do dziesiątej byłam tutaj, w mieszkaniu. Potem wyszłam na chwilę. - Riley rozdygotaną dłonią odstawiła kubek.

Alexandra zapisała coś w notesie.

- Dokąd pani wychodziła?

- Ja... - Riley spojrzała szybko na Jacka i dokończyła: - Wyszliśmy razem z obecnym tutaj inspektorem DeRosą.

Wzrok Alexandry powędrował w stronę milczącego Jacka.

- To prawda?

- Tak - odparł. - Pracuję u panny Foster jako jej pomocnik. Wybraliśmy się do klientki w budynku, w którym mieszka pani Cantrell. Odwiedzaliśmy jedną z klientek. Możesz to sprawdzić u portiera. Wróciliśmy koło północy i panna Foster udała się na spoczynek.

- A wcześniej? Też byliście razem?

Jack zmarszczył brwi.

- Zdrzemnąłem się na pół godziny.

Alexandra wróciła do rozmowy z Riley.

- Miała więc pani dostatecznie wiele czasu, żeby zejść dwa piętra w dół i zabrać biżuterię.

- Nie byłam w tamtym mieszkaniu.

- Co skradziono? - wtrącił Jack. Policjantka rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Brylantowy naszyjnik i kolczyki. Pani Abernathy w ostatniej chwili odłożyła to na toaletkę, bo naszyjnik miał popsuty zamek. Wystarczyło kilka sekund, aby schować łup do kieszeni.

- Niczego nie ukradłam - z uporem powtórzyła Riley. Alexandra spojrzała na nią.

- Zdjęliśmy odciski palców. Weźmiemy również pani odciski do porównania.

- Wcale nie musisz się na to zgodzić - szybko powiedział Jack.

Wyraźnie wściekła Alex odwróciła się w jego stronę.

- Możemy chwilę pogadać na osobności?

- Proszę bardzo. - Wyszedł do przedpokoju.

Alexandra zniżyła głos do szeptu, choć przyszło jej to z trudem.

- Przeszkadzasz mi w dochodzeniu, Jack. Co ty sobie właściwie wyobrażasz?

- Próbuję ci zaoszczędzić czasu. Przecież dobrze wiesz, że z różnych powodów odciski palców Riley są w tamtym mieszkaniu. Cwany prawnik obali takie dowody już podczas wstępnego przesłuchania.

- Nie wszyscy prawnicy są cwani. Po czyjej stronie?

- Tak samo jak ty chcę złapać złodzieja. Brakuje nam jednak dowodów. Jeśli za wcześnie aresztujesz Riley, to prawdziwy sprawca lub sprawcy na pewno ci uciekną.

- Wiesz, co myślę? - Obrzuciła go nadąsanym spojrzeniem. - Za bardzo się w to angażujesz.

Rozległo się głośne szczekanie. Zadudniły szybkie kroki i w przedpokoju pojawił się jeden z mundurowych.

- Mamy kłopot, pani inspektor. Otworzyliśmy drzwi sypialni i jakiś zwierzak rzucił się na Carmichaela.

- Pies... zaatakował Carmichaela? - zapytała Alex.

- Beowulf nikomu nie zrobi żadnej krzywdy - oświadczyła Riley, która w tej samej chwili też weszła do przedpokoju.

- Nie - odparł policjant. - Pies zaczął szczekać później. Jakiś ptak krzyknął na Carmichaela, żeby natychmiast się wynosił.

Riley poszła do sypialni. Policjant dreptał tuż za nią. Beowulf, szczekając głośno, trzymał w szachu pod ścianą dwóch pozostałych uczestników zajęcia.

- Beowulf - spokojnie powiedziała Riley. Pies umilkł natychmiast i posłusznie stanął przy jej nodze.

- Precz, przeklęta plamo! - rozległ się skrzek Barda. - Precz, mówię!

- O, właśnie - jęknął policjant. - To gada... Carmichael oderwał się od ściany.

- Frunęło mi prosto w twarz.

Jack z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Zauważył, że Riley wzięła głęboki oddech. Szybko odwrócił głowę.

Abra prychnęła głośno. Beowulf pisnął i ułożył się na podłodze.

- Precz, przeklęta plamo! - zapiał Bard.

- Co tu się dzieje? - spytała Alexandra, ale nie odważyła się wejść do pokoju.

- To papuga - z wyraźnym obrzydzeniem mruknął Carmichael. - Trafiliśmy do zwierzyńca. Ten cholerny ptak nie pozwala mi spokojnie pracować.

Jack z uporem nie patrzył na Riley.

- Pomóż mi przenieść zwierzęta do kuchni, dobrze? - powiedział. - Potem pomogę wam przy rewizji - dodał, już pod adresem Alexandry.

Minęło pół godziny. Riley niespokojnie krążyła po kuchni, śledzona przez trzy pary zwierzęcych oczu. Przecież policja nic nie znajdzie, powtarzała w myślach. Mimo to nie potrafiła zapanować nad zdenerwowaniem. Przez kilkanaście minut dzwoniła do klientów,

uprzedzając, że się trochę spóźni. Zaparzyła świeżą kawę. Co chwila z niepokojem patrzyła na telefon. Chciała zadzwonić do Jeffa i porozmawiać z Benem. Ale przecież w tej sytuacji nie mogła powiedzieć mu wszystkiego...

Jak miała spytać, czy zeszłej nocy był w mieszkaniu państwa Abernathy?

Aż podskoczyła, kiedy nagle rozległ się głośny terkot. Dopiero po pół sekundzie zdała sobie sprawę, co się dzieje. Przycisnęła rękę do piersi, żeby uspokoić oddech, i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Wszystko w porządku? - zapytała Winnie.

- Ze mną tak, ale jest tu policja. Mają nakaz rewizji.

- Wiem. Przed chwilą rozmawiałam z komisarzem. Jedziemy do ciebie taksówką.

- "My"... to znaczy kto? - spytała Riley.

- Hattie, Gert, Prune i ja.

- To chyba nie najlepszy pomysł, Winnie... - zaczęła.

- Słyszałam od chrześniaka, że była następna kradzież. U kogo?

- U państwa Abernathy. Mieszkają dwa piętra pode mną. Obrabowano ich wczoraj wieczorem, pomiędzy wpół do ósmej a wpół do dwunastej.

- Udało ci się zrobić to, o czym wczoraj rozmawialiśmy? - zagadnęła Winnie.

- To? - powtórzyła Riley.

- Przecież ci mówię, że wszystkie jesteśmy w taksówce. Pamiętasz naszą rozmowę?

Riley po chwili zrozumiała, że chodzi o broszkę Hattie, i ciężko westchnęła.

- Nie zdołaliśmy jej podrzucić - odparła.

- My? - zainteresowała się Winnie.

- Jack był ze mną. On... ja... - Riley gorączkowo szukała jakiegoś wyjaśnienia, tłumaczącego, skąd DeRosa dowiedział się o broszce. Przecież nie mogła się wygadać, że był policjantem. Musiała coś wymyślić.

- Cieszę się, moja droga, że masz do niego pełne zaufanie. Na pewno na to zasługuje.

Rzeczywiście, w duchu przyznała Riley. Znała Jacka dopiero od niespełna dwudziestu czterech godziny, a już wiedziała, że może na nim polegać.

- Czyli nic dobrego nie wyszło z naszych wspólnych planów? - spytała Winnie.

- Nie. Baby ugryzł Jacka w nogę i...

- Nic mu się nie stało? Musisz mi wszystko opowiedzieć. Zgoda?

Riley spojrzała na zegarek. Kiedy ostatni raz wyjrzała z kuchni, dwaj mundurowi byli w pokoju stryja, Carmichael u Bena, a Jack i inspektor Markham — w bibliotece. Przeglądali każdą książkę. Na razie więc nie miała zupełnie nic do roboty. Usiadła i opowiedziała Winnie o wszystkim, Co się wydarzyło w mieszkaniu Hattie Silverman. Doszła do miejsca, w którym usłyszeli szczęk odwodzonego kurka i zdała sobie sprawę, że ktoś właśnie wszedł do kuchni. Nie musiała odwracać głowy, żeby wiedzieć, kto to. Jack. Stał oparty o framugę, wielki i milczący.

- Schowaliśmy się w szafie - rzuciła do słuchawki. Szybko zdała relację z późniejszych wydarzeń, pomijając tylko sam moment pocałunku. Cóż jednak z tego, że to przemilczała, skoro pamiętała każdą chwilę...

- Muszę już kończyć, Winnie - powiedziała.

- Gdzie to masz? - usłyszała w słuchawce. - Policja nic nie znajdzie?

- Nie. Jack... - głos zamarł jej w gardle i mimowolnie spojrzała w to miejsce, w którym DeRosa ukrył brylantową broszkę. - Wziął ją... To znaczy, schował...

Jack podszedł bliżej. Riley jakby z ogromnej dali słyszała głos Winnie. Pociemniało jej przed oczami. Nawet nie zaprotestowała, kiedy Jack wyjął jej słuchawkę z dłoni. Bezradnie wbiła wzrok w podłogę. Minęło kilka długich sekund, zanim odzyskała ostrość widzenia i zobaczyła czarno-białą terakotę.

Jack roześmiał się na całe gardło.

- Tak, to prawda. Właśnie tam ją schowałem - powiedział do słuchawki.

Przecudownie, pomyślała Riley. Oni tu się dobrze bawią, a ja mam zawroty głowy. Próbowала się jakoś pozbierać. Niemal w tej samej chwili zza ściany dobiegły podniesione głosy. Nad wszystko wybijały się okrzyki stryja Avery'ego:

- Kim pani jest i dlaczego szpera pani w mojej bibliotece? Co to znaczy?

Riley nie usłyszała odpowiedzi Alexandry. Stryj chyba zresztą nawet na nią nie czekał. Nagle w przedpokoju rozległ się głośny łoskot. Sprawcą hałasu okazał się Ben, który z tupotem wpadł do kuchni.

- Co się dzieje? - spytał beztroskim tonem. Rzucił plecak na stół i skierował się do lodówki. - Cześć, Jack - rzucił od niechcienia.

- Policja robi rewizję.

- Serio? To ekstra. Nie będzie im przeszkadzać, jak popatrzę?

- Sam się ich spytaj - odpowiedziała Riley znużonym tonem i przymknęła oczy.

Następny był Avery. W progu zrobił dramatyczną pauzę i wycelował palcem w dziewczynę.

- Nie doszłoby do tego, gdybyś mnie posłuchała i wynajęła adwokata.

- Zjawili się z nakazem, stryju. Żaden adwokat tu nie pomoże.

- Nie mamy już mrożonej pizzy? - jęknął Ben. - Głodny jestem jak diabli.

Riley spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Mama Jeffa nie dała wam śniadania?

- Co takiego? Aaa... dała. Ale to było całe wieki temu.

Avery opuścił swoje stanowisko i wszedł do kuchni.

Tuż za nim pojawiły się Winnie, Gert, Prune i Hattie.

- Przyniosłyśmy ciasteczka - powiedziała Winnie, stawiając koszyk na stole.

- Super! - ucieszył się Ben.

- Muszę usiąść - oznajmiła Hattie i laską utorowała sobie drogę do najbliższego krzesła. Niemal upadła, lecz Jack zdołał ją w porę podtrzymać.

- Policjanci mnie denerwują - powiedziała słabym głosem.

- Nie zwracajmy na nich uwagi - uśmiechnęła się Prane. Wzięła Bena pod rękę. - Póki pan jest z nami, nie mamy się czego obawiać. Prawda, panie DeRosa? Pan, taki silny mężczyzna...

- Jestem Ben - sprostował chłopak. - Pan DeRosa stoi w tamtym kącie.

Gert łokciem trąciła siostrę.

- Za młody dla ciebie. Mówiłam ci, żebyś nie zdejmowała okularów!

Prune uśmiechnęła się znowu.

- Chłopcy nie przepadają za dziewczętami w okularach. Niestety.

- Święte słowa - ironicznie parsknęła Gert. - Skup się zatem i popatrz ze dwa metry w lewo. Hattie sprzątnęła ci sprzed nosa twojego pana DeRose.

- Moje panie! - zawołała Winnie. - Przyszliśmy tutaj przede wszystkim po to, aby wesprzeć Riley w potrzebie.

Riley mimochodem spojrzała w stronę drzwi i zobaczyła Charlesa Cantrella.

- Charles! - Podeszła nieco bliżej. - A ty co tu robisz?

- Byłem właśnie u ciotki, gdy zadzwonił komisarz. Namówiłem ją, żeby tu przyjechała. Aresztowali cię?

- Nie. - Zauważyła zdumione miny brata i stryja, więc powtórzyła: - Nie. Nikt mnie nie aresztował i nie aresztuje. Niczego tutaj nie znajdują.

- Teraz przeszukamy to pomieszczenie - oznajmił Carmichael, który także zjawił się w kuchni.

- Precz, precz, przekłeta plamo! - zawołał Bard.

- O, właśnie - zawtórował mu stryj Avery.

- Mogę popatrzeć? - spytał Ben.

- Zaraz zemdleję - mruknęła Hattie i zamknęła oczy. Beowulf poderwał się i zaczął głośno szczeakać.

- Dosyć tego - zdenerwował się Carmichael. - Panno Foster! Proszę usunąć stąd to zoo i wszystkich obecnych. Daję pani pięć minut.

- Jakim prawem chce pan mnie wyrzucić z mojej własnej kuchni, zanim sobie przyrządzą kawę?! - zawołał za nim Avery.

Riley wzięła go pod rękę i wyprowadziła za drzwi.

- Idź grzecznie do salonu, dobrze? Zaparzę kawę i zaraz przyniosę.

- Skoro nalegasz... - westchnął z bólem.

- Nalegam. - Cmoknęła go w policzek i wróciła do kuchni. Jack i Charles pomagali podnieść się słabującej Hattie. - Proszę cię, Winnie, zanieś ciasteczka do salonu. Gert i Prune... weźcie klatkę Barda. Ben, ty zajmiesz się Beowulfem.

- Oczywiście. - Chłopak pochylił się nad psem. -Chodź, stary. Tam jest żarcie.

Po dziesięciu minutach wielkiego rozgardiaszu Riley weszła do kuchni i znalazła tam już tylko Bena. Stał tyłem do niej i rozmawiał przez telefon.

- Poszło nam super zeszłej nocy. Tak, wiem... Jeszcze parę takich okazji i już będziemy ustawieni.

Odwrócił się, spojrzał na siostrę i coś jakby poczucie winy zabłysło w jego oczach.

- Muszę kończyć - powiedział i odłożył słuchawkę.

- Z kim rozmawiałeś? - zapytała Riley. - Co ci się przydarzyło w nocy? Ben zachowywał się już całkiem normalnie.

- Mówiliśmy, o matmie. Nieźle nam idzie. Nie boję się egzaminów.

Nie bardzo mu wierzyła. Nie miała jednak czasu na dłuższe rozmowy. A może bała się usłyszeć prawdę? Wzięła ze stołu tacę z kawą, odwróciła się w stronę drzwi... i prawie wpadła na Jacka.

- Zapomniałaś o czymś - powiedział. Odebrał jej tacę i postawił ją z powrotem na stole. - Zawsze wrzucasz do kawy parę kostek lodu.

Włożył rękę do zamrażalnika - i zamiast pojemnika z lodem wyjął stamtąd małą foliową torebkę. Riley patrzyła na to, nie wierząc własnym oczom. W głowie szumiało jej od natłoku myśli. W takie same torebki pakowała kanapki dla Bena. Nie było jej tam, kiedy rano otwierała zamrażalnik. Serce zamarło jej ze zgrozy. Jack podstawił otwartą dłoń i

wysypał zawartość torebki. W blasku słońca zamigotały najczystsze brylanty.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Riley? - Była tak blada, że zląkł się, iż znów zemdleje. Dopadł do niej i szarpnął za ramię. Wskazał na stołek.

- Siadaj.

Potrząsnęła głową, jak obudzona ze snu, i wzięła głęboki oddech.

- Nic mi nie jest.

Nieprawda. Z przerażeniem patrzyła na garść brylantów błyszczących w dłoni Jacka.

- Skąd to się wzięło w lodówce?

- Nie wiesz?

- Nie.

Wyraźnie słyszał w jej głosie nutę strachu. Nie chciała mu powiedzieć całej prawdy. Podejrzewała kogoś... i bała się o tym mówić.

- Musisz... - Kątem oka zobaczył wchodzącą do kuchni Alexandrę. - Masz rację. Jak wrzucimy lód do tej torebki, to będzie mniej bałaganu.

Wyprostował się i ukradkowym ruchem wsunął brylanty do tylnej kieszeni spodni. Zerknął na Alexandrę.

- Powiedz Carmichaelowi, że może zaczynać. Teren czysty. Wszystkie groźne zwierzęta zostały usunięte.

- Po co ci lód? - spytała podejrzliwie.

- Riley zawsze dorzuca kilka kostek do kawy. - Odwrócił się, podszedł do lodówki i napełnił torebkę.

- Mogę to sprawdzić? - mruknęła Alexandra.

- Oj, Alex... - z uśmiechem westchnął Jack i pokręcił głową. Alexandra uniosła torebkę do światła. - To, że się czasem sprzeczamy, wcale nie oznacza, że chowałbym przed tobą dowody rzeczowe.

- Zachowujesz się bardzo dziwnie - odparła. - To samo powiedziałam kilka minut temu w rozmowie z kapitanem. Zadzwoił do mnie na komórkę. Masz się z nim skontaktować. Wystarczy, że naciśniesz dwójkę.

- Tak jest - powiedział Jack i wziął z jej rąk telefon. Odwrócił się i zobaczył Riley, czekającą z tacą. Położył torebkę z lodem tuż obok jej kubka.

- Chciałabym na to zerknąć! - zawołała Alexandra. Uniosła każdy kubek i w każdym zamieszała łyżeczką. Zajrzała nawet do cukiernicy. - Dziękuję. Może to pani zanieść do salonu.

- Dobrych łowów - wycedził Jack.

- Co teraz zamierzasz zrobić? - szeptem zapytała pobladła nagle Riley.

- Zadzwoię do szefa.

- I co mu powiesz?

- Jeszcze nie wiem. - Otworzył drzwi wiodące do salonu. Wpuścił Riley do środka, a sam poszedł do biblioteki.

Co miał, do wszystkich diabłów, powiedzieć Duffy'e-mu? Kochany panie kapitanie, praktycznie mam, hm... w kieszeni wszystkie dowody. Proszę o natychmiastowy nakaz aresztowania.

Przetarł czoło i próbował pomyśleć spokojniej. A może jednak zdobyć się na szczerłość i tak od serca pomówić z kapitanem? Trzeba jak najszybciej przerwać tę farsę.

Wczoraj Riley miała świetną okazję, żeby skraść klejnoty z mieszkania państwa Abernathy. Może w tym celu go uśpiła? Cała wyprawa do Hattie była tylko sprytnie obmyślonym planem dla zamydlenia oczu.

Jack niespokojnie krążył po pokoju. Miał dowody, a jednak nie był do końca przekonany, że to Riley jest złodziejką. Instynkt podpowiadał mu, że to nie ona włożyła brylanty do lodówki. Usiadł na kanapie i z namysłem spojrzał na telefon Alexandry.

Zawsze ufał swoim instyktom. Przecież nie tylko Riley miała swobodny dostęp do zamrażalnika. Pewnie sama podejrzewała Bena lub Avery'ego. Albo obu naraz.

Jack wcisnął klawisz oznaczony dwójką.

- Duffy, słucham.

- Markham powiedziała mi, że mam do pana zadzwonić, kapitanie.

- Skarżyła mi się, że przeszkadzasz w rewizji. Co ty, do diabła, sobie wyobrażasz?! - ryknął Duffy.

- Staram się jak najlepiej wypełnić zadanie, które sam mi pan przydzielił - odparł Jack.

- Twoim zadaniem jest jak najszybciej złapać winowajców! Dobrze by było, gdybyś przy okazji odzyskał skradzione łupy.

- Riley Foster niczego nie ukradła. Mam nowy ślad, który może ujawnić całą prawdę. To chyba dobrze?

- Kto to zrobił? - warknął Duffy.

- Tego jeszcze nie mogę zdradzić. Potrzebuję wyraźnych dowodów - powiedział Jack. - Pójdzie mi łatwiej, jeśli sprawca nie będzie wiedział, że jest pod obserwacją.

Nastąpiła chwila ciszy, przerwana jedynie trzaskiem zapalanej zapałki. Duffy na pewno sięgnął po cygaro. Jack nie wiedział, czy ma uważać to za dobry omen, czy za znak, że kapitanowi kończy się cierpliwość.

- Alexandra twierdzi, że zadurzyłeś się w tej Foster - mruknął wreszcie Duffy.

- Wścieka się, bo przekazał mi pan jej sprawę - odparł Jack.

- Masz dwadzieścia cztery godziny na dokończenie śledztwa - burknął kapitan.

- Świetnie - odpowiedział Jack. - Dziękuję.

Duffy odłożył słuchawkę. Jack spojrział na zegarek. Dziesiąta rano. Dwadzieścia cztery godziny to wprawdzie niewiele, ale więcej niż nic. Muszę lepiej przyłożyć się do dochodzenia, pomyślał i wyszedł z biblioteki. W przedpokoju usłyszał fragment rozmowy, prowadzonej za przymkniętymi drzwiami.

- Rozumiem, że musiałaś zatrudnić pracownika - mówił Charles Cantrell - ale dlaczego od razu wprowadził się do ciebie?

- Nie miał innego wyjścia.

- Zapraszasz do siebie bezdomnych? Nie boisz się?

- Jack nie jest bezdomny. Po prostu niedawno przyjechał do Nowego Jorku i jeszcze nie znalazł mieszkania. Gdyby było inaczej, nie dałabym mu pracy. Nie stać mnie na to.

- Wcale mi się nie podoba, jak na ciebie patrzy - powiedział Charles. - Powinienem wynająć jakiegoś detektywa, żeby na wszelki wypadek sprawdził jego przeszłość. Wspominałaś, że kapitan Duffy przyjaźnił się z jego ojcem?

- Charles... Dziękuję ci za szczerą troskę, ale zostaw Jacka w spokoju. W jego spojrzeniu nie ma nic groźnego.

- Wodzi za tobą zakochanym wzrokiem. Widzę to, bo sam cię kocham.

Jack stanął tuż za drzwiami i leciutko oparł rękę na klamce. Gdyby Charles posunął się za daleko...

- Przestań. Już mówiłam, bądźmy przyjaciółmi. Tylko to mogę ci zaproponować.

- Wolisz jego?

- Jacka? - Riley wybuchnęła śmiechem. - Nie. Prawdę mówiąc, nie zdziwiłabym się, gdyby był gejem.

- Chyba żartujesz.

- Nie. Żebyś wiedział, jak czule patrzą sobie w oczy ze stryjem...

- A niech mnie szlag trafi!

Dobry pomysł, warknął w duchu Jack. Miał ochotę kopnąć drzwi na oścież i wykrzyzczyć prawdę o swoich upodobaniach. Nie zdążył, bo w tej samej chwili z salonu wymaszerowała niewielka procesja.

- Och, tu pan jest, panie DeRosa. - Prune uśmiechnęła się, patrząc gdzieś ponad jego głową.

- Przestań, Prune - zmitygowała ją Gert. - Musimy już iść.

- Zobaczymy się później? - nie dawała za wygraną jej siostra.

Gert pożegnała Jacka krótkim skinieniem głowy.

- Jedno z was na pewno coś zobaczy - mruknęła.

- Policja już pojechała? - spytała Hattie, idąca pod rękę z Winnie.

- Nie - odpowiedział Jack.

Czwórka pań wyszła na korytarz. Dołączył do nich Charles Cantrell. Jack obejrzał się i zobaczył za sobą Alexandrę. Wyciągnęła rękę po telefon.

- Dzwoniłeś do kapitana? - spytała.

- Dzwoniłem - odparł Jack.

Riley pojawiła się za plecami Alexandry.

- Co powiedział?

- Sama go zapytaj.

- Rewizja skończona? - odezwała się Riley.

- Tym razem tak - odparła Alexandra. Otworzyła drzwi i przystanęła w progu, czekając na Carmichaela i dwóch mundurowych. - Kiedyś jednak popełnisz błąd, Foster. A wtedy cię dopadnę.

Riley popatrzyła na zamykające się drzwi windy. Westchnęła z ulgą i odwróciła się do Jacka.

- Dziękuję.

- Musimy porozmawiać.

- Mam już trzy godziny spóźnienia, a za dwadzieścia minut przyjedzie ten facet z budowy, o którym ci wczoraj mówiłam...

W polu widzenia pojawił się stryj Avery z dużą tacą w rękach.

- Wiesz co? Jeden z przyjaciół Harolda jest wziętym prawnikiem. Nie kształcił się na adwokata, lecz mógłby cię polecić...

- Stryju, rozmawialiśmy o tym już tysiące razy... - zaczęła Riley, lecz to nic nie pomogło. Avery najwyraźniej wczuł się w swoją rolę i musiał skończyć. Gadał i gadał jak najęty.

- Zagłosujmy, zgoda? Mam poprosić Harolda, żeby zadzwonił do swojego kumpla? Ci, którzy się zgadzają, niech odpowiedzą „tak”.

- Tak - odezwał się Ben. - Kiedy Jeff miał kłopoty w szkole, jego mama przyszła z prawnikiem na rozmowę z dyrektorem.

Riley spojrzała na niego, a potem zerknęła na stryja.

- Wyczuwam w tym jakiś spisek. Avery zrobił niewinną minę.

- Rzeczywiście, masz dobrego nosa. Ja też głosuję „tak” i zamierzam bronić swoich racji. A ty co o tym sądzisz, Jack?

- Rozmowa z dobrym prawnikiem na pewno nie zaszkodzi.

- Uznaję to za „tak”. Trzy głosy za, jeden przeciw. Moja droga, zostałam przegłosowana. Jeszcze dzisiaj zadzwonię do Harolda, a teraz idę się zdrzemnąć.

- Ja też. - Ben odszedł w głąb mieszkania, lecz po chwili odwrócił głowę, jakby coś sobie przypomniął. - Dzisiaj robisz spaghetti?! - zawołał do Jacka.

- No pewnie.

- Ekstra.

- Podaj kolację trochę wcześniej - powiedział Avery - bo wieczorem znów idę do Harolda. Pracujemy nad trzecim aktem.

- Spiskują też przeciw tobie - mruknęła zgryźliwie Riley do Jacka.

- Często tak robią? - spytał.

- Częściej, niżbym chciała - odparta i spojrzała na zegarek. - Spóźnię się.

- Riley, musimy...

- Porozmawiać. Wiem. Ale facet nie będzie czekał. Porozmawiamy później.

- Albo po drodze.

- Nie! Musisz przejąć część moich obowiązków. Idź do porannych klientów.

Pobiegła do biblioteki i przyniosła stamtąd najbliższej leżący plecak. Wyjęła z niego notatnik.

- Tu masz wszystko: sobotni dyżur, nazwiska, adresy, telefony, imiona zwierząt i tak dalej... Dzwoniłam do nich, uprzedzając, że będziesz trochę później. Zajmij się tym, a ja zmienię cię po południu.

Jack spojrzał na spis.

- Wszyscy mieszkają w tym samym domu co Winnie Cantrell, prawda?

- Tak. Park masz po drugiej stronie ulicy.

- Jeszcze jedno. - Jack stał tak blisko, że wyraźnie widziała kolor jego oczu. W zasadzie nie były szare, tylko... siwe, niczym dym wiszący nad ogniskiem. - Nie jestem gejem.

Zaczerwieniła się aż po koniuszki uszu.

- Podśluchiwałeś.

- Prędzej czy później będziesz musiała powiedzieć Charlesowi prawdę.

- Wiem.

- A to nie koniec.

- Co jeszcze?

- Baby. Wyraźnie mnie nie lubi.

Riley zmarszczyła brwi.

- Więc nie chodź tam. Zawiadomię Hattie.

- Chyba że dasz mi małą premię za pracę w trudnych warunkach.

W jego oczach błyszczały wesołe iskierki.

- A może być butelka chianti do dzisiejszej kolacji?

- Układ stoi - oznajmił Jack.

Odwróciła się, żeby odejść, lecz złapał ją za rękę.

- Mnie też kiedyś będziesz musiała wyznać prawdę.

Riley wyszła z windy na czele watahy psów. Na wszelki wypadek postanowiła je policzyć. Po porannych przygodach miała zamęt w głowie. Podczas spotkania z szefem ekipy remontowej kilka razy prosiła, by powtórzył pytanie, bo nic nie zrozumiała.

Doberman Roscoe i pudelka Gigi dzielnie rwały naprzód, szarpiąc smycze, które Riley trzymała w prawej dłoni. Nieco z tyłu dreptały dwa złote retrievery, George i Gracie. Lekko trącały ją nosami, żeby zwróciła na nie uwagę.

- Jakieś kłopoty, panno Foster? - zapytał umundurowany strażnik.

- Patrzę tylko, czy mam je wszystkie, panie Gaffney.

- To raczej one panią mają - roześmiał się dobrodusznie w odpowiedzi.

Riley zawtórowała mu wdzięcznym śmiechem. George dał krok naprzód, a Gracie popchnęła go pyskiem.

- Tak; tak... Jesteś piękny. Ty też, Gracie. - Riley poklepała je po łbach.

Roscoe warknął głucho na wchodzącą kobietę. Riley spojrzała w stronę drzwi i zobaczyła matkę Jeffa.

- Chłopcy spali choć trochę? - z uśmiechem zapytała matka.

- Spali? powtórzyła Riley.

- Wiem, wiem. Głupie pytanie. Jeff wrócił rano, wsadził nos w lodówkę, a potem niemal od razu powędrował do łóżka. Co to było? Następny maraton Hitchcocka czy retrospektywny przegląd filmów Coppoli?

- Nie... jestem pewna... - wyjąkała Riley.

- Znam to uczucie. - Matka Jeffa ruszyła w stronę windy. - Następnym razem niech Ben wpadnie do nas.

Riley niewidzącym wzrokiem patrzyła prosto w ścianę. Skoro Ben nie był u Jeffa, to gdzie się podziewał? Przypomniała sobie fragmenty rozmowy, którą usłyszała w kuchni.

„Jeszcze parę takich okazji i już będziemy ustawieni”.

A jeśli Ben okradał jej klientów, by mieć pieniądze na kręcenie filmów?

Gigi zaskomlała cicho.

- Dobrze, dobrze... Już idziemy.

Zgarnęła wszystkie smycze w jedną rękę, pchnęła drzwi i wyszła na ulicę. Poszła do parku. Chciała znaleźć jakieś miejsce, w którym będzie

mogła spokojnie pomyśleć. Martwiło ją zachowanie Bena. Czy to możliwe, żeby do spółki z Jeffem okradli państwa Abernathy? Nie. To nieprawda. Ben na pewno mógł to wytłumaczyć...

Światło na skrzyżowaniu zmieniło się na żółte. Riley stanęła z psami przy krawężniku. Wciąż myślała o Benie. Muszę z nim szczerze porozmawiać, postanowiła w duchu.

Nagle zobaczyła Jacka. Czekał na nią po drugiej stronie, przy wejściu do parku. Strach chwycił ją za gardło, ze względu na Bena, ale z drugiej strony miała ogromną ochotę zwierzyć się dosłownie ze wszystkiego i poprosić o mądrą radę.

Zapaliło się zielone światło. Riley dała krok naprzód i w tym samym momencie ktoś silnie pchnął ją w plecy. Zatoczyła się. Zanim zdołała odzyskać równowagę, jakiś chłopak pochwycił Gigi. Riley poczuła nagłe szarpnięcie

I smycz wymknęła się jej z ręki. Chłopak był już prawie po drugiej stronie, kiedy krzyknęła:

- Łapać złodzieja!

Jack zaklął pod nosem. Nie mógł dogonić łobuza, który wyrwał pudła z rąk Riley. Przed wejściem do parku było za dużo ludzi. Przecisnął się przez tłum, wyskoczył na ulicę i prawie wpadł pod taksówkę. Mimo to biegł nadal, nie zważając na chore biodro. Zresztą nie miał wyboru, jeżeli chciał się na coś przydać. Ból dokuczał mu coraz bardziej. Chłopak kluczył między przechodniami i był coraz dalej. Wreszcie skręcił na wąską ścieżkę wiodącą do Central Parku.

I to był błąd. Jack potrzebował teraz odrobiny szczęścia. Biegł po trawniku, po miękkiej ziemi, aby chociaż trochę oszczędzać nogę. Gdzieś z

tyłu usłyszał szczekanie. Obejrzał się i zobaczył, że Riley, z trzema psami na smyczach, uparcie podąża za nim.

Chłopak był dosyć daleko, ale wciąż w polu widzenia. Jack mijał grupy spacerowiczów, biegaczy i chodziarzy, ale dopiero za zakrętem zobaczył to, czego od początku szukał. Parę jeźdźców, powoli sunących przez trawnik.

Dopadł ich ostatkiem sił.

- Policja... - wydyszał i pokazał odznakę. - Proszę mi pożyczyć konia.

Amazonka natychmiast zsunęła się z siodła i podała mu wodze. Towarzyszący jej dżentelmen nie był tym zachwycony, ale Jack nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Wsunął zdrową nogę w strzemię i po chwili znalazł się na końskim grzbiecie. Wreszcie przydały mu się lekcje hippiki, które pobierał w szkole policyjnej.

- Policja! Z drogi! - krzyczał na uskakujących przechodniów. Szybko nadrobił stracony dystans. Bał się jednak, że skok z siodła nie pójdzie mu tak gładko, jak to zazwyczaj pokazują w filmach.

Dopędził chłopaka, wyjął nogi ze strzemion, wziął głęboki oddech i rzucił się w powietrze. Obaj z łoskotem zwalili się na ziemię. Jack jęknął z bólu. Chyba nadwyreżył ramię. Wyrostek leżał nieruchomo, przygnieciony jego ciężarem. Pudel radośnie skakał naokoło, szczekał i próbował polizać Jacka po twarzy.

Riley miała wrażenie, że płuca płoną jej żywym ogniem. Z jej ust wydobywał się świszczący oddech. Nie zwolniła ani na chwilę. Po prostu nie mogła, bo trzy psy ciągnęły ją z całej siły. Z przerażeniem myślała, co by się z nią stało, gdyby przypadkiem się potknęła i upadła.

Kiedy wypadła z za zakrętu, zobaczyła Jacka dosiadającego konia. Był wspaniały... Lecz nigdy nie podejrzewała go, że ma w sobie coś z

samobójcy. Pełna obaw patrzyła na niecodzienny pościg. Strach o Jacka wykrzeszał z niej niespożyte siły. Teraz już biegła równo z psami. Serce podeszło jej do gardła w chwili, gdy Jack skoczył z siodła. Wydawało jej się, że minęły wieki, zanim przyklękła przy leżącej na trawie postaci.

- Jack? Nic ci się nie stało?

Uniósł głowę i coś powiedział, ale jego słowa utonęły w szaleńczym ujadaniu.

- Cicho! - krzyknęła Riley. - George! Gracie!

Nie posłuchały. Jack usiadł. Riley z ulgą osunęła się przy nim na ziemię, lecz chwilę potem zobaczyła, że psi kidnaper też się rusza. Aż ją zatrzęsło ze złości. Wyciągnęła pistolet z plecaka i wcisnęła go w rękę Jacka.

- Jeżeli będziesz musiał, to strzelaj. Uwolniła dobermana ze smyczy.

- Pilnuj ich! - krzyknęła. Pies warknął głucho i obnażył kły. Riley pozbiierała resztę swojej czeladki i powiedziała do Jacka:

- Zawiadomię policję. A ty się stąd nie ruszaj.

- Mam czas tylko na kawę - powiedziała Riley, gdy zasiedli w maleńkiej restauracji w rogu supermarketu. - Ben i stryj Avery na pewno już nie śpią. Muszę zrobić zakupy, a potem...

- Pomogę ci. Pamiętasz? Dzisiaj ja gotuję.

- Prawda...

- Musimy porozmawiać. Zjedz coś. - Usiadł po drugiej stronie stolika. Riley przez chwilę bawiła się serwetką. Nerwy, pomyślał. Od samego rana jest czymś przejęta. Duffy też jej nie przestraszył, nie mówiąc już o policjantach, którzy kilka minut temu aresztowali psiego porywacza. Wpada w panikę i denerwuje się tylko wtedy, gdy chodzi o jej rodzinę.

Jakby na potwierdzenie tych domysłów, Riley wzdrygnęła się nerwowo i strąciła ze stołu łyżeczkę. Jack postanowił odczekać kilka sekund. Nie chciał jej popędzać.

- Idę o zakład, że świetnie sobie radzisz podczas każdego przesłuchania.

- W tej materii jestem najlepszy. Lecz z reguły nie zapraszam przestępców do restauracji.

Westchnęła z rezygnacją.

- Niech będzie. Co proponujesz?

- Pastrami z ryżem.

Zmarszczyła brwi.

- To niezdrowe.

- Nie tylko to. - Wiele rzeczy było niezdrowych lub niebezpiecznych. Jedną z nich miał tuż przed sobą. Wystarczyło, że spojrzał w jej bezdennie głębokie i niebieskie oczy, żeby sobie o tym przypomnieć. - A może wolisz indyka?

- Często tu bywasz?

- Owszem. - Zwłaszcza kiedyś. Ostatnio o wiele rzadziej. Prawdę mówiąc, unikał tego miejsca od dnia, w którym zginął Billy. Nie miał pojęcia, co go to dzisiaj przyciągnęło. Zwykły odruch, nic więcej.

- Miło cię znowu widzieć, Jack. Słyszałam, że byłeś ranny - powiedziała kelnerka, podchodząc do ich stolika. - W nogę, prawda?

- Tak, Maggie. Ale wkrótce wracam do służby.

Zawahała się przez króciutką chwilę.

- Żal Billy'ego. To był dobry dzieciak.

Jack przymknął oczy, Nagły ból przeszył go do szpiku kości. Nieoczekiwanie poczuł czyjąś rękę na swojej dłoni. To była Riley. Otworzył

oczy i ze zdumieniem spojrzął na swoje pobielające palce. Powoli rozluźnił pięść.

- To, co zwykle? - spytała Maggie. Widząc, że Jack skinął głową, popatrzyła na Riley. - Dwa razy?

- Tak - powiedziała dziewczyna.

Kelnerka uśmiechnęła się.

- Dobry wybór. Zaraz podam kufle.

- Kufle? - po jej odejściu cicho powtórzyła Riley. - Nie wiedziałam, że policjanci piją podczas służby.

Jack ze zdumieniem stwierdził, że wcale nie zamierzała pytać o Billy'ego. To dobrze. Nie miał ochoty rozmawiać na ten temat. Ból zelżał.

- Nie jestem na służbie.

Riley przekornie przechyliła głowę i przyglądała mu się przez minutę.

- Mogłabym przysiąc, że przed chwilą byłeś. Kiedy przyszli twoi koledzy, by aresztować złodzieja psów, miałeś marsową minę.

- Lubię mieć taką minę, gdy rozmawiam z innymi policjantami. Zwłaszcza wówczas, kiedy leżę na wznak na ziemi, pilnowany przez dobermana. Nie mogłaś mu powiedzieć, że jestem po twojej stronie?

- Gniewasz się o to? Roscoe na pewno by cię nie ugryzł.

- Jednak woląłem nie ryzykować. Miał większe zęby niż Baby. Przyjrzałem im się, gdy kłapnął szczęką pół centymetra od mojej twarzy.

- Poddaję się. - Riley uniosła ręce. - W gruncie rzeczy powinnam pomóc ci wstać z trawnika, zanim zawołałam patrol. Ale myślałam, że chcesz odpocząć. Nie wiedziałam, czy nie ucierpiałeś po upadku z konia.

- Upadku z konia?! Przecież skoczyłem z siodła na złodzieja! I nic mi nie jest. Odzyskałem twojego kochanego pudła.

Maggie z trzaskiem postawiła przed nimi dwa piwa.

- Wróćcie lepiej do narożników i ochłońcie trochę.

Jack pociągnął długi łyk ze swojego kufła. Spod oka patrzył na Riley. Sprowadził ją tutaj przede wszystkim po to, żeby się czegoś dowiedzieć. Dlaczego przy niej tracił głowę?

- Zróbmy tak... - powiedział, odstawiając kufel. - Proponuję ci krótki rozejm.

- Co to znaczy?

- Nie będę policjantem, a ty podejrzaną, dopóki stąd nie wyjdziemy.

Zmrużyła oczy.

- Czyli nie wsadzisz mnie do paki za garść brylantów, które jakimś dziwnym trafem znalazły się w mojej lodówce?

- Pod warunkiem że mnie nie spytasz, co mam zamiar naprawdę z nimi zrobić.

Zmarszczyła brwi.

- Ale...

- Żadne „ale”. Skoro nie jesteś podejrzaną, wcale nie musisz się tym martwić.

Riley namyślała się przez długą chwilę. Kelnerka podała im pastrami.

- Tu jest musztarda i dodatkowy sos do sałatek - powiedziała, zanim odeszła.

Jack sięgnął po musztardę, lecz Riley była odrobinę szybsza. Patrzył na nią ze źle skrywanym rozbawieniem.

- To też niezdrowe - mruknął.

Riley oblizwała palec.

- Jak już szaleć, to na całego - powiedziała.

- Na pewno to zapamiętam.

- Dobrze. Od teraz mamy zawieszenie broni.

- Jak to się stało, że taka miła i porządna dziewczyna zajęła się zwierzętami?

- Znów pytasz - zauważyła. - A miało nie być przesłuchania.

- Nie pytam o nic, co w jakiś sposób łączy się ze sprawą. Po prostu jestem ciekaw. Zawsze chciałaś mieć własne zoo?

- Owszem. - Ponownie sięgnęła po musztardę. - Marzyłam o tym, że w przyszłości zostanę weterynarzem.

- Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- A kto powiedział, że nie zrobię? Potrzebowałam jednak małej przerwy. Po śmierci taty - cień przemknął po jej twarzy - nie miałam pieniędzy na czesne.

- Chyba ci było bardzo ciężko. Strata rodziców, zmiana stylu życia...

Nastroszyła się.

- Znowu wracasz do śledztwa? Twoi koledzy, Markham i Carmichael, są przekonani, że to właśnie skłoniło mnie do kradzieży. Miałam motyw. Stworzyłam Foster Care wyłącznie po to, by mieć swobodny i stały dostęp do mieszkań bogaczy.

Jack spokojnie popatrzył jej prosto w oczy.

- Praca w policji nauczyła mnie przynajmniej tego, że pojedynczy motyw nigdy nie istnieje. Każdą rzecz warto rozpatrzyć na różne strony, bo w przeciwnym razie bardzo łatwo może dojść do katastrofy. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć prawdy? Skąd wziął się pomysł Foster Care?

- Potrzebowałam trochę grosza, a z drugiej strony musiałam zdobyć poważną klientelę, żeby kiedyś założyć hotel i schronisko. Znam mnóstwo osób na Manhattanie, które nie mają zwierząt tylko z tego względu, że nie umiałyby im zapewnić odpowiedniej opieki.

- Nigdy o tym nie pomyślałam - powiedział Jack.

- Wkrótce na pewno będziesz musiał. Co zrobisz z Abra, kiedy Duffy przywróci cię do służby?

- Zaraz, zaraz... To nie moja kotka. Nie wezmę jej do siebie.

- Stałeś się jej własnością w chwili, gdy po raz pierwszy otarła się o twoją nogę. Ciężko ci będzie ją wyrzucić.

Jack oparł się wygodniej.

- Niech tam... - mruknął. - Założmy, że ją zatrzymam. Na co mogę liczyć ze strony Foster Care?

- Na wszystko, czego ci będzie trzeba, żeby cieszyć się jej towarzystwem i nie żałować, że we dwójkę mieszkacie w Nowym Jorku. Gdy będziesz w pracy, Abra pozostanie pod dobrą opieką. Nie zazna głodu i przykrości.

Riley mówiła z coraz większym zapałem, gestykułując zawzięcie. W umyśle Jacka ani przez chwilę nie powstał cień podejrzenia, że jej entuzjazm może być udawany. Zbyt wiele miała do stracenia, aby okradać swoich klientów. A poza tym... zdążył poznać jej zamiłowanie do porządku. Nie wrzuciłaby łupu do plecaka albo do lodówki. Znalazłaby lepszą kryjówkę.

Rzeczywiście, „źle się działo w państwie duńskim”, jeśli posłużyć się słowami Barda. Riley przerwała na chwilę swoją opowieść i pociągnęła łyk piwa. Jack skorzystał z okazji i zapytał:

- Zrezygnowałaś już z weterynarii?

- Nie. - Znowu zajęła się jedzeniem. - Po prostu przerwałam naukę. Kiedy już finansowo stanę trochę na nogi, sprzedam firmę i zajmę się dalszą edukacją - urwała nagle.

- Co się stało? - zapytał Jack.

- Nic takiego - odparta. - Pewnie cię zanudzam tymi szczegółami. - Popatrzyła na niego. - A co z tobą? - spytała nieoczekiwanie. - Zawsze chciałeś" być policjantem?

- Chyba tak... - powiedział z wolna. - Ale ciotka namawiała mnie, żebym najpierw ukończył jakieś studia. - A to co? - zdumiał się w myślach. Jeszcze nigdy nie rozmawiał z nikim o swojej ciotce. Zmieszany, sięgnął po kufel.

- Posłuchałeś jej?

- Nie.

- Szkoda. Powinna porozmawiać z Benem. Może jego by przekonała? Jack powoli pokręcił głową.

- Zmarła dwa lata temu.

- Przykro mi... - Riley pogładziła go po dłoni.

- Niewiele zdziałasz, jeśli Ben się uprze, że zostanie filmowcem.

- Ale on... ja... - Niechcący zrzuciła nóż na podłogę. Maggie pojawiła się w polu widzenia.

- Jak tam papu? - spytała.

- Wyśmienite - odpowiedziała Riley. - Ale najpierw muszę wyjść do toalety.

- Z tyłu. Drzwi po prawej stronie.

Jack ze zmarszczonym czołem patrzył za odchodzącą dziewczyną. Miał wrażenie, że już na sam dźwięk imienia brata wpadała w nieopisany popłoch. A to znaczyło, że przeczuwała lub wiedziała coś ważnego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Riley miała w głowie zupełny mętlik. Z trudem zachowywała spokój, idąc na tył restauracji. Jak to się stało, że rozmawiała z Jackiem DeRosą o swoich planach, projektach i marzeniach? Jak to się stało, że zapomniała, kim był naprawdę? Dobrze chociaż, myślała, że w porę padło imię Bena. Bardzo niewiele brakowało, a wszystko bym wypaplała.

Zamknęła za sobą drzwi toalety i rozejrzała się machinalnie po maleńkim pomieszczeniu. Spojrzała na zegarek. Dochodziło wpół do trzeciej. Jack wybierał się razem z nią po zakupy, a potem wracali do domu. Nie było najmniejszych szans, by mogła porozmawiać z Benem. Kruchy rozejm także dobiegał końca. Już mogła się przygotować na dalsze przesłuchania. Zerknęła w lustro. Nigdy nie potrafiła kłamać. Jack DeRosa od razu wyczułby pismo nosem... Był mistrzem w swoim fachu. Potrafiłby ją skłonić do mówienia.

Ona jednak musiała milczeć, przynajmniej do chwili rozmowy z Benem. Chciała wiedzieć, gdzie byli z Jeffem zeszłej nocy i czy mają coś wspólnego z kradzieżą broszki Hattie. Zamierzała ich jakoś bronić. Ale jak? Mogła przecież zadzwonić z komórki... No tak, ale telefon został w plecaku, przy stoliku.

Odruchowo uniosła głowę i zobaczyła tuż nad sobą małe okienko, wychodzące na tył budynku. Małe, ale wystarczająco duże, aby się przez nie przecisnąć.

Stanęła na zamkniętej klapie od sedesu. Z bliska okno wydawało się jeszcze węższe. Mimo to postanowiła spróbować. Najbardziej obawiała się

skoku na ziemię. Mur pod oknem wznosił się na co najmniej trzy i pół metra. Musiała zatem wyjść nogami naprzód.

Głęboko zaczerpnęła tchu, podciągnęła się na parapet i przełożyła kolano przez futrynę. Dobrze się napracowała, zanim precyzyjnie biodra. Wolą nawet nie myśleć, jak teraz wyglądała, z głową wciąż w toalecie i pupą na zewnątrz. A co będzie, jeżeli przy zeskoku złamie sobie nogę?

Ktoś zapukał do drzwi.

- Wszystko w porządku?

To był głos kelnerki. Riley nie odpowiedziała. Krawędź parapetu wbijała jej się w brzuch i tamowała oddech.

- Kochanie, jesteś tam? Jack się denerwuje.

Jack się denerwuje! Ona zaś odchodziła od zmysłów z przerażenia. Lepiej już jak najszybciej zakończyć tę komedię, pomyślała.

Nic się nie przejmuj, wmawiała sobie, centymetr po centymetrze spełzając z parapetu. Dłonie bolały ją ze zmęczenia. Szorstkie cegły drapały ją po twarzy. Teraz jednak nie miała już odwrotu. Wisiała nad otchłanią. Zamknęła oczy i z całej siły wpiła palce w parapet.

Jack zauważył ją, gdy tylko skręcił za róg budynku, i serce zamarło mu ze zgrozy. Riley wisiała na parapecie, lekko kołysząc się w powietrzu, niecałe dwa metry nad ziemią. Podbiegł do niej, choć noga znowu rwała go z bólu. Domyślił się wszystkiego w chwili, kiedy usłyszał od Maggie, że w toalecie jest niewielkie okno. Do diabła, czemu tego nie przewidział? Przecież widział, że dziewczyna wpadła w panikę. Stanął tuż pod nią.

- Puść się, Riley - powiedział. - Zaraz cię złapię.

- Nie mogę.

- Na pewno możesz. - Wyciągnął ręce i objął ją za łydki. - Czujesz mnie? Po prostu puść się parapetu.

Lekko pociągnął ją za nogi, aby dodać jej trochę odwagi. Spadła niemal w tej samej chwili. Ostrożnie postawił ją na ziemi i odwrócił twarzą do siebie. Teraz, gdy była już bezpieczna, miał ochotę sprawić jej lanie.

- Aresztujesz mnie?

- Nie. Ale z chęcią aresztowałbym twojego brata lub stryja, kiedy tylko... Cholera jasna! - Nie przypuszczał, że dziewczyna może stać się jeszcze bledsza. Złapał ją za ramiona i posadził przy ścianie.

- Oddychaj głęboko.

Zrobiła, co jej kazał.

- Nie okradliby moich klientek.

Kucnął przy niej.

- Też tak uważam.

Natychmiast poderwała głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Naprawdę? A więc twoim zdaniem to Hattie i jej były kochaś?

- Niezupełnie. Hattie boi się policji. Dzisiaj rano mało nie zemdlą w kuchni i nie sądzę, żeby udawała. Nikt w jej wieku nie chciałby wrócić do więzienia. A jeśli to Louis Rocky', to dlaczego nie otworzył sejfów?

- Mimo to Ben i stryj Avery są na liście podejrzanych?

- Tak by się zdawało na pierwszy rzut oka. Wątpię jednak, czy naprawdę chcieliby twojej krzywdy. Wiedzą przecież, że w tym wypadku twoje życiowe plany ległyby w gruzach.

Westchnęła z wyraźną ulgą.

- Właśnie... Cieszę się, że to rozumiesz.

Jack skrzywił się lekko i potarł bolące biodro. Usiadł tuż obok Riley i rozprostował nogę.

- Tak, tylko że potrzeba nam jeszcze dowodów. Sam rozum tu nie wystarczy. Dobry gliniarz musi brać pod uwagę wszystkie możliwości i nie

wolno mu się kierować własnymi sympatiami. Zdradź mi wreszcie, co wiesz, to może dojdziemy do konkretów. Dlaczego próbowałaś uciec przede mną przez okno?

Pokręciła głową.

- To właśnie jest najgorsze.

- Nie rozumiem.

- Wszystko bym ci wyznała, gdybyśmy rozmawiali chociaż minutę dłużej. Gdy jesteś blisko, po prostu nie panuję nad sobą.

Jack patrzył na nią bez słowa, miotany sprzecznymi uczuciami. O czym myślał? W zasadzie to niestety tylko o jednym...

- Riley... Wiesz, co naprawdę przed chwilą powiedziałaś?

- Nie... - Spojrzała na niego z nagłym przestraszeniem. - Nie chciałam...

- Cicho. - Ujął ją pod brodę i zakrył usta pocałunkiem.

Za każdym razem smakowała zupełnie inaczej. Wymruczał jej imię i przyciągnął ją bliżej do siebie. Wcale się nie opierała.

Dla Riley pocałunki Jacka były słodkie... jak czekolada. Chciała więcej. Jęknęła na znak protestu, gdy po chwili się od niej odsunął.

- Nie przerywaj - powiedziała błagalnym tonem.

Jakaś ciężarówka zatrąbiła głośno, wjeżdżając w głąb przecznicy.

Jack wstał i pociągnął za sobą dziewczynę. Ciężarówka przetoczyła się tuż koło nich i pojechała dalej.

- Co teraz? - zapytała Riley.

Jack w duchu zadawał sobie to samo pytanie. W każdym innym przypadku znalazłby właściwą odpowiedź. Ale Riley... Różniła się od znanych mu kobiet. Uświadomił sobie, że od chwili, kiedy ją zobaczył wiszącą na parapecie, ani razu nie wrócił myślami do całkiem podobnego zaułka, w którym zginął Billy. W ogóle o niczym nie myślał, tylko o mej.

Zwykle „co teraz?” przywołało go do porządku. Odsunął się o dwa kroki.

- Trzeba z tym skończyć - powiedział.

- Dlaczego? - spytała Riley.

- Mam zadanie do wykonania... a ty mi w tym przeszkadzasz. - Zobaczył nagły błysk bólu w jej pięknych oczach. Chciał ją pocieszyć, ale z drugiej strony wiedział, że gdy jej dotknie... Wepchnął ręce w kieszenie. - Riley, naprawdę nie powinnaś się ze mną zadawać. Krzywdzę przyjaciół. A poza tym... musimy jak najszybciej oczyścić was z podejrzeń. Ciebie i Bena.

Natychmiast zmarszczyła brwi.

- Nie tak dawno zgadzałeś się ze mną, że na pewno tego nie zrobił.

- Potrzebne nam jakieś dowody. Dzisiejszej nocy nie był u Jeffa, prawda?

Popatrzyła na niego.

- Skąd wiesz?

- Coś cię pchnęło do ucieczki przez okno. Zastosowałem zatem starą policyjną sztuczkę. Blef. Tak jak się spodziewałem, bezwiednie potwierdziłaś moje podejrzenia. Co więcej, wiem, że wychodząc wczoraj, zabrał ze sobą cały komplet kluczy.

- Niezły jesteś. Naprawdę.

Skrzywił się kwaśno. I co z tego, że w tej chwili czuł w jej głosie niekłamany podziw?

- Nie na wiele się dotąd przydałem. Poklepała go po ramieniu.

- Jesteś rekonwalescentem. Nie zapominaj o tym. W dodatku nieźle jeździsz konno i... złapałeś mnie, kiedy spadałam z okna.

- Dzięki. Zmrużyła powieki.

- Śmiejesz się. Czym cię tak rozśmieszyłam? Przecież to wcale nie jest zabawne.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek nosa. Na tyle mógł sobie pozwolić.

- Wyjaśnię ci to później. Teraz porozmawiajmy lepiej o nocnych eskapadach Bena.

Od razu spoważniała.

- Musi być jakieś wytłumaczenie.

- Znam przynajmniej kilka istotnych przyczyn, dla których dwaj dorastający chłopcy chcieliby spędzić noc poza domem. Na pocieszenie dodam, że żadna z nich nie ma nic wspólnego ze złodziejstwem albo rozbojem.

- Ale w dalszym ciągu potrzebny ci jakiś dowód, prawda? Jak go zdobędziesz?

- Pogadaj z Benem w cztery oczy, na przykład dziś po kolacji. Jeśli się będzie wykręcał, to sam z nim porozmawiam, jak mężczyzna z mężczyzną.

- To może poskutkować.

Riley wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę głównej ulicy.

- Wcale nie musisz czekać do kolacji. Pomów z nim już teraz.

Jack zatrzymał się na rogu i gwizdnął na taksówkę.

- Nie wracamy do domu.

- A to dlaczego?

Żółta taksówka ze zgrzytem hamulców stanęła przy krawężniku.

- Winnie zadzwoniła w czasie, kiedy planowałam wielką ucieczkę. Chce natychmiast się z tobą zobaczyć. Powiedziała, że to zbyt poważna sprawa, aby rozmawiać o niej przez telefon.

Gdy tylko weszli, Winnie wepchnęła ich do salonu.

- Co się stało? - Riley z niepokojem rozejrzała się po mieszkaniu. W drodze do Winnie wyobrażała sobie najstraszniejsze rzeczy. Ale na pozór nie zaszło nic groźnego. Prune i Gert siedziały na kanapie, popijając herbatkę. Były z psami. Z adaptera cicho sączył się koncert Szopena. Zza fotela, z głośnym szczekaniem, wyskoczył Baby.

- O co chodzi, malutki? - zapytała Riley. Przykucnęła przed pieskiem.
- To przyjaciel. - Ruchem głowy wskazała na Jacka. - Kucnij koło mnie i wyciągnij rękę - ściszone głosem powiedziała do swego towarzysza.

- Nie chciałbym stracić palców - mruknął Jack, lecz posłusznie spełnił jej prośbę.

- Pokażę ci, co masz zrobić - powiedziała Riley. Wsunęła rękę w dłoń Jacka. Baby obwąchał ich palce. - Teraz go podrap za uszami.

- Niech pan uważa, panie DeRosa - odezwała się nagle Prune. - Ten kundel nigdy nie przepadał za mężczyznami. - Zatrzepotała rękami i poklepała leżącą obok niej poduszkę. - Może się pan przysiadzie? Frack na pewno pana nie ugryzie. Ja też nie.

- Żeby go ugryźć, musiałabyś go najpierw zobaczyć - zamruczała pod nosem Gert.

Tymczasem Baby przestał szczekać. Nieco uspokojona Riley ponownie rozejrzała się po pokoju. Dopiero teraz zauważyła, że jednak kogoś brakuje.

- A gdzie Hattie?

- Napij się herbaty. Wszystko ci zaraz wyjaśnię - powiedziała Winnie.

- Co tu wyjaśniać? - burknęła Gert. - Hattie siedzi zamknięta w bibliotece i grucha sobie z tym przystojniakiem. To detektyw.

- O, właśnie... - przytaknęła lekko zasmucona Prune.

- Ze mną i z Gert spędził zaledwie minutę. Cóż, żadna z nas nie miała męża gangstera...

- Rocky nie był jej mężem - wtrąciła Winnie.

Riley spojrzała na nią.

- Hattie rozmawia z detektywem?

- Nie wiadomo, czy to się skończy tylko na rozmowie - powiedziała Gert.

Winnie szeroko uśmiechnęła się do Riley.

- Skoro policja nic nie może zdziałać, to zwróciłam się do prywatnego detektywa. Nazywa się Sam Romano i pracuje dla dużych firm ubezpieczeniowych. Charles podsunął mi ten pomysł. Boi się, że lada chwila mogą cię aresztować.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi biblioteki i w progu stanęła rozpromieniona Hattie, uczepiona rękawa ciemnowłosego przystojniaka w elegancko skrojonym garniturze.

- Jeszcze raz spytam, dla pewności... jak się pan nazywa?

- Sam. Sam Romano.

- Cieszę się, że pana poznałam. I jest pan w stanie odnaleźć Rocky'ego?

- Raczej bez kłopotu.

Hattie z triumfem popatrzyła na swoje przyjaciółki. Sam ostrożnie posadził ją w fotelu.

- Pan Romano zgodził się przyjąć moją sprawę - powiedziała.

Prune znów poklepała poduszkę i spojrzała w stronę biblioteki.

- Też mam panu coś do wyznania.

- Stoi na lewo - mruknęła Gert. - Po co ci detektyw? Potrzebujesz raczej psa przewodnika.

- Moje panie... - zmitygowała je Winnie. - Pan Romano przede wszystkim ma schwytać złodziei. Powinien chyba porozmawiać z Riley i panem DeRosą.

- Wspominał mi o nowoczesnym sprzęcie, używanym podczas dochodzenia - odezwała się Hattie. - Na pewno znajdzie Rocky'ego.

- Mówił, że ostatnia sprawa zajęła mu niecałą dobę - dorzuciła Prune.

- A ja słyszałam, że tylko dziesięć minut! - nie wytrzymała Gert.

Riley czuła się coraz gorzej. Nie dość, że miała przeciw sobie supergliniarza, to jeszcze teraz superdetektyw...

- Dzień dobry panu - powiedział Jack i skinął głową.

- Dzień dobry - odparł Romano. - Może zacznę od pana?

Riley westchnęła z ulgą. Wreszcie dostała swoją szansę. W czasie gdy Jack będzie zajęty, mogę zadzwonić do Bena, pomyślała. Niestety, w tej samej chwili Jack wziął ją za rękę.

- Zróbmy to lepiej we troje - mruknął i pociągnął ją za sobą do biblioteki.

Sam Romano zamknął za sobą drzwi i zapraszającym gestem wskazał na skórzaną kanapę.

- Proszę, panie DeRosa. Z tego, co słyszałem, podjął pan pracę wczoraj.

- Nie musimy udawać, Romano. Riley wie, że jestem gliniarzem.

Dziewczyna popatrzyła na nich z osłupieniem.

- Znacie się?

- Tak - odparł Jack.

- Jack przez pewien czas pracował z moim bratem - wyjaśnił Sam. - Od razu domyśliłem się, że nie mogę go zdradzić.

- Starsze panie są przekonane, że pracuję u Riley - dodał Jack.

Sam popatrzył na niego ze zdumieniem, a po chwili skomentował:

- A główna podejrzana zna twoją tożsamość?

- To długa historia. Powiem tylko w skrócie, że chrześniak Winnie Cantrell jest naszym komisarzem. Zatelefonował do mojego szefa i zmusił go do podjęcia określonych działań. Panna Riley zgodziła się na współpracę. A ty jak się w to wplątałeś? Przecież w gruncie rzeczy zajmujesz się szpiegostwem przemysłowym.

Sam wyszczerzył zęby.

- Winnie Cantrell ma wielu chrześniaków. Jeden z nich z kolei jest moim dyrektorem. Powiedziała mu, że policja schrzaniła sprawę i że trzeba oczyścić pannę Foster z zarzutów. Przypuszczam, że już to zrobiłeś - zakończył, siadając w fotelu.

- Nie - odparł Jack.

Sam był wyraźnie zaskoczony.

- Więc wciąż ją podejrzewasz?

- Też nie, ale nie mam na to wyraźnych dowodów.

Sam porozumiewawczo uśmiechnął do Riley.

- Policja coraz gorzej daje sobie radę. Przysparzają mi dodatkowej pracy. Czasem tego jest więcej, niż mógłbym udźwignąć.

Jack parsknął lekceważąco. Riley zrozumiała, że już nieraz spierali się na ten temat. Sam Romano śmiał się w dalszym ciągu, ale Jack siedział naburmuszony.

- Do rzeczy, Sam - mruknął.

Detektyw spojrzał na niego spod oka.

- Zostawiasz znaki?

- Znaki? - powtórzyła Riley.

- Owszem - odparł Jack, nie zwracając na nią uwagi.

- Możecie przestać? Rozmawiacie, jakby mnie tu nie było!

- Rzeczywiście. To karygodne z naszej strony. Przepraszam panią, panno Foster. Bywa, że się zapominam, kiedy rozmawiam z gliniarzami.

- Brak ci ogłady - mruknął Jack. Sam z uśmiechem uniósł obie dłonie.

- Rozejm. Wróćmy do sedna sprawy. - Odwrócił się do Riley. - Mógłbym dostać jeszcze odrobinę herbaty? - zapytał czarującym tonem.

- Oczywiście - odpowiedziała bez namysłu i uniosła się z kanapy.

- Tylko nie myśl o ucieczce - rzucił za nią Jack. Poczekał, aż zamknęła drzwi, i zerknął na Sama.

- Wcale nie masz ochoty na herbatę.

Sam spoważniał.

- To prawda. Chciałem chwilę porozmawiać z tobą bez świadków, w cztery oczy. Wydaje mi się, że zbyt subiektywnie podchodzisz do tego śledztwa.

- Nieprawda.

Sam przypatrywał mu się przez kilka sekund.

- Skąd wiesz, że to nie ona?

- Instynkt mi to podpowiada.

- A co twój instynkt mówi o jej krewnych?

- Że są niewinni.

- Zostaje zatem grono staruszek, zgromadzone w tamtym pokoju, i Louis Rocky Mancuso. Co o nich sądzisz?

- To samo co ty - westchnął Jack.

- Brat i stryj dziewczyny wydają mi się bardziej podejrzani. Zgadzasz się ze mną?

Jack smętnie pokiwał głową.

- A jeśli im to udowodnię? - naciskał Sam.

Jack pomyślał o brylantowej broszce Hattie i kosztownościach państwa Abernathy. Prawdę mówiąc, to dowód winy Bena lub Avery'ego od dawna nosił przy sobie.

- Pójdą siedzieć.

Sam wygodniej rozparł się w fotelu.

- Wiesz, co mój instynkt mi podpowiada? - spytał.

- Pewnie zaraz i tak się dowiem.

Sam uśmiechnął się z wyższością. Ile razy widziałem ten sam uśmiech na podwórku, kiedy graliśmy w koszykówkę? - zastanawiał się Jack. Pod tym względem bracia Romano byli do siebie podobni. Najmłodszy i najmniejszy z nich Sam miał w sobie najwięcej zadziorności.

- Coś ukrywasz - powiedział Sam - lecz bądź pewny, że wyciągnę to z ciebie.

Riley otworzyła drzwi do biblioteki i niepewnie stanęła w progu.

- Przegapiłam coś bardzo ważnego? - zapytała. Weszła do środka i postawiła tacę na stoliku.

Sam uśmiechnął się nagle. Jack próbował zrobić to samo.

- Sam uważa, że ukrywam ważne dowody - powiedział lekkim tonem.

Riley musiała się bardzo pilnować, żeby nie rozlać herbaty.

- Dziwne jednak, że jeszcze nie rozwiązał całej zagadki - gładko dokończył Jack i wziął filiżankę do ręki.

- Och... - jęknął Sam, skrzywił się komicznie i przycisnął rękę do piersi, jakby ugodzony strzałą. Potem zabrał ze stołu pióro i notatnik. - Pora brać się do pracy. Wydobędę od kuratora adres Rocky'ego i popytam trochę wśród taksówkarzy. Dowiem się, czy żadna ze staruszek nie składała nocnej wizyty u państwa Abernathy. Pozostają więc: Riley, Ben i stryj Avery.

- Oni na pewno tego nie zrobili - zaprotestowała Riley. - Nie chcieliby mi zaszkodzić.

- Żaden z nich nie ma alibi - wtrącił Jack.

- To nieprawda! - zawołała Riley. - Stryj Avery spędził ubiegłą noc u Harolda.

- Nie zdążyłem tego sprawdzić - odparł Jack. - Myślę jednak, że w razie potrzeby Harold skłamię, broniąc Avery'ego. Ben uparcie twierdził, że idzie do Jeffa, a przecież dobrze wiesz, że wcale tak nie było.

- Nie spytaliśmy go, gdzie nocowali - przypomniała mu Riley.

Sam stuknął piórem w notatnik.

- Będą się kryć nawzajem. A co z panią, panno Foster?

- Prawie przez cały czas byłam w swoim mieszkaniu - odpowiedziała.

- Z wyjątkiem chwili, kiedy pan DeRosa postanowił...

- Pojechaliśmy do Hattie Silverman - wpadł jej w słowo Jack. - Riley chciała sprawdzić, czy Hattie przed pójściem spać nakarmiła swojego pieska. Otworzyła drzwi własnym kluczem.

Sam zmierzył go spojrzeniem.

- Byłeś z nią?

- Tak.

- Nie odstępowałeś jej przez cały wieczór?

Jack popatrzył mu prosto w oczy.

- To, co teraz ci powiem, nie może wyjść poza ściany tego pokoju.

- Zgoda. - Sam skinął głową.

- Moim zdaniem, Riley na pewno była w domu... Nie wiem jednak, co się zdarzyło przez całą godzinę. Spałem.

Sam zrobił okrągłe oczy ze zdumienia.

- To wcale nie jego wina - szybko wtrąciła Riley. - Uśpiłam go tabletką przeciwbólową.

- Uśpiła pani? - Zerknął na Jacka. - Uśpiła cię?

- Tak - mruknął DeRosa.

- Rwało go w biodrze, bo próbował mi pomóc w czasie napadu. Co prawda, to było tylko dwóch zwykłych wyrostków...

Jack uniósł dłoń.

- Nie wątpię, że Sam chętnie wysłuchałby tej opowieści, lecz wracajmy do faktów. - Popatrzył na detektywa. - Zasnąłem podczas pełnienia obowiązków i nie mogę jednoznacznie stwierdzić, że Riley Foster nie była w tym czasie w mieszkaniu państwa Abernathy.

Sam odłożył na bok pióro i notatnik.

- Uważam, że należy śledzić każdego z podejrzanych aż do czasu następnej kradzieży.

- Masz tylu ludzi? - spytał Jack. Detektyw spojrzał na zegarek.

- Do jutra da się to załatwić.

- Chwileczkę! - wtrąciła Riley, - Chcecie śledzić Bena i Avery'ego?

- I wszystkie starsze panie. W ten sposób zdobędziemy namacalny dowód, że nikt z was nie brał udziału w przestępstwie - wyjaśnił Sam.

Lub dowód winy, pomyślała Riley. Wstała, a właściwie zerwała się z kanapy.

- Nie zgadzam się. Nie pozwolę traktować członków mojej rodziny jak kryminalistów.

Jack podniósł się, podszedł do niej i oparł ręce na jej ramionach.

- Pomyśl przez chwilę, dobrze?

Popatrzyła mu prosto w oczy. Jak mogła choćby na moment zapomnieć, że jest policjantem?

- To nie zabawa - powiedział. - Ktoś okrada twoich klientów. Jeśli to nie Ben ani nie Avery, to nie musisz się niczym martwić. A jeśli to jednak któryś z nich... - zawiesił głos. - Chyba lepiej będzie, kiedy to Sam i ja pierwsi poznamy prawdę. Czego się boisz? Że to właśnie oni?

- Nie. - Ale Ben rzeczywiście coś przed nią ukrywał. Nagle zdała sobie sprawę, że Sam mówi do niej.

- ... kogo moglibyśmy dodać do listy podejrzanych. - Spojrzał na Jacka. - Masz jakichś kandydatów?

DeRosa pokręcił głową.

- Nie. Chyba że...

- Chyba że co? - zapytali chórem Sam i Riley.

- A może od początku idziemy złym tropem? Może to coś więcej niż zwyczajna kradzież? Może Riley przeszkadza komuś w interesach?

- Robota konkurencji? - spytał Sam. Zerknął na Riley i ponownie sięgnął po notatnik. - Mogłaby pani sporządzić dla mnie taką listę?

Popatrzyła tępo na notatnik, a potem na niego.

- Nikt nie przychodzi mi do głowy.

- Po kim pani przejęła klientów? - zapytał Sam. -A może ktoś miał ochotę na ten sam lokal, w którym pani urządza hotel dla zwierząt? To na początek. Proszę pisać, a Jack w tym samym czasie zapozna mnie z wynikami oficjalnego śledztwa.

Riley ze zmarszczonym czołem usiadła nad otwartym notesem. Był taki jeden facet, który się pojawił tuż po tym, kiedy podpisała umowę wynajmu... Wściekał się, że go uprzedziła. Nie pamiętała tylko, jak on się nazywał... Dokładnie opisała więc całe wydarzenie i przygryzła końcówkę pióra. Śmieszna sprawa...

Gdzieś zniknęła swobodna atmosfera poprzedniej rozmowy. Jack i Sam z powagą wymieniali fachowe uwagi. Sam dużo gestykulował i mówił o wiele więcej od Jacka, ale to właśnie Jack wzbudzał w niej niezachwianą pewność. Wiedziała, że na nim zawsze można polegać.

- Riley?

Zamrugła gwałtownie. Z trudem wróciła do rzeczywistości. Jack i Sam przyglądali się jej z uwagą.

- Przepraszam. Co się stało?

- Skończyłaś pisać?

Spojrzała w notes. W kilku słowach udzieliła Samowi dodatkowych wyjaśnień.

- To pewnie bez znaczenia - dokończyła.

- Sprawdzę - lakonicznie odparł detektyw. - Poza tym chciałbym wiedzieć, kto jeszcze, poza panią, ma dostęp do mieszkań klientów. Jack wspomniał mi, że dysponuje pani paroma kompletami kluczy.

- Ściśle mówiąc, trzema. Zrobiłam dodatkowe komplety dla Bena i Avery'ego.

- Czy Ben czasem zabierał Jeffa na swój obchód?

- Owszem - ostrożnie odparła Riley. - Ale to przecież jeszcze nie znaczy...

- Niczego nie sugeruję. Chcę tylko wiedzieć, kto był w posiadaniu kluczy. - Przeniósł wzrok na Jacka. - To samo pewnie tyczy stryja Avery'ego i Harolda.

- Chyba tak - zgodził się DeRosa.

- Policja wie o tym? - spytała Riley.

- W aktach nie znalazłem nawet najmniejszej wzmianki o innych podejrzanych - odpowiedział Jack. - Bu ludzi do tego weźmiesz? - zapytał Sama.

Detektyw uśmiechnął się.

- To zależy, jak szybko mój szef zechce zakończyć tę sprawę. Krótki telefon od matki chrzestnej na pewno tu nie zaszkodzi. Wspomnę jej o tym przed wyjściem. Ale i tak nie ściągnę wszystkich do jutra rana.

- Zatem dziś trzeba się zaopiekować przynajmniej Benem i stryjem - zakonkludował Jack. - Uda się nam zatrzymać Bena w domu? - spytał Riley.

- Oczywiście - odparła. - Przecież robisz spaghetti. Miała też szczerą ochotę dłużej porozmawiać z bratem.

Na osobności.

Sam westchnął ciężko.

- Czyli mnie przypada Avery...

- Właśnie - z satysfakcją potwierdził Jack.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Co to za zielenina? - zapytał Ben.

- Świeża bazylia. - Jack wskazał na pęczek leżący na stole. - A tam pietruszka.

Ben pokręcił nosem.

- Miałem nadzieję, że zrobisz spaghetti z klopsami.

- Ben nienawidzi warzyw - wyjaśniła Riley, podchodząc do ściennej szafki.

- Bazylię i pietruszkę dodaje się do sosu... - zaczął Jack, lecz umilkł na głos Barda:

- Dalej! Żwawo! Hasa! Hej! Buchaj, ogniu! Kotle, wrzej!

- Czy ten ptak ma cytat na każdą okazję? - Jack odwrócił się i stwierdził, że od czasu gdy wrócił z zakupami, do kuchni zwały się tłumy. Ben wyłonił się z biblioteki, Beowulf napierał mu na nogi, Abra wskoczyła na stół, żeby obejrzeć pietruszkę, Avery zaś, odziany w czerwony aksamitny szlafrok, w malowniczej pozie opierał się o futrynę.

- Wspaniały ptak. Szkolony w teatrze - mruknął.

- Tylko że klepie w kółko wciąż to samo, gdy zabieramy się do gotowania - po cichu dodał Ben.

Abra porzuciła pietruszkę i przeniosła się w pobliże paczki z wołowiną.

Jack błyskawicznie pchnął zawiniątko w stronę Bena.

- Pilnuj tego - polecił.

Riley przyniosła ronderek.

- To wprawdzie nie kocioł czarownic, lecz też się może przydać. Największy, jaki mamy.

- Doskonały - oznajmił Jack.

- To świetnie. Chodź, Ben. - Riley wytarła dłonie w dzinsy. - Zanim Jack zrobi kolację, zdążymy porozmawiać.

- A nie możemy zrobić tego później? - zaprotestował Ben. - Chciałem popatrzeć, jak się przyrządza sos.

- Musimy... - zaczęła.

- Pozwól mu - poparł bratanka Avery. Wyjął z kieszeni notes i zasiadł przy stole. - Trzeba to wszystko zapisać.

- Zapisać? - zdziwił się Jack.

- Oczywiście! Nigdy nie wiadomo, co może się w życiu przydać. Kiedyś w poważnym filmie grałem rolę kucharza. Zamordowano mnie, gdy robiłem suflet. - Stryj wyciągnął ołówek i z nadzieją spojrzał na Jacka. - Nawet nie zauważysz, że tu jestem.

- Ben... Porozmawiajmy lepiej teraz - nie ustępowała Riley.

- Och, daj spokój. - Chłopak odwrócił się do Jacka. - Może... eee... dałbyś się sfilmować?

- Sfilmować? - Jack uniósł głowę.

Sześć par oczu patrzyło wyłącznie na niego.

- Muszę ćwiczyć pracę z kamerą - niepewnie wyjaśnił Ben. - Wiesz, zbliżenie, szwenk, najazd, i tak dalej...

Jack miał wrażenie, że ktoś go umieścił pod lupą mikroskopu.

- Nigdy nie kucharzyłem dla potrzeb telewizji - mruknął.

Prawdę mówiąc, od dawna już nic nie gotował. Przynajmniej od dnia, w którym został ranny w nogę.

- Nawet nie zauważysz, że to jestem - zapewnił go żarliwie Ben.

- Nie wystarczy ci, że Jack zrobi nam kolację?... - zaczęła Riley.

- Proszę...

Jack nie miał sumienia, żeby się sprzeciwić.

- Zgoda, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim? - ochoczo zapytał Ben.

- Pomożesz mi w przygotowaniach.

- Ja? - zdziwił się chłopiec. - Nie znam się na tym.

- To nie astronautyka - odparł Jack. - Ciotka uczyła mnie gotować, kiedy byłem dokładnie w twoim wieku.

- Serio? - w głosie Bena słychać było ślad wątpliwości. - Zawsze myślałem, że robota w kuchni jest tylko dla dziewczyn.

- Bzdury - wtrącił się Avery. - Najślynniejsi kucharze to zawsze mężczyźni.

- Zapomniałeś o Julii Child - zauważyła Riley.

- To dlaczego sam nie gotujesz? - zaciekał się Ben.

- Nigdy nie miałem czasu, żeby się nauczyć - powiedział Avery.

- Jeśli wszyscy razem weźmiemy się do pracy, to o wiele wcześniej siądziemy do stołu - podsumował Jack.

Dziesięć minut później oparł się o kredens i z uśmiechem patrzył na krzątanicę kuchcików. Powietrze przesycala woń bazylii, czosnku i cebuli.

Łup! Ben walnął tasakiem w główkę czosnku, jakby mordował zaciętego wroga.

- Ekstra! - Spojrzał na Avery'ego. - Zrobię to szybciej od ciebie.

- To nie wyścigi, drogi chłopcze. - Avery kroił cebulę z niezwykłą powolnością, dbając o to, by wszystkie plastry były równej grubości. - Każda dziedzina sztuki wymaga niezwykłej precyzji.

- Buchaj, ogniu! Kotle, wrzej! - zawtórował mu Bard.

- Tak, tak. Na pewno. - Głuchy stuk tasaka zdusił wszystkie pozostałe dźwięki.

- Nie mam talentu do gotowania - odezwała się Riley, odkładając nóż.

- Nieprawda - zaprzeczył Jack. - Chcesz być weterynarzem? To musisz uczyć się chirurgii, więc przyzwyczajaj się do noża.

Popatrzyła na niego spod oka.

- Niezły jesteś. Naprawdę. Mówiłam ci to już kiedyś? Na dobrą sprawę powinieneś zostać psychologiem.

Uśmiechnął się.

- Trzymaj nóż w ten sposób. - Położył rękę na jej dłoni. Razem zaczęli kroić bazylię. - Prowadź ostrze łagodnie, to nie połamiesz listków. Stąd się bierze różnica w smaku.

Nauczyła go tego ciotka. Liście bazylii brązowały pod zbyt silnym naciskiem noża i stawały się dużo mniej smaczne. Godzinami przesiadywali w maleńkiej kuchni, zanim na dobre posiadał tę sztukę. Do dziś pamiętał kuszący zapach potraw i ciepły dotyk rąk ciotki...

- Już - odezwała się nagle Riley.

- Co już? - Jack drgnął, jakby obudzony z drzemki.

- Skończyliśmy kroić. - Przyjrzała mu się uważnie. - Coś mi się zdaje, że wróciłeś z jakiejś odległej podróży.

Z odległej? - pomyślał. Raczej nie... Dawne mieszkanie ciotki było jakieś pięćdziesiąt ulic dalej, w Village. Ciasne i bez ciepłej wody. Żyli z dnia na dzień. Utrzymywali się z jej niewielkiej pensji i napiwków, które dostawała, pracując w restauracji. A mimo wszystko był to... dom. Poczł w sercu nagłą tęsknotę.

- Ale już jestem - mruknął. Popatrzył na Riley. Tak bardzo chciał jej znowu dotknąć, przytulić, pocałować...

- Skończyłem - oznajmił Avery.

Jack szybko opuścił ręce i odsunął się od dziewczyny.

- Mówiłeś, że to nie wyścigi! - zawołał Ben.

- Bo to prawda - odparł Avery. - Z nikim się nie ścigałem. Po prostu skończyłem pierwszy.

Uniósł ręce, niczym chirurg po wyjątkowo trudnej operacji, i podszedł do zlewu.

- Teraz muszę się umyć.

Woda. Jack odkręcił kran.

- Ja też skończyłem - oświadczył Ben i szybko stanął przy zlewie. - I byłbym pierwszy, gdybyś nie oszukiwał.

- Tere-fere - roześmiał się Avery.

- A co powiecie na mały rewanż? - spytał Jack i sięgnął po wołowinę. - Zobaczymy, kto szybciej zrobi więcej klopsików.

Po kolacji przez kilka minut rozmawiali o filmach Hitchcocka. Zdaniem Bena był to jeden z największych geniuszy kina. Riley z upodobaniem brała udział w dyskusji do czasu, aż w pewnej chwili padło słowo „detektyw”.

Detektyw. Sam Romano. Wróciła do rzeczywistości. Machinalnie zaczęła sprzątać puste talerze ze stołu.

Avery niemal natychmiast uniósł się energicznie ze swojego miejsca.

- Już tak późno? - zapytał ze zdziwieniem. - Trochę się zagadaliśmy. Wybaczcie, że wam nie pomogę, lecz obiecałem Haroldowi, że dzisiaj do niego wpadnę.

- Też się zbieram - powiedział Ben.

- Zaczekaj. - Riley wybiegła za nim do przedpokoju. - Nigdzie dzisiaj nie pójdziesz.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Przecież mamy sobotę. Jestem już umówiony.

- Nie puszczę cię, dopóki nie porozmawiamy.

Ben wybałuszył oczy.

- Mam szlaban? Za co?

Riley głęboko zaczerpnęła tchu. Coś ją ścisnęło w gardle.

- Obiecałeś, że po kolacji poświęcisz mi małą chwilę.

Spojrzał na zegarek.

- To bardzo pilne? Jeff na mnie czeka.

- To, co ci chcę powiedzieć, dotyczy także Jeffa. Nie byłeś u niego zeszłej nocy.

- Szpiegujesz nas? - zaperzył się Ben.

- Nie. - Ale od jutra zacznę pomyślała. - Przypadkowo spotkałam jego mamę. Była przekonana, że Jeff spał u nas. Chciałabym wiedzieć, gdzie byliście.

Ben poczerwieniał.

- Nie jesteś moją matką. Nie muszę ci się zwierzać.

- Masz rację. - Za rok kończył osiemnaście lat, więc nie mogła na niego krzyknąć. Zresztą to w niczym by nie pomogło. Położyła mu rękę na ramieniu. - Ale wiesz dobrze, że policja nas podejrzewa. Nie skończy się na jednej rewizji. Potrzebne nam jakieś alibi.

Zachnął się.

- Myślisz, że byłbym zdolny okradać twoich klientów?

- Oczywiście, że nie. Chcę tylko wiedzieć, gdzie byłeś ubiegłej nocy. Mówiłeś, że idziesz do Jeffa.

- W ostatniej chwili zmieniliśmy zdanie. Spędziliśmy noc u Henry'ego. To ci wystarczy?

Riley ze smutkiem pokręciła głową. Kłamał. Była o tym święcie przekonana.

- Lepiej będzie, jak dziś zostaniesz.

- Nie masz prawa mi rozkazywać...

Przerwał. Riley wyczuła instynktownie, że Jack wszedł do przedpokoju.

- Ben? - spytał spokojnie. - Wziąłbyś Beowulfa na spacer? Ja przez ten czas pomogę Riley posprzątać w kuchni.

Ben zawahał się chwilę, lecz zaraz skinął głową.

- Zgoda.

Zagwizdał na psa i już go nie było. Riley spojrzała na Jacka.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że coś wymyślisz, żeby go zatrzymać.

- Lepiej niech idzie do Jeffa. Pouczą się matematyki - odparł z dziwnym uśmiechem.

- Podejrzewam, że kłamię. Znam tego Henry'ego. Jego rodzice wciąż są poza domem. Gdybym do niego zadzwoniła, na pewno by powiedział, że Ben i Jeff spędzili tę noc u niego.

- To nie musi być kłamstwo. - Jack zajął się zmywaniem.

- Więc co proponujesz? - spytała.

- Pójdziemy za nim... - zaczął i urwał, bo w drzwiach kuchni stanął stryj Avery.

- Czy ktoś mógłby wyprowadzić psa? - zapytał.

- Beowulfa?! - z niepokojem zawołała Riley.

- Przyszedł do mnie przed chwilą i patrzył błagalnym wzrokiem. - Avery spojrzał na zegarek. - Gdyby nie to, że muszę się ogolić i iść do Harolda...

- Zaraz się tym zajmiemy - obiecał Jack.

Riley zajrzała do pokoju Bena. Pusto. Z trudem panowała nad ogarniającym ją przerażeniem. Jedno wiedziała na pewno - Ben coś kręcił. Nie uciekałby po kryjomu, by spotkać się z kolegą.

- Źle się dzieje w państwie duńskim!

Spojrzała na papugę. Bard doskonale wyczuwał, co się święci.

Kiedy tylko wyszli z budynku, Jack rozejrzał się po ulicy. Jakiś samochód dwukrotnie błysnął światłami.

- To Sam. - Jack pociągnął Riley za sobą. Zatrzymali się tuż przy aucie.

- Widziałeś przed chwilą chłopca? Wysoki, szczupły nastolatek...

- W baseballowej czapce i z plecakiem? - dokończył Romano. - Przeszedł na drugą stronę ulicy i skręcił w Osiemdziesiątą Piątą.

- Tamtędy idzie się do Jeffa - powiedziała Riley. Sam spojrzał na nią.

- To był pani brat? Myślałem, że miał dzisiaj wieczorem siedzieć w domu...

- Zmiana planów - przerwał mu Jack. - Pożycz mi swój samochód.

- To duża zmiana - zaprotestował Sam.

- Odwdzięczę ci się - powiedział Jack. - Stryj Avery właśnie kończy się ubierać i zaraz idzie do Harolda. Dogonisz go na piechotę.

Sam wprawdzie pokręcił głową, ale wysiadł. Dopiero teraz zobaczył Beowulfa.

- Po co ci pies? - zapytał.

- Och, ci prywatni detektywi... - westchnął Jack. - Zawsze tak wolno myśla...

Wskoczył do samochodu, zczekał na dziewczynę i ruszył z piskiem opon. Skręcił, przejechał jeszcze kawałek i zwolnił.

- Jest.

Ben maszerował szybkim krokiem. Riley próbowała otworzyć okno, lecz Jack ją powstrzymał.

- Nie wołaj go. Więcej się dowiemy, jeśli nie będzie miał pojęcia, że za nim jedziemy.

Droga do domu Jeffa zabrała im dwadzieścia minut. Ben niczego nie zauważył. Na pewno był przekonany, że mu się udało. Zatrzymał się przed drzwiami Jeffa, lecz nie wszedł do środka. Rozejrzał się i - ku zdumieniu Riley - podszedł do czarnej, lśniącej limuzyny. Wsiadł. Czarny samochód powoli ruszył.

Jack w pogoni za zbiegiem minął skrzyżowanie na czerwonym świetle. Riley odruchowo przytrzymała się fotela.

- Zabijesz nas! - zawołała.

- Spokojnie - odparł Jack. - Przez trzy lata jeździłem wozem patrolowym i nie miałem żadnego wypadku.

- Może wyszedłeś z wprawy? - mruknęła z niepokojem. Myśli jak błyskawice przelatywały jej przez głowę.

A jeśli Ben został porwany? Lub jechał na spotkanie z handlarzem narkotyków?

Następny zakręt, jeszcze jeden... Jack zahamował nagle, bo limuzyna stanęła przed barierą ustawioną w poprzek rzeźnię oświetlonej ulicy. Za barierą był tłum ludzi.

- Co się tu dzieje? - spytała Riley.

- Chyba film kręcą - mruknął Jack.

Otworzył drzwi i wysiadł.

- Zostań - rzuciła Riley do Beowulfa i poszła za przykładem Jacka.

Ben i jeszcze jeden chłopiec, w którym rozpoznała Jeffa, już byli za barierą. Jack chciał pójść za nimi, ale natknął się na żywą przeszkodę w postaci barczystego ochroniarza.

- Przepraszam, nie ma wstępu.

- To ty, McClusky? - spytał Jack.

- Pan inspektor DeRosa! - Twarz ochroniarza pojaśniała w szerokim uśmiechu. - Miło znów pana spotkać.

- Sierżant McClusky to dawny policjant z naszego posterunku - wyjaśnił Jack, widząc zdumienie Riley.

- Witam szanowną panią - ukłonił się McClusky. - Niestety, nie mogę państwa wpuścić. Wylaliby mnie z roboty.

- Wpuścił pan mojego brata - powiedziała Riley. - To ten, co przed chwilą wysiadł z czarnej limuzyny.

- Aaa... Gość drugiego reżysera - spokojnie odparł Irlandczyk. - Mamy go na naszej liście.

- Co on tu robi?

- Proszę zaczekać, zaraz sprawdzę. - McClusky odszedł w głąb ulicy. Po chwili wrócił. - Pani brat i jego kolega mają zgodę członków ekipy. Nasz reżyser był z pogadanką w jakimś kółku filmowym i tak się poznali. Siedzą tu już dwie noce.

- Ktoś to może potwierdzić? - sucho zapytał Jack.

- Oczywiście. Dostali nawet stałego opiekuna. To ten, co ich tutaj przywiózł. Po zakończeniu zdjęć odwozi ich do domu.

- Dobry gliniarz na zawsze pozostanie gliniarzem. - Jack uśmiechnął się do byłego sierżanta. - Wielkie dzięki za pomoc.

McClusky wyszczerzył zęby.

- Do rana na pewno wrócą. Jeśli chcecie, to osobiście przypilnuję, by na czas wsiedli do samochodu i nie kręcili się już po mieście.

- Będę cholernie wdzięczny - mruknął Jack.

Riley przypatrywała mu się z podziwem. Nagle zdała sobie sprawę, że jest w nim zakochana. W Jacku DeRosie... W człowieku, którego poznała zaledwie wczoraj... W policjancie, który z początku podejrzewał ją o kradzieże.

Wcale nie chciała o tym myśleć, chociaż ciągle czuła na wargach smak jego pocałunków. I co ja mam teraz z tym wszystkim zrobić? - zastanawiała się bezradnie.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jack znalazł wolny stolik w dobrze oświetlonej kawiarni, tuż przy ogromnym oknie wychodzącym wprost na ulicę. Już dwa razy przejechał koło domu Harolda, ale nigdzie nie zauważył Sama. Pozostawało więc im tylko czekać.

- To na pewno tutaj? - zapytał Riley.

- Vincent Building na rogu Pięćdziesiątej Siódmej i Trzeciej. Wprawdzie nie mam tu żadnych klientów...

Umilkła, bo w tej samej chwili kelnerka podeszła do stolika. Na plastikowej plakietce na piersiach miała wypisane imię „Bridget”. Jack zamówił kawę, a Riley - napar z mięty. Kelnerka z uśmiechem skinęła głową i odeszła.

Riley potarła czoło.

- Boli cię głowa? - zapytał Jack.

- Trochę. - Opuściła rękę.

- Wracaj do domu. Nie musisz czekać na Sama.

- A kto będzie moim alibi?

Zagryzł wargi. Zapomniał, że ona także znalazła się w kręgu podejrzeń.

- Najważniejsze, że wiemy, co z Benem. Niepotrzebnie się nim martwiłaś.

Bridget przyniosła im napar i kawę.

- Mimo to kłamał - powiedziała Riley, biorąc do ręki filiżankę. - A nie powinien.

- Gonił za swoim marzeniem. Wszyscy to robią... przynajmniej od czasu do czasu.

- Masz rację. - Przechyliła głowę. - Źle zrobiłam, że go podejrzewałam. W gruncie rzeczy nie miałam do niego zaufania, a przecież niczym sobie na to nie zasłużył.

Spojrzała w dół.

- Jestem nieludzko zmęczona. Tak bym chciała, żeby już było po wszystkim...

- I będzie - zapewnił ją Jack. - Moim zdaniem, Avery też nie ma z tym nic wspólnego. Prawdopodobnie wyszedł gdzieś z Haroldem, a Sam powlókł się za nimi.

- Rzeczywiście - uśmiechnęła się z przymusem. - Zapomniałam, że dziś sobota.

- Co zwykle robisz w weekendy?

- Zaczynasz mówić jak Winnie. To ona mnie namawiała na randki z Charlesem.

Jack poczuł nagle ukłucie zazdrości. Nie chciał ciągnąć tego tematu. Popatrzył Riley prosto w oczy i nagle wziął ją za rękę. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

Riley przewróciła się na bok i popatrzyła w okno, na światła metropolii. Nie mogła zasnąć. Zegar wskazywał kwadrans po pierwszej. Coś poruszyło się przy łóżku. To był Beowulf. Z klatki doleciał ją szelest skrzydeł. Bard też nie spał?

Zapaliła światło.

- Wybaczcie, chłopcy.

Pies łypnął na nią z wyrzutem, ale nie uniósł głowy.

- Precz, precz, przekłeta plamo! - zaskrzeczał Bard.

Riley spojrzała na niego.

- Nie mam koszmarów - powiedziała stanowczym tonem. - To całkiem coś innego. Jestem tchórzem.

- Tchórz umiera wiele razy przed śmiercią - oznajmiła papuga.

- Jestem tchórzem jedynie wtedy, gdy chodzi o Jacka - wyjaśniła mu Riley.

- Słabości! Nazwisko twoje: kobieta - stwierdził Bard. Popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek.

- Wcale mi nie pomagasz.

Wstała z łóżka i bosy podeszła do drzwi. Na moment stanęła w progu i zerknęła przez ramię na papugę.

- Nie jestem słaba.

- Precz! Precz, powiadam! - odciął się Bard.

Jack spał na kanapie w bibliotece. Powiedział, że w ten sposób na pewno usłyszy, kiedy wrócą Ben i Avery. Podeszła do niego, zawahała się chwilę, a potem delikatnie wsunęła się pod kołdrę. Natychmiast otworzył oczy.

Było jej ciepło. Chyba zasnąłam, pomyślała. Leżała, wtulona w silne ramiona Jacka. Czowała się dziwnie bezpieczna, radosna i wypoczęta.

Naraz rozległo się głośnie skrzeczenie.

Drgnęła przestraszona. Jack łagodnie pogładził ją po włosach.

- To tylko Abra - wyjaśnił. - Złości się, że ją wyrzuciłem za drzwi.

Zaszurały kocie pazury. Riley rozwarła powieki i stwierdziła nagle, że jest całkiem naga. Przypomniała sobie wydarzenia minionej nocy.

- Wszystko w porządku? - zapytał Jack.

- Chyba tak. - Uniosła głowę i wsparła się na łokciu.

Jack uśmiechnął się. Odpowiedziała mu też uśmiechem. Ale natychmiast spoważniała, słysząc zgrzyt klucza w drzwiach wejściowych.

- Dzięki, że mnie podwiozłeś, Ben - dał się słyszeć głos Avery'ego.

Riley zamarła z przerażenia.

- Nie ma sprawy. To samochód pana Wellera. Zawsze po zakończeniu zdjęć ktoś nas odstawia do domu.

Ben i Avery byli w przedpokoju! A ona... Jack... leżeli razem... nago...

Abra miauknęła głośno.

- Co ten kot tu robi? - zapytał Avery.

- Pewnie szuka Jacka - odpowiedział Ben. - Strasznie się łąsi do niego.

Jack pochylił głowę.

- Schowaj się za kanapą - szepnął prosto do ucha dziewczyny.

W przelocie zgarnęła górę od pizamy i poczołgała się we wskazane miejsce.

- Zaraz po zdjęciach w Nowym Jorku pan Weller zabiera się do nowego filmu. Wspomniał, że może znów cię zatrudni i da o wiele większą rolę - powiedział Ben.

- Dobrze by było - westchnął Avery. - Ale to pieśń przyszłości. Pożyjemy, zobaczymy... Na razie musi nam wystarczyć to, co akurat mamy. I ani słowa Riley. To będzie dla niej niespodzianka. Moje obecne honorarium z pewnością pokryje wszystkie koszty adaptacji wnętrza na potrzeby Foster Care.

- Chyba żartujesz? - zaperzył się Ben. - Ode mnie na pewno nie usłyszysz ani słowa. Jeszcze by mnie obsztorcowała, że przesiaduję na planie, zamiast ślęczeć nad matematyką - dokończył wesoło.

Ziewając głośno, rozeszli się do swoich pokojów. Jack podniósł się pomału, uchylił drzwi, wpuścił Abreę i wyjrzał na zewnątrz. Po chwili wrócił do Riley.

- Teren czysty - wyszeptał po chwili.

Wciągnął koszulę i spodnie.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Na dół, do Sama. Na pewno przyszedł wraz z nimi. Z tego, co słyszę, Ben i Avery mają wspaniałe alibi. Trzeba poszukać innych podejrzanych.

Abra podbiegła do niego, też gotowa do wyjścia. Złapał ją za grzbiet, podniósł i spojrzał jej prosto w oczy.

- Wyjaśnijmy sobie coś raz na zawsze. Nigdy nie chciałem mieć kota. I teraz też nie chcę.

Życie płata nam różne figle, pomyślała Riley.

Sam schował telefon do kieszeni i wygodniej rozparł się w fotelu.

- Dziś powinienem dostać adres Rocky'ego - powiedział i spojrzał na zegarek. - Pani Cantrell obiecała mi, że o dziesiątej zabierze Hattie na dłuższy spacer. To da nam okazję, aby przeszukać jej mieszkanie. - Przyjrzał się Riley. - Skąd ta smutna mina? Pani rodzina została oczyszczona z podejrzeń.

- Teraz się martwię o Hattie - odparła.

- Na pewno też jest niewinna. - Jack wstał z kanapy

I zaczął krążyć po pokoju.

- Tylko brak na to dowodów - westchnął Sam. Riley potarła ręką czoło.

- A co się stanie, jeżeli wyeliminujemy wszystkich podejrzanych? - spytała nagle.

- Trzeba będzie poszukać nowych - mruknął Jack. -Kto najwięcej zyska na likwidacji Foster Care?

Riley zastanawiała się przez kilka sekund, a potem pokręciła głową.

- Nikt. Jestem o tym zupełnie przekonana.

- Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby rzucić na ciebie podejrzenie - zauważył Jack. - Ale kto?

Spojrzał na Sama.

- Zrobimy chronologiczną listę wszystkich kradzieży. Detektyw sięgnął po notes i przerzucił parę kartek.

- Już to zrobiłem. Wszystko zaczęło się trzy tygodnie temu, u Winnie Cantrell. Kolejnymi ofiarami były jej przyjaciółki z kółka brydżowego. Dopiero wówczas policja zaczęła podejrzewać obecną tu pannę Foster. Od tamtej pory sprawca przyspieszył swoje działania. Dwa dni temu obrabowano Hattie Silverman. Przedwczoraj to samo zdarzyło się u państwa Abernathy. Wspomniana kradzież miała miejsce tu, w tym budynku.

- W dodatku ktoś podrzucał łupy do mieszkania Riley - oznajmił Jack. Sam rzucił na niego przeciągłe spojrzenie.

- Wiedziałem, że coś ukrywasz.

- Nie było potrzeby, żeby wcześniej o tym wspominać.

- Policja oczywiście niczego nie znalazła? - spytał Sam.

- Nie. - Jack pokręcił głową. - Riley, mógłbym cię prosić o kawę?

- Nigdzie nie wyjdę - odparła. - Ale proszę, rozmawiajcie zupełnie swobodnie, jakby mnie tu nie było.

Sam przez dłuższą chwilę w milczeniu patrzył na Jacka.

- Wiedziałeś, że to nie ona - stwierdził.

- Złóż to na karb intuicji.

Detektyw westchnął i rozłożył przed sobą plan miasta. Widniały na nim cztery czerwone kółka.

- Coś tu nie gra - zauważył Jack. - Poślij swoich ludzi do każdego z tych czterech budynków.

- We wszystkich były kradzieże? - spytał Sam.

- Nie - odparł Jack. -I to właśnie daje mi do myślenia. Zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć coś więcej, rozległ się terkot telefonu.

- Halo - rzucił Jack do słuchawki.

Przez moment panowała cisza.

- Chciałbym rozmawiać z Riley. Jack rozpoznał głos Charlesa Cantrella.

- Jeszcze śpi. Mam jej coś przekazać?

- Ktoś znowu okradł moją ciotkę. Moim zdaniem, Riley powinna tu przyjechać.

- Powiem jej o tym - obiecał Jack i nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę na widełki.

- Kto to był? - zapytała Riley.

- Charles Cantrell. Miał dobre i zarazem złe wieści. Dzisiaj w nocy doszło do kolejnej kradzieży, więc całkowicie zostajesz poza podejrzeniem. Z przyjemnością powiem o tym Duffy'emu.

- A zła wiadomość?

- Kradzieży dokonano u Winnie.

- Dolać komuś herbaty? - zapytała Winnie, wchodząc do salonu. Postawiła tacę na stole.

Riley rozejrzała się. Jack i Sam wyszli już dawno temu, zajęci dochodzeniem. Przedtem jednak zdążyli wyjaśnić całemu zgromadzeniu, jaka była naprawdę rola Jacka w tej sprawie. Chyba nie trzeba dodawać, że

wzbudziło to żywą reakcję wśród wszystkich obecnych staruszek. Dyskutowały więc na przemian to o Jacku, to o detektywie. Czas mijał niepostrzeżenie. Riley przysłuchiwała się rozmowie, lecz myślami błądziła gdzieś daleko. Drgnęła na dzwonek telefonu.

Winnie podniosła słuchawkę.

- Słucham? Och, to ty, Charles. Wszystko w porządku. Tak, jest tutaj...

- Popatrzyła na Riley. - Chce z tobą rozmawiać.

- Riley? - rozległ się głos Charlesa. - Koniecznie muszę z tobą porozmawiać. Przyjdź sama, bez swojego domorosłego ochroniarza. Czekam na dole, w kawiarni.

Dziewczyna zawahała się. Jack prosił, żeby nigdzie nie wychodziła. Ale Charles miał rację. Musieli porozmawiać. Choćby po to, by mu wyjaśnić, że między nimi wszystko skończone.

- Zaraz przyjdę.

- Naprawdę? Bardzo panu dziękuję - Sam schował do kieszeni telefon komórkowy. Skręcili w przecznice. - Rocky Mancuso też odpada. Cały zeszły miesiąc przeleżał w szpitalu ze złamanym biodrem. Nie zadzwonił do Hattie, bo się wstydził swojej niezgrabności.

- Kto zatem nam zostaje?

Jack z namysłem popatrzył na drugą stronę ulicy, na jedyny budynek, w którym nic złego nie spotkało klientów Foster Care.

- Zastanawiałem się, w jaki sposób złodziej mija ochronę. Pewnie przychodzi nocą, bo to najbezpieczniejszy sposób. Udaje Riley, Bena lub Avery'ego. Wystarczy przecież, aby miał przy sobie plecak z nadrukiem „Foster Care” i komplet kluczy. Riley pracuje w ciągu dnia, więc nocny portier nie musi pamiętać jej twarzy.

- Domyślam się, o co ci chodzi. Ale dlaczego tu nie było żadnej kradzieży?

- Chyba wiem. Złodziej boi się, że go rozpoznają. Mieszka tutaj.

- Jasne! - zawołał Sam i uśmiechnął się szeroko.

- Rzućmy okiem na listę lokatorów - powiedział Jack i wysiadł z samochodu.

- Cześć, Tommy - uśmiechnęła się Riley, wychodząc z domu Winnie.

- Dwie wizyty w niedzielny poranek? - zdziwił się portier. - To chyba rekord, panno Riley.

Zamarła z ręką na klamce.

- Dwie? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Czy właśnie tak pan powiedział?

Tommy pokiwał głową.

- Kiedy zjawiała się policja, to zerknąłem do naszej księgi. Ten nowy, co tu siedzi nocą, zanotował, że przyszła pani o trzeciej piętnaście. Podobno Baby pani Silverman dostał jakiejś kolki. Już mu lepiej?

- Tak, dziękuję. - Riley podeszła do dyżurki. - Mogę zobaczyć tę notatkę?

- Oczywiście.

Popatrzyła na podpis. Nieźle podrobiony. Nigdy nie przychodziła tutaj o tak późnej porze. Nocny portier wcale jej nie znał, więc skąd mógł wiedzieć, że ma do czynienia z oszustką i złodziejką? Chciała zadzwonić do Jacka, lecz przypomniała sobie, że nie zna numeru jego telefonu komórkowego. Nie znała też numeru do Sama.

Powoli wyszła na ulicę. W tej samej chwili wyrósł przed nią Charles.

- Bałem się, że już nie przyjdiesz.

- Jestem wściekła - warknęła. - Ale nie na ciebie.

Wziął ją pod rękę. Przez chwilę szli w milczeniu. Riley, zatopiona w myślach, nawet nie patrzyła, gdzie idzie.

- Ktoś się pode mnie podszywa i okrada moich klientów - powiedziała wreszcie.

- Powinnaś wreszcie wynająć adwokata... - zaczął Charles.

- To niepotrzebne - wpadła mu w słowo. - Jack był przez cały wieczór ze mną. Mam niezbitą alibi.

- Sądysz, że mu uwierzą? - sucho wycedził Charles. Riley wyczuła zmianę w jego głosie i uniosła głowę ze zdumieniem. - Powinnaś przyjąć moją ofertę.

To nie były przyjazne słowa. Riley zatrzymała się nagle, ale Charles mocniej uchwycił ją pod ramię.

- Wszystko przez ciebie - burknął. Wyjął pistolet z kieszeni. - Tu skręcimy i zaczekamy na Christinę. Nie próbuj krzyczeć, bo cię zastrzelę.

- Nie ma jej u Winnie. - Jack odłożył telefon i z niepokojem popatrzył na Sama. - Wyszła zaledwie parę minut temu, żeby zobaczyć się z Cantrellem. Gaz do dechy.

Samochód detektywa pomknął przez skrzyżowania.

- Wcale nie wiemy, że to Cantrell - mruknął Sam. - Co prawda znaleźliśmy go na liście lokatorów...

- Mam przeczucie - przerwał mu Jack.

To samo przeczucie towarzyszyło mu, kiedy po raz ostatni odwiedzał ciotkę w szpitalu. I kiedy pierwszy raz poszedł za Riley w głąb zaułka...

Sam zwolnił, widząc czerwone światło.

- Jedź! - ponaglił go Jack. - Jak ci wlepią mandat, biorę to na siebie.

Zapisały opony gwałtownie hamujących pojazdów.

- Szef mnie zabije, jak będę miał wypadek.

- Jeszcze tylko dwie przecznice.

Po chwili dojechali do domu Winnie Cantrell.

- Na Christinę? - z przerażeniem zapytała Riley.

Chciała krzyknąć na całe gardło lub rzucić się do ucieczki. Lecz stojący koło niej młodzieniec z pistoletem w dłoni nie był już tym grzecznym Charlesem co niegdyś.

- Czeka w kawiarni. Przyjdzie do nas, kiedy zobaczy, że skręcamy tutaj, w ten zaułek. Tak to sobie wymyśliła.

Riley z trudem panowała nad strachem. W głowie kołatało jej tylko jedno: Zmusz go, żeby nie przestawał mówić. No, dalej.

- Nic nie rozumiem - powiedziała z udawanym spokojem. - Co do tego ma Christina?

- To był jej pomysł, żeby okradać te stare baby. Kiedyś, jak byliśmy razem z tobą u Winnie na herbatce, przyniosła wosk i wzięła odciski twoich kluczy. Wiedziała, że policja zacznie cię podejrzewać, ale denerwowało ją, że śledztwo trwa zbyt długo. Podrzuciła ci więc część łupów.

- Włożyła broszkę Hattie do plecaka Bena? - spytała Riley.

- Tak.

- Ale brylanty... To nie ona. Ty je włożyłeś do lodówki.

Charles zmarszczył brwi.

- Policja ich nie znalazła?

- Nie. Jack był szybszy... - Riley chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz Charles zatrzymał ją silnym szarpnięciem za rękę.

- Stój. Zaczekamy.

- Zawsze tak pilnie słuchasz swojej siostry?

- Nie. Tym razem miałem też własne plany. Chciałem, żebyś została moją żoną. W ten sposób zatrzymałbym całą forszę.

- Jaką forszę?

Pchnął ją w stronę śmietnika.

- Nie udawaj, że nie wiesz.

- O czym?

Dłonie Charlesa drżały jak w febrze. Lufa pistoletu kołysała się na boki. Riley powoli zrobiła krok do tyłu. Jeszcze jeden...

- Nie mam żadnych pieniędzy - powiedziała.

- Mówię o Winnie. Po zmianie testamentu zapisała ci większość majątku.

Riley zamarła w bezruchu.

- Nieprawda.

- Prawda - odparła Christina. Jej obcasy zastukały głośno w cichym i mrocznym zaułku. - Zastrzel ją.

- Zastrzel ją.

Te dwa słowa eksplodowały echem w uszach Jacka. Powoli czołgał się wzdłuż muru, nie odrywając oczu od rozgrywającej się przed nim sceny.

- To ty chcesz ją zabić - mruknął Charles do siostry.

- Masz.

Podał jej pistolet.

Jack zaklął pod nosem. Nie mógł strzelać, bo Riley stała na linii ognia. A Romano był za daleko, ukryty za jakimś pudłem.

- Przecież to ty zaważyłaś sprawę - burknęła Christina. - Nie udało ci się jej uwieść. Wykończ ją.

- To twój pistolet.

- Nie umiem strzelać.

Jack przykucnął i, ciągle na kolanach, przesunął się o kilka metrów. Z przerażeniem zobaczył, że Riley ukradkowo wsuwa dłoń do torebki. Sięgała po sikawkę.

Rzucił się do biegu. Sam niemal równocześnie z nim wyskoczył z kryjówki. Charles uniósł dłoń, lecz Riley strzeliła pierwsza. Rozległ się dziki wrzask. Pistolet Charlesa upadł na ziemię. Coś huknęło i Jack poczuł nagle szarpnięcie w ramieniu.

A potem wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie. Riley podbiegła do niego.

- Jesteś ranny? Masz krew na ręce.

Zabolało go dopiero wtedy, kiedy bezpiecznie zamknął ją w objęciach.

- Moim zdaniem, powinieneś jechać z tym do szpitala - powiedziała Riley. Policja już zabrała rodzeństwo Cantrellów. Sam Romano wdał się w rozmowę z przybyłym inspektorem.

- To tylko draśnięcie. Nic mi nie jest. Oboje żyjemy... Przycisnęła policzek do jego piersi.

- Bałam się, że cię stracę - szepnęła.

Przez chwilę trwali w milczeniu.

- Dobrze, że miałam broń pod ręką. - Riley pociągnęła nosem.

Jack pozwolił sobie na niewielki uśmiech.

- Zawsze mnie ratujesz. Ale teraz musimy poważnie porozmawiać.

Popatrzyła na niego z nagłym niepokojem.

- Dlaczego teraz? Jesteś ranny i masz mętlik w głowie, więc...

- Wcale nie. - Głębiej zaczerpnął tchu. - Wyjdiesz za mnie?

Wlepiła w niego osłupiałe spojrzenie.

- Za ciebie? - powiedziała bez sensu.

Nastroszył się.

- Wiesz chociaż, ile trzeba mieć odwagi, żeby powiedzieć coś takiego?

To nie zdarza się codziennie!

Riley wybuchnęła śmiechem.

- Wybrałaś romantyczne miejsce! Wśród śmietników... Będzie o czym opowiadać wnukom!

Z całej siły przytulił ją do siebie.

- Mam rozumieć, że powiedziałaś „tak”? - zapytał.

- Tak - odparła z niekłamana radością.

- Kocham cię, Riley. - Pocałował ją prosto w usta.

- I ja cię kocham - szepnęła.

RS

EPILOG

Wesele było huczne, chociaż Riley wolałaby zapewne skromniejszą ceremonię. Ben został drużbą Jacka, a stryj Avery poprowadził bratanicę do ołtarza. W dodatku sam zapłacił za całą uroczystość. Dzięki niewielkiej roli w filmie Wellera wrócił do pracy w telewizji. Ben z kolei, za namową Jacka, wybierał się na uniwersytet. A za dwa tygodnie miało nastąpić otwarcie hotelu i schroniska Foster Care.

Riley stała pośrodku sali z wiązanką w ręku. Kto ją złapie? - pomyślała. Hattie, Gert i Prune stały ramię w ramię jakieś trzy metry za nią. Winnie wolała towarzystwo Harolda i Avery'ego. Po prawej kołysał się Bard, a po lewej wspierał się na szczudle Louis Rocky Mancuso.

- Masz łatwy wybór - szepnął Jack. - Sam i Ben wycofali się z konkurencji. W gruncie rzeczy, podejrzewam, że chcą się tylko najeść. Pod pewnym względem przypominają mi Beowulfa.

- Przestań się wahać, Riley! - Gert wyciągnęła rękę i przyjęła pozycję łapacza na baseballowym boisku. -Rzucaj!

- Słabości! Nazwisko twoje: kobieta - odezwał się Bard.

- Dość tego. Rzucam - oznajmiła Riley. Odwróciła się tyłem do gości.

- Powiesz mi, kto złapał - mruknęła do Jacka.

- Sama zobacz. - Odwrócił ją w chwili, gdy wiązanka wciąż jeszcze leciała w powietrzu. Uderzyła o sufit, rozsypała się i opadła deszczem kwiatów. Winnie złapała różę, Gert i Harold po orchidei, a na głowę Prune posypały się stokrotki. Hattie trąciła laską resztki wiązanki i posłała ją prosto w kierunku Rocky'ego.

- To my, Rocky! - krzyknęła. - Jesteśmy następni w kolejce!

- Wyśmienicie to załatwiłaś. - Jack przygarnął zonę do siebie.
- Nie każdy ma tyle szczęścia, co my, kochanie... - zdążyła powiedzieć, zanim zamknął jej usta kolejnym pocałunkiem.

RS

Jennifer Drew

Podróż za jeden pocałunek

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Była teraz chodzącym wózkiem bagażowym.

Kim Grant ciągnęła jedną ręką wypchaną po brzegi walizkę na kółkach, a w drugiej niosła stary, kupiony na przecenie neseser. Co kilka kroków zsuwały jej się z ramienia paski płóciennego plecaczka, a zawieszona na szyi torebka, w której schowała bilet lotniczy, odbijała się bez przerwy od jej klatki piersiowej.

Zaprzyjaźniony sąsiad, Ben, zawiózł ją w śnieżycy na lotnisko i wysadził o szóstej rano przed kasami biletowymi stacji metra. Kim uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie jego słodki pożegnalny pocałunek. Sprawił on, że przez chwilę niemal żałowała, że wyjeżdża, choć teraz jej wyjazd stanął pod znakiem zapytania.

Ben dawno już odjechał, gdy dowiedziała się, że jej samolot nie poleci. Mroźny wiatr utworzył na pasie startowym zasypany śnieżne i wszystkie loty odwołano.

Miała lecieć do Phoenix, miasta, które uważała za swój dom, więc to opóźnienie bardzo ją irytowało. Jej mieszkanie w Detroit było już puste, liche meble zostały sprzedane lub rozdane, a klucz wrócił do właściciela budynku.

Kim nie pozostało nic innego, jak pojechać do Arizony.

Musiała jak najszybciej dotrzeć do swojej siostry. Po raz pierwszy w życiu Jane naprawdę jej potrzebowała.

Luke Stanton, mąż Jane, był w Afryce, gdzie zakładał nową filię firmy produkującej sprzęt sportowy, firmy, którą prowadził dla swego dziadka. Pojechał tam niechętnie, bo Jane była w zaawansowanej ciąży i spodziewała się bliźniaków. Kim była przekonana, że gdyby Luke wiedział, iż Jane ma problemy związane z ciążą, wróciłby natychmiast. Jednak siostra uparta się. Nie chciała powiedzieć o swoich kłopotach mężowi, żeby nie pokrzyżować mu planów.

Na szczęście powiedziała o nich Kim, gdy lekarz zalecił jej odpoczynek. Jane miała wprawdzie gosposię, ale niełatwo było dotrzymać kroku czteroletniemu Peterowi. Kim uwielbiała swojego siostrzeńca, lecz chłopiec do złudzenia przypominał dzikiego mężczyznę, jakim był jego ojciec, zanim okiełznała go miłość. Mały diabełek wdrapywał się na drzewa z taką łatwością, jakby to były schody, a słowa „nie” w ogóle nie przyjmował do wiadomości.

Kim nie żałowała, że zrezygnowała z pracy, czyli z prowadzenia kursów komputerowych. Tęskniła za Phoenix, za jego złocistym słońcem i pustyniami, ale przede wszystkim pragnęła być bliżej swojej jedynej rodziny. Cieszyła się, że choć raz w życiu będzie mogła zrobić coś dla siostry. Jane wychowywała ją po przedwczesnej śmierci rodziców, przeprowadzała przez jeden kryzys wieku dojrzewania za drugim i pomogła jej w zdobyciu wyższego wykształcenia.

Kim nie mogła się doczekać spotkania z Peterem, mimo że gdy ostatnio była u siostry, nasypał jej piachu do teczki i pomazał jej szminką lustro w łazience. Teraz była przygotowana na

jego wybryki. Dzięki jej pomocy Jane będzie mogła odpocząć, a sama Kim będzie się bawić w najlepsze, próbując okiełznać syna Luke'a.

Najpierw jednak musiała tam dotrzeć. Istniał tylko jeden sposób, by jeszcze tego samego dnia polecieć do Phoenix: trzeba się było dostać na inne lotnisko.

Oczom Kim ukazały się nagle zniżające w dół schody ruchome. Na szczęście przez moment były puste, więc miała czas na umieszczenie na nich swoich bagaży. Wtoczyła na pierwszy schodek walizkę na kółkach, błyskawicznie położyła na niej neseser, przycisnęła do boku płócienny plecaczek, po czym natychmiast wskoczyła na schody, za późno jednak, by wylądować na stopniu bezpośrednio nad tym, na którym ulokowała bagaże. Na domiar złego nie udało jej się stanąć obiema nogami na jednym schodku, a długa spódnica oplótła jej kostki nóg. Kim poczuła, że leci do przodu, i ręką, którą przytrzymała bagaże, chwyciła instynktownie czarną poręcz.

– O nie!

Uratowała się przed upadkiem, ale nie zdołała ocalić przed nim swojego neseseru. Zleciał z niepewnie stojącej walizki i odbijając się po raz drugi od schodów, otworzył się, gubiąc całą swoją zawartość. Jedwabista bielizna rozsypała się, tworząc na schodach szlak w kolorach tęczy.

Kim miała przed sobą wielką walizkę, więc nic nie mogła zrobić. Dopiero gdy dotarła na dół, a intymne części jej garderoby zaczęły się już gromadzić w miejscu, gdzie schody znikają pod podłogą, zabrała się gorączkowo do ich zbierania. Kopnęła na bok walizkę i rzuciła się na kolana tak gwałtownie, że omal nie połamala sobie nóg.

– Pomogę pani – odezwał się jakiś głos.

Kim wcisnęła pospiesznie brzoskwiniowe, koronkowe majtki do kieszeni kurtki, zbyt zakłopotana, by podnieść wzrok na mężczyznę, który zaoferował jej pomoc. Pod czubkiem jednego z jego butów znajdował się srebrzysty biustonosz. Chwyciła go gwałtownym ruchem.

– Dziękuję, poradzę sobie.

Cały czas miała odwróconą twarz i zastanawiała się, co ją podkusiło, żeby kupić majtki w czarnobiałe pasy.

– To żaden kłopot. Szkoda by było, gdyby wszystkie pani rzeczy zostały podeptane.

Spojrzała w górę. U szczytu schodów pojawiła się grupka młodzieży. Wybawca Kim podniósł otwarty neseser i zaczął wrzucać do niego rozsypaną bieliznę. Na jego korzyść przemawiał fakt, że nie przyglądał się bieliźnie zbyt uważnie, z wyjątkiem może czarnej, koronkowej koszulki nocnej, którą próbował złożyć.

– W tym się śpi – wyjaśniła Kim, czerwieniąc się ze wstydu.

Młodzi ludzie byli już w połowie schodów. Kim zebrała szybko resztę bielizny i w ostatniej chwili odsunęła się na bok, przepuszczając trzech głośnych wyrostków, ubranych w identyczne, czerwono-czarne kurtki. Odwróciła się do nich plecami, zignorowała wymowny gwizd i nagle zdała sobie sprawę, że patrzy prosto w niezwykle seksowne, błękitne oczy. Jej nowo poznany przyjaciel był piekielnie przystojny!

Dyndało mu właśnie na palcu krwistoczerwone bikini, ale gdy Kim spojrzała na niego, upuścił je jak rozżarzony węgiel, nie trafiając do neseseru. Kim podniosła bikini z podłogi i w pierwszej chwili chciała je wcisnąć do kieszeni kurtki, gdzie znajdowały się już brzoskwińowe majtki. Rozmyśliła się jednak i wrzuciła je do neseseru, który zaraz potem zamknęła.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziała, starając się ukryć zmieszanie.

– Nie ma za co. Pomóc pani z bagażem? Mężczyźni zawsze proponowali jej pomoc. Jej siostra twierdziła, że jest tak dlatego, iż Kim sprawia wrażenie osoby bezradnej. Kim uważała jednak, że wcale taka nie jest. Po prostu miała tendencję do potykania się, rozlewania i rozrzucania wszystkiego. Starła się z tym walczyć, ale czasem sprawy nie układały się po jej myśli. Podobnie było teraz.

– Serdeczne dzięki, ale nigdy nie zabieram ze sobą więcej bagażu, niż mogę unieść.

Przydałaby się jej pomoc, ale czy mogła powierzyć swój neseser mężczyźnie, który przed chwilą dotykał jej majtek?

– No dobrze, ale pewnie nie chce pani, żeby te pończochy ciągnęły się za panią przez całą drogę.

Wskazał na neseser, z którego istotnie wystawały niebieskie pończochy, a potem się oddalił. Kim znów musiała otworzyć walizeczkę. Upychając w niej ostatnią część swojej nieszczęsnej garderoby, wołała nie patrzeć na tłumy podróżnych zmierzających we wszystkich kierunkach i nie zastanawiać się, ilu z nich było świadkami żalosego spektaklu, w którym zagrała główną rolę.

Obładowana bagażami, ruszyła w stronę punktów wynajmu samochodów. Gdyby wyjechała natychmiast i drogi były jeszcze przejezdne, mogłaby dotrzeć w porę do Chicago i złapać samolot do Phoenix, odlatujący z lotniska O'Hare.

Przy jednym z punktów wynajmu nie było kolejki, więc Kim pobiegła do niego co sił w nogach, lecz powitał ją tylko mały drukowany napis: „Przepraszamy, ale w tej chwili wszystkie samochody są wypożyczone”.

Ustawiła się w długiej kolejce do innej wypożyczalni. Stał w niej również, niemal tuż przed nią, jej barczysty wybawca. Drogi były zapewne oblodzone i mogło jeszcze spaść sporo śniegu, więc chciała wynająć jak najlepszy samochód.

Na szczęście usłyszała, że kogoś z początku kolejki odprawiano z kwitkiem. Żeby wypożyczyć tam wóz, trzeba było mieć rezerwację. Kim popędziła w kierunku ostatniego punktu wynajmu, oferującego – jak głosił napis – auta na każdą kieszeń.

W połowie drogi spojrzała przez ramię i dostrzegła wysokiego przystojniaka, zmierzającego szybkim krokiem w tym samym kierunku co ona. Gdyby się nie zatrzymał, żeby jej pomóc, zdążyłby wynająć samochód i pewnie teraz byłby już w drodze. Sumienie mówiło jej, że powinna ustąpić miejsca swojemu wybawcy, ale z drugiej strony za wszelką cenę musiała dotrzeć do Phoenix. Siostra jej potrzebowała.

Tymczasem dystans między nimi się zmniejszał. Zapominając, że człowiek, z którym się

ściga, jest jej osobistym dobrym samarytaninem, przyspieszyła kroku i dopadła lady wypożyczalni z prędkością sprintera.

– Byłam pierwsza – wysapała Kim, zdejmując z szyi ciężką torebkę i kładąc ją na ladzie. – Mam tu gdzieś kartę kredytową.

Kiedy grzebała w torbie, odezwał się jej wybawca.

– Byłem przed panią, ale jeśli bardzo się pani spieszy, mogę panią przepuścić.

– Obawiam się, że został już tylko jeden samochód, proszę pana – wtrąciła agentka wypożyczalni.

Kobieta za ladą była mocno umalowaną blondyną. Z wielką uwagą przyglądała się przystojnemu mężczyźnie, całkowicie ignorując Kim.

– W takim razie wezmę go – rzekł postawny mężczyzna, uśmiechając się czarująco do agentki.

– Chwileczkę! – Kim przesunęła torebkę po ladzie, tak że znalazła się ona tuż przed mężczyzną. – Naprawdę byłam pierwsza. Stałam przy ladzie, gdy tego pana dzielił od niej jeszcze cały krok.

– Przykro mi – odrzekła obłudnie blondynka. – Ten pan pierwszy poprosił o samochód.

– Proszę wezwać swojego przełożonego – powiedziała Kim, nie mając zamiaru wdawać się w dyskusję z kobietą, która wpatrywała się w jej oponenta szklistymi oczami.

– To niczego nie zmieni – oznajmiła Panna Sama Słodycz takim tonem, jakby właśnie ugryzła cytrynę.

– Może rzeczywiście powinna pani to zrobić, żeby przyspieszyć załatwienie tej sprawy – powiedział rywal Kim. – Muszę zdażyć na samolot odlatujący z Chicago i chcę stąd wyruszyć, zanim zamkną autostradę.

– Chicago! Ja też tam jadę. Może pojedziemy razem? – zaproponowała Kim, nie zważając na to, że ten przystojny mężczyzna może być seryjnym mordercą, oszustem lub fatalnym kierowcą.

Przystojniak spojrzał na Kim.

– Myślę, że to kiepski pomysł.

– Zapłacę połowę... nie, całą sumę. Proszę, muszę jak najprędzej dotrzeć do Phoenix. Moja siostra spodziewa się bliźniakowi...

– A pani pewnie ma odebrać poród? – zapytał kpiąco, wyjmując z portfela kartę kredytową.

Najwyraźniej nie zamierzał łatwo ustąpić. Kim opuściła rzęsy i spojrzała na niego z miną zranionego gołębia. Nie była z siebie dumna, że gra nie fair, ale nie miała wyboru. Rywal zignorował jednak tę żalospną próbę wzbudzenia litości i lekko obróciwszy ramię, odciął jej dyskretnie, acz skutecznie drogę do stojącej za ladą agentki.

– Proszę wezwać przełożonego – nie poddawała się Kim. Zaproponowała, by pojechali razem. Co jeszcze mogła zrobić?

Nagle wszedł służbowymi drzwiami tęgi mężczyzna w okularach w drucianej oprawce, niosąc w rękę tabliczkę z napisem „Zamknięte”.

– Proszę pana! – zawołała Kim. – Obawiam się, że zaszło nieporozumienie. Nie chcę sprawiać kłopotu, ale naprawdę podeszłam do lady pierwsza. To mnie należy się prawo wynajęcia ostatniego samochodu.

Zawahała się, szukając w myślach jakiegoś przekonującego argumentu. Być może podeszli do lady jednocześnie, ale Kim rozpaczliwie potrzebowała wozu.

– Jest pani pewna, że widziała, kto był pierwszy, panno Wheeler? – zapytał przełożony, wędrując wzrokiem po ciele Kim. Jego spojrzenie zatrzymało się na dłuższą chwilę na okazałym biuście, rysującym się wyraźnie pod rozpiętą czarną kurtką. Mężczyzna mrugnął trzy razy, a Kim powtarzała sobie w myślach, że to wszystko dla Jane. Dawno już nie czuła się tak upodlona.

– Muszę się jak najszybciej dostać do Chicago i złapać samolot do Phoenix. Moja siostra jest w ciąży, spodziewa się bliźniaków i musi dużo leżeć, żeby nie nastąpiły żadne komplikacje. Jej mąż jest za granicą. Muszę się zaopiekować ich małym synkiem i dopilnować, by siostra nie podejmowała niepotrzebnego ryzyka.

Opowiedziała swoją historię błyskawicznie i teraz musiała wziąć głęboki oddech.

– Ten pan był pierwszy – rzekła stanowczo panna Wheeler.

– Obsługujemy klientów według kolejności – oznajmił wówczas z żalem tęgi przełożony.

– Sądzę jednak, że był remis – powiedział niespodziewanie przystojniak. Odsunął na bok torebkę Kim i włożył kartę kredytową w czekającą na nią niecierpliwie dłoń panny Wheeler. Potem zwrócił się do Kim: – Może pani jechać ze mną.

– Och, to cudownie! Dziękuję! Chętnie zapłacę moją kartą.

Znow zaczęła grzebać w torebce.

– Nie trzeba. Może mi pani postawić śniadanie, gdy wydostaniemy się z zamieci. Musimy się spieszyć. Jeśli nadal będzie tak padało, utworzą się na autostradzie zasy pyłowe i może zostać zamknięta.

Kim odetchnęła z ulgą. Dotrze do siostry na czas.

Załatwianie formalności zdawało się ciągnąć w nieskończoność, ale Rick wiedział, że cierpliwość nie jest mocną stroną rodziny Taylorów. Musiał się jak najszybciej znaleźć w Phoenix, ale śnieżyca i fruwająca bielizna sprzysięgły się przeciw niemu. Teraz z kolei wynajął wrak, który mógł w ogóle nie dojechać do Chicago. Co gorsza, Rick zgodził się wziąć ze sobą niezwykle kłopotliwą pasażerkę.

Uśmiechnął się mechanicznie do agentki i ledwo powstrzymał się od wyrwania jej formularza i wypełnienia go za nią. Może reagował na sytuację zbyt nerwowo, ale jego brat był już wcześniej żonaty i jego małżeństwo skończyło się fatalnie. Teraz pakował się w następne, jakby niczego go nie nauczył kosztowny rozwód i dwa późniejsze bezsensowne romanse.

Kiedy jego młodszy brat wreszcie zrozumie, że nie ma czegoś takiego jak „żyli długo i szczęśliwie”? To, co działo się między ich rodzicami, było najlepszym dowodem na to, że małżeństwo nie ma sensu. Dziesięć razy rozchodzili się i schodzili, a to jeszcze na pewno nie był koniec tego cyrku.

Rick przestępował z nogi na nogę, próbując nie stracić do reszty cierpliwości. Czemu zaproszenie na ślub przyszło tak późno? Może Brian celowo zwlekał z jego wysłaniem, żeby starszy brat nie miał czasu wylać mu na głowę kubła zimnej wody. Bez względu na pogodę musiał dotrzeć do Phoenix przed ślubem i nakłonić Briana do zmiany decyzji. Jeśli nawet jego brat pozostanie nieugięty, to przynajmniej Rick dopilnuje, by podpisał dobrą umowę przedmażeńską, zanim powie sakramentalne „tak”. Rick polecił już prawnikowi rodzinnemu przygotowanie stosownych dokumentów.

Najpierw jednak Rick musiał dotrzeć do Phoenix.

Gdy tylko formalności zostały załatwione, wsunął na ramię pasek swojej torby podróżnej i chwycił niechętnie neseser, który fikał koziołka na ruchomych schodach.

– Znowu się otworzy? – Rick spojrzął podejrzliwie na neseser.

– Nie, zatrask nie jest zepsuty, ale sama mogę nieść...

– Spieszę się, pani... A właściwie jak się pani nazywa?

– Kim Grant.

– A ja Rick Taylor.

– Tak, wiem. Z formularza wynajmu. Umieć czytać do góry nogami.

Rick ruszył w kierunku parkingu, powstrzymując się od złośliwego komentarza na temat wątpliwego talentu Kim. Miał nadzieję, że gruchot, który właśnie wynajął, zdoła przejechać trzysta kilometrów i dowieźć ich do lotniska O'Hare.

Rick bez trudu dostrzegł wypożyczony wóz. Na jego widok Kim roześmiała się, ale jej towarzyszowi podróży nie było do śmiechu. Musiał ocalić brata przed katastrofą małżeńską, a ta kupa złomu nie wróżyła niczego dobrego.

– To ciężki samochód – powiedziała na pocieszenie Kim. – Powinien dobrze sobie radzić na autostradzie.

– Tak, to był dobry używany samochód, gdy mój ojciec kupił taki sam dla swojej drugiej żony. Teraz należy do żony numer pięć.

Rick otworzył bagażnik, szczęśliwy, że może się wreszcie pozbyć wypchanego majtkami i stanikami neseseru.

– Ojej, pięć żon! Która z nich jest pana matką? Poczucie taktu jest jej raczej obce, pomyślał z goryczą Rick. Ile godzin będzie musiał spędzić w jej towarzystwie? Jeśli sprawy potoczą się tak jak do tej pory, to pewnie okaże się, że niechciana towarzyszka podróży dostanie miejsce obok niego w samolocie.

– Każdy potrzebuje jakiegoś hobby – skomentował ironicznie małżeńskie przygody swojego ojca. – Moja matka była jego pierwszą żoną. Nie boi się pani jechać z nieznajomym?

Rick zamknął bagażnik i spojrzął przeciągle na Kim. Czyżby naprawdę miała zielone oczy? Może to tylko złudzenie optyczne, ale tak czy inaczej musiał przyznać w duchu, że Kim jest atrakcyjną kobietą. Pewnie jednak chciała wyjść za jakiegoś ugrzecznionego jegomościa i wytrwać z nim w szczęśliwym związku małżeńskim po kres swoich dni. Rick unikał takich

kobiet jak zarazy.

– Jest pan psychopatycznym mordercą?

– Może.

– No cóż, trenowałam sztuki walki, a to jest moja śmiertelna broń.

Kim przyjęła pozycję obronną, wyciągając przed siebie małe dłonie w czarnych, skórzanych rękawiczkach. Rick miał już tego wszystkiego dosyć. Chwytał ją wpół i przewiesił sobie przez ramię.

– Ostrzeż mnie, gdy staniesz się niebezpieczna – kpił, Ucząc na to, że Kim zrezygnuje ze wspólnej podróży.

– Postaw mnie na ziemi!

– A magiczne słowo?

– Proszę!

Opuścił ją powoli na ziemię, stwierdzając z niepokojem, że ten bliski kontakt sprawił mu przyjemność.

– To bardzo nierozsądne jechać z jakimś dziwnym facetem – ostrzegł. – Wyjąć z bagażnika twoje rzeczy?

– Nie. Będę prowadziła pierwsza.

– Dzięki, ale nie.

– No dobrze, prowadź do autostrady. Potem będziemy się zmieniać.

– Nie, będę prowadził sam. Wsiadaj. Zmarnowaliśmy już dość czasu.

Gdy Kim wsiadła do wozu, Rick zamknął drzwi od strony pasażera, po czym obszedł samochód, wziął głęboki oddech i usiadł za kierownicą.

Wkrótce dotarli do autostrady i wówczas Rick zdał sobie sprawę, że kłopotliwa pasażerka nie jest bynajmniej największym z jego problemów. Zamieć wzmagała się, a Rick nie był przyzwyczajony do północnych wiatrów.

Inni kierowcy zdawali się nie zważać na trudne warunki i pędzili jak szaleni.

– A gdzie twój samochód? – zapytała Kim.

– Mój samochód? – Chciał wyprzedzić wlekącą się przed nimi ciężarówkę, ale lewym pasem znów zbliżał się błyskawicznie jakiś wóz.

– Nie przyjechałeś nim na lotnisko?

– Nie, przyjechałem z motelu autobusem – Och, a więc nie jesteś stąd.

– Bystra jesteś. – Nie był przyjemny, ale musiał się skoncentrować na prowadzeniu samochodu. – Przepraszam. Nie jestem przyzwyczajony do takiej pogody. Mieszkam w Phoenix.

– Wychowałam się tam i teraz wracam na stałe. W Phoenix mieszka moja siostra. Jej mąż jest prawdziwym skarbem. Gdy się poznali, myślałam, że jest dla niej zbyt szalony, ale wygląda na to, że zdołała go okiełznać.

– Wątpię – podsumował Rick, wyprzedzając wreszcie ciężarówkę.

– Uważasz, że go nie okiełznała?

- Nie, ale jeśli to prawda, to szczerze mu współczuję. Nie wierzę w udomawianie mężczyzn.
- Nie wierzysz w małżeństwo.
- Właśnie.
- Życie w małżeństwie może być cudowne. Moja siostra i jej mąż są bardzo szczęśliwi.
- Szukasz męża?
- Nie... niezupełnie szukam. Myślę, że nie należy się z tym spieszyć. Mam dwadzieścia sześć lat i wciąż jestem sama, ale związek mojej siostry jest dowodem na to, że małżeństwo może oznaczać partnerstwo. Dwoje ludzi pracujących razem, wychowujących dzieci...
- Oszukujących się nawzajem, rozwodzących, pobierających ponownie, wymieniających się dziećmi jak przedmiotami.
- To będzie długa podróż, prawda? – powiedziała Kim, wyglądając przez okno.
- Tak – przyznał Rick – bardzo długa.

ROZDZIAŁ DRUGI

– Nie mogę uwierzyć, że się nam udało. – Kim poklepała z wdzięcznością tablicę rozdzielczą wiekowego auta i zdała sobie sprawę, że mówi do siebie.

Wróg małżeństwa znowu wybierał jedną ręką numer na swojej komórce, a drugą trzymał kierownicę. Dojeżdżali właśnie do lotniska O'Hare.

– Nie mam jeszcze biletu, ale... Nie, jestem już na lotnisku. Kiedy tylko zaparkuję ten złom... Brian, jeden dzień nie robi ci różnicy.

– Nie byłabym szczęśliwą panną młodą – mruknęła Kim – gdyby przełożono mój ślub.

– Biorą ślub jutro w jego ogrodzie – odpowiedział szeptem Rick. – W ceremonii weźmie udział tylko rodzina. Wesele ma się odbyć dopiero w przyszły weekend.

– Mówiłem do kobiety, która ze mną jedzie – powiedział do telefonu. – Nie, nie przyjdzie na ślub. Mówiłem ci już, że wypożyczyliśmy ostatni samochód. Będę dziś późnym wieczorem... Niedziela odpowiadałaby mi o wiele bardziej.

Kim ziewnęła. Nie mogła się już doczekać drzemki w samolocie do Denver, a potem do Phoenix. Podróż z obcym człowiekiem podczas zamieci śnieżnej całkowicie ją wyczerpała.

– Przynajmniej porozmawiaj z Carlisle – nalegał Rick. – Nie ma powodu, by czuła się urażona... Rozumiem, niczego nie obiecujesz. Ale postaraj się.

– Wiesz, dokąd jechać? – zapytała Kim, gdy Rick się rozłączył. Była na tym lotnisku tylko raz i wciąż wydawało się jej istnym labiryntem.

– Kiedy tylko zaparkuję tego wraka, pędzę prosto do bramki. Jeśli chcesz iść ze mną, radzę się nie ociągać.

– Ja też się spieszę i nie mam biletu. Rick posłał jej złowrogie spojrzenie.

– Jeśli zostanie jedno miejsce w samolocie, ja lecę. Brat obiecał, że spróbuje przełożyć ślub na niedzielę, ale ten biedak jest gotów zrobić wszystko dla kobiety.

– W przeciwieństwie do ciebie? Żadna kobieta nie chciałaby, żeby przełożono jej ślub. Nie masz w sobie nawet krzty romantyzmu?

– Myślałem o stworzeniu programu komputerowego, który dobierałby przyszłych współmałżonków.

W drodze do Chicago Rick powiedział jej to i owo o sobie. Był informatykiem. Miał własną firmę doradczą i dużo podróżował. Kim wiedziała już jednak o nim więcej, niż chciał wyjawiać. Zauważyła, że przejawia przesadną troskę o brata i majątek rodzinny. Po kilkunastu rozmowach telefonicznych, które przeprowadził podczas jazdy, stało się jasne, że lubi rządzić. Gdy tracił panowanie nad sytuacją, przygryzał dolną wargę. Jego śmiech był jednak ciepły i przyjemny, tyle że Rick śmiał się wyjątkowo rzadko.

Kiedy znaleźli miejsce parkingowe firmy, z której wypożyczyli wóz, Kim niemal żałowała,

że musi się rozstać ze starym, poczciwym autem. Ogrzewanie było w nim kompletnie rozregulowane, tak że w środku albo panował nieznośny żar, albo arktyczny mróz, a gdy zatrzymał się w drodze na lunch, młodzi ludzie chichotali na widok ich przedpotopowego pojazdu. Mimo to samochód spełnił swoją rolę.

Rick dotrzymał słowa. Chwycił neseser i płócienny plecak, a potem pognął co tchu w stronę terminalu. Kim próbowała za nim biec, ciągnąc za sobą nieudolnie walizkę na kółkach. Wkrótce jednak oboje zwolnili. Na tomisku były nieprzebrane tłumy.

– Kłopoty – powiedział Rick, wskazując monitor nad głową. – Spójrz na opóźnienia. St. Louis, Omaha, Denver, Los Angeles.

– Ale przecież tutaj nie pada! Co się dzieje?

– Nic dobrego. Sprawdźmy.

Minęli kasy biletowe, przy których roilo się od podróżnych stojących w długich kolejkach. Gdy byli już w punkcie kontrolnym, Kim zauważyła, że po prześwietleniu neseseru Rick sprawdza, czy zatrask jest w porządku.

Najwyraźniej nie mógł zapomnieć o wypadku na ruchomych schodach.

Teraz już ruszyli w stronę bramki. W poczekalni wszystkie miejsca siedzące były zajęte. Część ludzi siedziała na podłodze. Rick zostawił Kim z bagażem i stanął w kolejce do lady. Gdy wrócił, nie starał się nawet ukryć zdenerwowania.

– Nie ma problemu ze zdobyciem miejsc w samolocie, ale pod warunkiem, że polecimy przez Meksyk.

– Bardzo śmieszne – odparła Kim, szczerze wątpiąc jednak w to, że Rick żartuje.

– Na zachodzie szaleją burze i zamiecie. W Denver widoczność jest fatalna. Żadne samoloty z lotnisk na zachód od Des Moines nie startują. Dlatego są takie opóźnienia.

– Więc co nam pozostaje?

– Nam?

– Czyli wszystkim tym, którzy podróżują do Phoenix – odrzekła Kim zakłopotana, bo zaczynała już uważać Ricka za swojego towarzysza podróży.

– Wolę nie myśleć o tym, co nam pozostaje.

– A co powiesz na pociąg? Ostatnio pojechałam do domu na święta właśnie pociągiem.

– Pociągiem? – Rick nie wydawał się nastawiony zbyt entuzjastycznie do tego pomysłu, ale mruknął pod nosem:

– Może.

– Śnieżna zawierucha nie powstrzyma pociągu Desert Chief.

– Racja. Nie zwlekajmy.

Rick obwiesił się torbami, wcisnął sobie pod pachę neseser i chwycił Kim za rękę. Biegli przez lotnisko, po ruchomych chodnikach i schodach, szukając najbliższego wyjścia, gdzie mogliby złapać taksówkę.

Niestety, pół miliona zawiedzionych podróżnych miało taki sam zamiar. Kim i Rick wybiegli

z budynku i stanęli jak wryci. Na chodniku kłębił się tłum ludzi walczących o miejsca w taksówkach i autobusach.

– Nie ma szans – mruknął ponuro Rick.

– Nie mamy wyboru!

Kim schowała się za plecami Ricka, wsunęła sobie wiszącą na szyi torebkę pod spódnicę i zapięła trzy górne guziki kurtki, po czym cofnęła ramiona i wypięła brzuch.

– Co ty... ? Och!

– Dziewiąty miesiąc. A teraz złap jakąś taksówkę.

– Nie ujdzie ci to na sucho.

– Nie chcę ukraść taksówki, tylko nią pojechać. Kim jęknęła wystarczająco głośno, by ściągnąć na siebie kilka współczujących spojrzeń.

Rick chwycił rączkę walizki na kółkach i wszedł między tłoczące się na ulicy pojazdy. Kim powlokła się za nim, robiąc co w jej mocy, by wyglądać na przerażoną kobietę w ciąży, która lada chwila spodziewa się rozwiązania. Gdy dogoniła Ricka, wciąż pojękując, ten kłócił się już z jakimś taksówkarzem, który miał największe szanse na zjechanie na lewy pas i wydostanie się z korka ulicznego.

– Muszę brać pasażerów według kolejności – warknął taksówkarz. – Chce pan, bym stracił licencję?

– Tylko pan ma szansę wyrwać się z tego tłoku – nalegał Rick.

– To nieważne. Muszę...

– Odbierał pan kiedyś poród w swojej taksówce? – zapytała Kim, otwierając tylne drzwi i sadowiając się na fotelu przy wtórze kilku przesywających powietrze jęków i krzyków.

– No dobrze, dobrze.

Taksówkarz niechętnie otworzył bagażnik i pozwolił Rickowi wrzucić do niego bagaże.

– Dokąd jedziemy?

– Na dworzec Union Station. Proszę się pospieszyć – wyjąkała Kim, po czym zawyła żałośnie.

– Hej, jak to? Powinna pani jechać do szpitala.

– Posapując i popiskując, szturchnęła łokciem Ricka. Niech teraz on wykaże się inwencją. Przecież ona już prawie rodzi.

– Moja żo... Mamy się tam spotkać z lekarzem. Nawet w tak krytycznej chwili nie potrafił wypowiedzieć słowa „żona”.

– To właściwie położna. Zabierze nas stamtąd do swojej kliniki – rozwinęła wątek Kim, żałując, że nie ma większego doświadczenia w opowiadaniu zmyślonych historyjek. Bała się zawsze, że się zdradzi, jeśli będzie kręcić, ale teraz przecież jej pośpiech był prawdziwy. Jane potrzebowała jej, a to znaczyło, że Kim musi jak najprędzej dotrzeć do Phoenix.

Taksówkarz wzruszył ramionami.

– Tylko niech pani nie zacznie rodzić w taksówce – ostrzegł, po czym zapytał z nadzieją w

głosie: – To pani pierwszy poród? Pierwszy trwa zawsze najdłużej.

– Piąty – wysapała Kim.

– Czwarty – powiedział jednocześnie Rick, a potem, żeby jakoś wybrnąć z sytuacji, dodał: – Jeśli uznać przyjście na świat bliźniaków za jeden poród.

– Gdybyś ty je urodził – wtrąciła Kim – z pewnością uznałbyś, że to były dwa porody.

– Przynajmniej nie rodziłaś ich w autobusie – zażartował z kolei Rick.

Kim była zbyt pochłonięta powstrzymywaniem się od śmiechu, by podziwiać panoramę Chicago. Taksówkarz co chwila zmieniał pas, wciskając się w najmniejsze szczeliny między samochodami i używając klaksonu jak trąbki bitewnej. Bał się, że zaraz zacznie się poród, więc nie było obawy, że pojedzie okrężną drogą, by więcej zarobić.

Stary dworzec kolejowy wyglądał ponuro pod szarym niebem i Kim znów zatęskniła za rodzinnym Phoenix. Kierowca otworzył tylne drzwi, a Kim wyszła z udawanym trudem z taksówki na siarczasty mróz.

– Zapłać panu, kochanie – powiedziała do Ricka, przypominając mu tym samym, że aby wydobyć pieniądze ze swojej torebki, musiałaby najpierw urodzić.

Rick dał taksówkarzowi hojny napiwek, żeby wynagrodzić mu cały ten cyrk, a potem ruszyli w stronę dworca. Kim udawała ciężarną do momentu, gdy weszli do wielkiego budynku. Tam natychmiast wyciągnęła spod spódnicy pękatą torbę. Od chodzenia z wypiętym brzuchem rozboleły ją plecy i dlatego znów ogarnęło ją współczucie dla siostry, mającej problemy z ciążą. Jeszcze bardziej zapragnęła jej pomóc.

Poszli do kas biletowych. Rząd okienek przywiódł Kim na myśl kasy na wyścigach konnych i choć nie była hazardzistką, mogłaby się założyć, że tutaj też spotka ją i Ricka jakaś niemiła niespodzianka.

Stanęli w długiej kolejce. Rick zdjął kurtkę i wcisnął ją do swojej torby podróżnej. Nie mając nic innego do roboty, Kim przyglądała się z uznaniem jego szerokim plecocom i umięśnionym ramionom. Miał teraz na sobie bordową bluzkę z beżowym kołnierzykiem i również beżowe, bawełniane spodnie. Nagle odwrócił się, więc żeby ukryć zmieszanie, Kim zaczęła grzebać przy suwaku swojej wielkiej walizki.

– Ta się nie otworzy? – zapytał podejrzliwie Rick.

– Oczywiście, że nie. Neseser otworzył się tylko dlatego, że spadł na schody.

Rick popatrzył sceptycznie na walizkę, po czym odwrócił się, bo byli już blisko kasy. Wkrótce nadeszła ich kolej. Kim stanęła przy okienku obok Ricka, by upewnić się, że nie sprzątnie jej sprzed nosa ostatniego wolnego miejsca.

– Desert Chief odjechał dwie godziny temu – poinformował z nieskrywaną satysfakcją kasjer.

– A co jeszcze jedzie dzisiaj na zachód? – zapytał Rick.

– Prairie Wind, ekspres numer pięć. Odjeżdża do Denver z peronu piątego o godzinie piątej pięć.

– Numer pięć z peronu piątego o piątej pięć – powtórzyła Kim, Ucząc na to, że piątka okaże się ich szczęśliwą liczbą.

– Jak długo jedzie do Denver? – zapytał Rick.

– Siedemnaście godzin. – Kasjer podkreślił węża, wyraźnie nieskory do sprzedawania biletów.

– Weźmiemy dwie miejscówki – powiedziała Kim, by przyspieszyć sprawę. Podczas ostatniej podróży pociągiem dobrze jej się spało na siedząco.

– Nie ma już miejscówek.

– A co jest? – Rick wyciągnął już kartę kredytową, a Kim zaczęła szukać swojej.

– Mamy luksusowe przedziały rodzinne w pierwszej klasie. W każdym jest sypialnia dla dwóch osób dorosłych i dwójki dzieci. Cena zawiera pełne wyżywienie. Niestety, wszystkie bilety są już sprzedane.

– A co jest jeszcze wolne? – zapytał Rick, wypowiadając wyraźnie każdą sylabę.

Kim miała ochotę wsunąć ręce pod szybę, za którą siedział kasjer, i udusić go jego własnym zielonym krawatem w prążki.

– Zwykły dwuosobowy przedział sypialny.

– Bierzemy dwa – oznajmił Rick.

– Został tylko jeden, proszę pana, i to tylko dlatego, że boś odwołał rezerwację. Jeden dwuosobowy przedział sypialny na piętrze.

Rick spojrzał na Kim.

– Chcesz rzucić monetą?

– Nie, chcę jechać.

Rick zmarszczył brwi i przez chwilę zdawał się bić z myślami.

– Muszę dotrzeć do Phoenix. Bierzemy ten przedział – powiedział do kasjera.

– To nie to samo co wspólna podróż samochodem – zaprotestowała Kim.

– Pewnie, że nie. Teraz chcemy jechać razem. Rick podał kasjerowi kartę kredytową.

– Zapłać połowę moją kartą – powiedziała Kim i wsunęła przez okienko swoją kartę.

– To zbyt skomplikowane. Rozliczymy się później – rzekł Rick, oddając jej kartę. – Nie martw się. Jeszcze zapłacisz swoją część.

Gdy Rick miał już bilety w ręku, pospieszyli w kierunku bramek, za którymi były perony. Na dworcu zaczynał się robić spory ruch. Ludzie wracali po pracy do swoich podmiejskich miejscowości. Rick znów niósł pod pachą wypełniony damską bielizną neseser, jakby strzegł jakichś ważnych tajemnic.

Kim zastanawiała się, czy powinna spać z Rickiem w jednym przedziale. Coś jej mówiło, że to nie najlepszy pomysł. A może będą przez całą drogę siedzieli na rozkładanych siedzeniach, udając, że jadą w przedziale z miejscami siedzącymi?

Wątpiła jednak, by Rick na to poszedł. Był zbyt wysoki, żeby spać w takiej pozycji. Oczywiście, będą spali jedno nad drugim. Nie będą się nawet widzieli.

Kogo próbowała oszukać? Wiedziała przecież, że będzie miała świadomość obecności tego przystojnego i seksownego faceta. Nie była nawet pewna, czy go lubi. Co z tego, że miał śniadą cerę mieszkańców Phoenix? Co z tego, że miał krótki zarost na twarzy i gdyby dotknął nim jej policzka, dostałaby gęziej skórki? I tak będzie spała z... no dobrze, bardzo blisko obcego mężczyzny.

– Pospiesz się – powiedział szorstko Rick.

A może by go tak zabić? Zawsze podobały jej się kryminalne historie rozgrywające się w pociągach. Było coś diabelsko przebiegłego w popełnieniu tego czynu, a potem wmieszaniu się w tłum podróżnych.

Kim nie chciała myśleć o spędzeniu siedemnastu godzin w towarzystwie Ricka. Podobała się mężczyznom, jej też wielu z nich się podobało, ale nie miała takiego szczęścia w miłości jak jej siostra.

Kim od lat szukała właściwego faceta, a Jane znalazła go bez szukania, gdy Luke kąpał się prawie nagi w fontannie na terenie firmy, w której pracowała.

Teraz Kim miała tkwić przez wiele godzin w jednym przedziale z ponurakiem, który uważał, że program komputerowy mógłby dobierać partnerów.

Gdy przypomniła sobie o tym ponuraku, był już kilka kroków przed nią i wcale nie zamierzał zwolnić z jej powodu. Miałby za swoje, gdyby zostawiła go z biletami w rękę i wróciła na lotnisko, by poczekać na samolot. Zrobiłaby to, gdyby nie była tak piekielnie zmęczona, a Jane jej nie potrzebowała.

Kiedy wsiedli do wagonu, pracownik kolei wziął od nich bagaże i umieścił je na specjalnym stojaku, a potem zaprowadził ich do przedziału na piętrze. Pociąg ruszył punktualnie o piątej pięć. Kim i Rick siedzieli już wtedy naprzeciwko siebie w małym, przytulnym przedziale, gotowi dać się zawieźć ku swoim przeznaczeniom.

Nie, miejscem przeznaczenia, poprawiła się w myślach Kim, trochę przestraszona, ale też przekonana, że po zakończeniu podróży ich drogi się rozejdą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rickowi, przyzwyczajonemu do żywienia się w barach szybkiej obsługi, kolacja wydała się bardzo wykwintna. Kim zamówiła pastę z ostryg ze smażonymi pomidorami i serem parmezan, a Rick – nadziewany kotlet wieprzowy, ziemniaki z masłem ziołowym i szpinak. Siedzieli przy stoliku z parą emerytów, którzy byli zżyci ze sobą do tego stopnia, że gdy jedno zaczynało zdanie, drugie je kończyło. To straszne, pomyślał Rick, są małżeństwem tak długo, że ich umysły stopiły się w jeden. Jednak nie przysłuchiwał się uważnie ich długiej opowieści o podróży do Kolumbii, był zbyt zmęczony, natomiast Kim kiwała grzecznie głową i zadawała starszkom wystarczająco dużo pytań, by chcieli kontynuować.

Gdyby nie starsza para, Rick musiałby rozmawiać z Kim, a wcale nie był pewien, czy ma o czym. Odczuwał więc głęboką wdzięczność wobec wygadanych starszków i starał się nie przysnąć.

Wagon restauracyjny stopniowo opustoszał i starsi państwo też w końcu poszli. Obsługa sprzątała ze stolików i nakrywała je do śniadania. Kim trzymała w dłoni filiżankę, udając, że pije, choć z ziołowej herbaty zostały już tylko zimne fusy.

– Chyba zejdziemy im z drogi – powiedział Rick.

Kim popatrzyła przeciągle na biały lniany obrus, jakby miała ochotę położyć na nim głowę i zasnąć. Rick doskonale wiedział, jak Kim się czuje, albo tak mu się przynajmniej wydawało. Co innego jechać z nieznanym wynajętym samochodem czy taksówką, a co innego spać z nim w jednym przedziale. Nie był pewien, jak to się wszystko potoczy.

Choć myśli Ricka krążyły głównie wokół błędnej decyzji jego brata, kobieta, w której towarzystwie teraz przebywał, nie była mu obojętna. Ilekroć tracił czujność, przyłapywał się na tym, że zastanawia się, jak by wyglądała w któryś ze swoich seksownych majteczek albo w prześwitującym, koronkowym staniku. Żałował, że zatrzymał się, by jej pomóc. Ostatnia rzecz, jakiej chciał, to ulec urokom tej ponętnej kobiety. Raz zamieszkał z kobietą, ale ta próba wspólnego pożycia rychło skończyła się fiaskiem, gdy współlokatorka Ricka zaczęła wystawać godzinami przed witrynami sklepów jubilerskich i uczyć się chińskiego.

Kiedy wracali do swojego przedziału, Rick podziwiał, trochę wbrew sobie, pełne wdzięku ruchy Kim, która poruszała się niezwykle uwodzicielsko. Nie był zresztą jedynym mężczyzną, który ją obserwował. Wielu wodziło za nią oczami. Skoro robiła takie wrażenie w długiej, czarnej spódnicy i skromnym, różowym sweterku, jakkolwiek ściśle przylegającym do ciała, to gdyby miała na sobie jakiś wyzywający strój, w pociągu mogłoby dojść do zamieszek. Większość mężczyzn w pociągu dałaby wszystko, by jechać z Kim w jednym przedziale, czemu więc Rick się tego obawiał?

– Pójdę chyba do wagonu wypoczynkowego. Zobaczę, jaki leci film – powiedział Rick,

uznając, że lepiej drzemać tam, niż leżeć bezsenne w ich przedziale i zastanawiać się, jak Kim wygląda podczas snu.

– Dobrze.

Ku jego uldze Kim nie zaproponowała, że z nim pójdzie. Odprowadził ją więc do ich małego przedziału, w którym z trudem zmieściłaby się dwójka pigmejów.

– Pomyślałam, że moglibyśmy nie składać siedzeń i spać na siedząco – powiedziała Kim.

– Wolałbym wyciągnąć się wygodnie na łóżku – odparł Rick, czując się jak drań z powodu odrzucenia jej propozycji.

– No cóż, ty kupiłeś bilety... Ale rano i tak się rozliczymy. Zapłacę ci czekiem.

– Nie pali się.

Poszedł do wagonu wypoczynkowego, niespecjalnie z siebie zadowolony, ale też pewien, że nie da się wplątać w związek z kobietą, która poluje na męża. Usiadł na jednym z wolnych foteli i wyjrzał przez okno na ośnieżone pola, na których hulał mroźny, lutowy wiatr, wzbijając tumany śniegu i malując surrealistyczne obrazy.

Rick miał zbyt dużo spraw na głowie, by interesować się tym, co działo się na ekranie telewizora, znajdującego się w głębi wagonu – niespodziewany ślub Briana, niechęć brata do podpisania intercyzy, konieczność zadzwonienia do niego ponownie i poproszenia, by znów przełożył ceremonię ślubną. Rick postanowił skontaktować się z bratem po dojechaniu do Denver. Wtedy będzie mógł zaplanować ostatni etap podróży i będzie już wiedział, kiedy dokładnie dotrze do Phoenix.

Rick próbował skoncentrować się całkowicie na problemach związanych z Brianem, ale nie mógł zapomnieć o Kim. Podobały mu się jej zielone oczy i ciemne, kręcone włosy, choć dawno już uodpornił się na powaby atrakcyjnych kobiet, wiedząc, że gdyby im uległ, musiałby zapłacić wysoką cenę: stanąć na ślubnym kobiercu. Miał po prostu pecha, że los postawił na jego drodze zgrabną, seksowną brunetkę.

Choć padał ze zmęczenia, nie zasnął na fotelu, gdyż przeszkadzał mu dość głośny szmer rozmów w wagonie. Nagle zdał sobie sprawę, że podsłuchuje jedną z nich. – To ma być nasz miodowy miesiąc? – skarżyła się jakaś młoda dziewczyna. – Wolne żarty! Twój rodzice i brat nie odstępują nas na krok. – Kochanie, potem to sobie wynagrodzimy. – Dlaczego ślub twojej siostry był niemal w tym samym czasie co nasz? To nie do wiary, że odbywamy naszą podróż poślubną z twoimi rodzicami.

– Będziemy z nimi tylko do jutra. Zgodziłaś się na to.

– Nie mogę spać na tym wąskim łóżku. Czuję się jak w trumnie.

Rickowi było nieco wstyd, że słucha prywatnej rozmowy, ale z tego, co usłyszał, wywnioskował, że ci młodzi ludzie będą ze sobą najwyżej trzy lata. Do tego czasu dziewczyna będzie już miała dość swojego denerwującego męża i zapagnie prawdziwego życia. Urodzi im się już wtedy dziecko i jeśli szczęście mu nie dopisze, będzie trzech tatusiów i kilku wujków, wypożyczających po kolei na jeden dzień.

Rick uznał że powinien wrócić do swojego wagonu i położyć się spać. Nie lubił siebie, kiedy był w takim cynicznym nastroju. Wziął ze stojaka na bagaże swoje przybory do golenia, umył w łazience zęby i udał się do przedziału.

Obsługa wagonu spisała się na medal. Siedzenia już złożono i przygotowano poślanie. Świeża, biała pościel wyglądała zachęcająco, ale towarzyszka podróży gdzieś zniknęła. Rick miał nadzieję, że zastanie ją śpiącą w zapiętej pod szuję koszuli nocnej, a tymczasem musiał na nią czekać i wyobraźnia podsuwała mu obrazy bardzo skąpego stroju, w którym lada moment zjawi się Kim. Jakże żałował, że zobaczył zawartość jej małej walizeczki!

Zostawił suwane drzwi do przedziału otwarte i położył się na dolnym łóżku. Nie miał piżamy, więc postanowił poczekać, aż Kim się położy, i dopiero wtedy zdjąć spodnie.

Już drzemał, gdy nagle rozbudził go jej rozniewany głos.

– Ja chcę spać na dolnym łóżku.

Kim miała na sobie zapiętą pod szyję kurtkę i spodnie od piżamy, a na nogach pluszowe kapcie. Sprawiały one, że jej stopy wydawały się większe od jego i Rick odetchnął z ulgą, gdyż wyglądała raczej głupkowato niż seksownie. Kiedy jednak zamknęła drzwi i zdjęła kurtkę, Rickowi przestało być do śmiechu. Jej piżama była staromodna i miała raczej męski krój, ale kremowy jedwab tak ściśle przylegał do ciała i czynił Kim tak pociągającą, że Rick zapragnął chwycić ją w ramiona.

– Rzucę monetą – zaproponował niechętnie, wiedząc, że na górnym łóżku nie będzie mu zbyt wygodnie.

– Nie.

Rick zauważył, że Kim nie zdjęła bielizny. Przez materiał piżamy prześwitywał nieznacznie różowy stanik.

– Jesteś mniejsza ode mnie. – Podnosząc się z łóżka, Rick zastanawiał się, jakiej pasty do zębów używa Kim. Pomyślał też, że żadna kobieta nie powinna pachnieć tak słodko, kładąc się spać, zwłaszcza nietykalska.

– Mogę mieć klaustrofobię – upierała się Kim.

– Możesz mieć? To nie wiesz, czy masz?

– Nigdy nie próbowałam spać na łóżku, na którym nie mogę się przewrócić na drugi bok, nie waląc pupą w sufit – wyjaśniła cierpliwie.

– No dobrze, śpij na dole – rzekł Rick, chcąc jak najszybciej uwolnić się od jej kuszącego widoku.

– Nie, jestem samolubna. Ty potrzebujesz więcej miejsca. Nie gaś tylko światła, zanim wdrapię się na górę.

Kim przywarła plecami do drzwi, żeby przepuścić Ricka.

– Życz mi powodzenia – westchnęła.

– Pomogę ci – powiedział zbyt szybko. Miał nawet ochotę ją podsadzić, ale uznał, że to głupi pomysł.

Kim zaczęła wchodzić po drabince na górę. Jedwab opinał jej zgrabną pupę i pod spodniami od pizamy można było dostrzec zarys majtek. Rick trzymał ręce przy sobie, ale przychodziło mu to z największym trudem, zwłaszcza gdy Kim, dotarłszy na najwyższy szczebel, oparła się o brzeg łóżka i znieruchomiła.

– Co się stało?

– Ach... nic takiego.

– Wdrap się tam, a potem powiesz mi, kiedy mam zgasić światło.

– Daj mi trochę czasu.

– Na co?

– Muszę się przyzwycząić do przebywania na tak ograniczonej przestrzeni.

Ale czy musiała to robić z wypiętą pupą? Czy zdawała sobie sprawę, jak to na niego działa?

– Będzie ci wygodniej, jeśli się położysz – zapewnił, świadom rytmicznego kołysania pociągu i rosnącej w przedziale temperatury.

Kim odgarnęła koc i wierzchnie prześcieradło, po czym wsunęła ostrożnie jedną nogę na materac. W tej pozycji wyglądała jeszcze bardziej prowokująco.

– Świetnie. Teraz druga noga. Wdrap się tam wreszcie – ponaglał.

– Nie mogę. – Zabrzmiało to żałośnie. Rick poczuł wyrzuty sumienia z powodu trawiącej go żądz, choć wcale nie chciał jej w sobie rozbudzać.

– Zamknij oczy i wtocz się tam jakoś – zaproponował.

– Łatwo powiedzieć.

– Albo wdrap się tam, albo zejdz na dół – polecił surowym tonem.

– Na pewno potrafię to zrobić. Uprawiałam kiedyś wspinaczkę skałkową, ale przestałam, gdy zwichnęłam kostkę. To jest o wiele łatwiejsze... Powinno być łatwiejsze.

– Więc zrób to! – warknął Rick.

Górna część pizamy przesunęła się nieco do góry, odsłaniając kawałek gołych pleców Kim, która gwałtownym ruchem umieściła jakoś drugą nogę na łóżku i zaryła nosem w poduszkę. Rick chciał ją natychmiast przykryć, ale bał się, że dotknie jej przypadkowo... lub celowo.

– Wszystko w porządku?

– Zaraz będzie. – Kim wsunęła się pod koc i zwinęła w kłębek, zwracając twarz w stronę Ricka. Miała tak mocno zaciśnięte powieki, że Rick chciał je pocałować, żeby się trochę rozluźniła.

– Może zostawię zapalone światło?

– Nie – zaprotestowała Kim. – Nie chcę niczego widzieć. Mój chomik miał więcej miejsca w swojej klatce niż ja tutaj.

– Złaz na dół – Rick wiedział, że został pokonany. – Ja będę spał na górze.

– Nie zmieścisz się.

– Jest tam więcej miejsca, niż ci się wydaje.

– Nie, to miejsce cały czas się kurczy. Za chwilę obniży się sufit i zmiądzę mnie.

– Kim, schodź. To wariactwo. Chyba rzeczywiście masz klaustrofobię.

– Tak myślisz?

Czyżby usłyszał nutkę satysfakcji w jej głosie?

– Złaż, bo inaczej ściągnę cię stamtąd.

– Uderzę się głową o sufit.

– Spuść nogi, zdejmę cię.

Rick nie musiał tego robić. Kim zsunęła się błyskawicznie po drabinie i rzuciła na dolne łóżko. Po drodze zahaczyła o biodro i nogę Ricka, rozpalając ogień w jego łądźwiach.

– Czy mimo wszystko możemy zostawić zapalone światło? – zapytała, leżąc już pod kocem.

– Jasne.

– Nie zamierzasz zdjąć spodni?

– Owszem, mam taki zamiar.

– Na górze z pewnością ci się to nie uda. Możesz to zrobić tutaj. Zamknę oczy i nie będę podglądać.

– To miło z twojej strony – rzekł oschle.

Kim miała jednak rację. W puszcze na sardynki było więcej miejsca.

– Robisz to?

Leżała na brzuchu, wsparta na łokciach, zakrywając jedną dłonią oczy. Rick rozpiął pasek i pozwolił spodniom opaść swobodnie na podłogę. Kim oczywiście podglądała. On też by podglądał, gdyby to ona się rozbierała. Wdrapał się na górę i stwierdził z żalem, że istotnie jest tam znacznie ciasniej, niż sądził. Każdy nieopatrzny ruch mógł się skończyć rozbiciem głowy o sufit.

Rick zamknął oczy w nadziei, że zaśnie, ale przeszkadzało mu zapalone światło, a także to, że nie mógł się ułożyć wygodnie do snu. Poza tym każdy dźwięk dochodzący z dołu, oddech Kim czy szelest pościeli, wydawał się o wiele głośniejszy, niż był w rzeczywistości. Wkrótce Rick postanowił, że pójdzie do wagonu wypoczynkowego, gdy tylko Kim zaśnie. Ona jednak ciągle się wierciła i nic nie wskazywało, że to nastąpi prędko.

– Śpisz? – zapytała szeptem Kim.

– Nie.

– Ja też nie mogę zasnąć.

– Spróbuj. – Rick starał się powiedzieć to ciepłym, ojcowskim tonem, choć nigdy nie zdarzyło się, by ojciec był wieczorem przy jego łóżku.

– Mam wyrzuty sumienia.

– Dlaczego?

– Jesteś o wiele za duży, by spać tam, na górze. Jestem egoistką. Zamieńmy się.

– Przecież masz klaustrofobię.

– Może trochę przesadziłam, – A więc udawałaś?

– W pewnym sensie, to znaczy...

– Nie chcę wiedzieć, co to znaczy. Rick zszedł szybko po drabince, nie przejmując się tym, że jest w samych majtkach. Dokładnie w tym samym momencie Kim wyslizgnęła się ze swojego łóżka i zderzyli się ze sobą.

– Och! – krzyknęli równocześnie.

– Przepraszam – wymamrotała Kim i lekko zachichotała.

– Słusznie, bo jest za co przepraszać. Nie planował tego, ale ich usta zetknęły się, gdy nagle zatrzęsło pociągiem. Kim wpadła na Ricka i przytrzymała się go, żeby nie upaść. I wtedy stało się. Rick rozchylił wargi i spił słodycz z jej ust.

– Och! Potrafił rozpoznać pomruk zadowolenia. Pocałował ją znowu.

– Prze... przepraszam – szepnęła Kim.

– To chyba ja powinienem przeprosić. – Robił, co mógł, by nie zapomnieć, dlaczego nie powinien pociągnąć Kim za sobą na dolne łóżko.

– Nie, myślę, że to moja wina.

– A więc to dlatego nie mogłaś zasnąć? Potrzebowałaś pocałunku na dobranoc?

– Z pewnością nie!

Tym razem Rick nie żałował, że pali się światło. Na policzkach Kim wykwitły rumieńce. Dzięki temu wiedział, że skłamała.

– Chyba powinieneś włożyć spodnie.

– Podglądałaś, co? – Rick chciał, żeby zabrzmiało to jak kpina, ale nic z tego nie wyszło, bo roześmiał się i przyciągnął Kim ku sobie, nie napotykając żadnego oporu.

– Myślisz, że ten przedział jest dźwiękoszczelny? – szepnęła mu do ucha.

Nie wiedział, czy Kim jest wstydliva, naiwna czy nieodpowiedzialna, ale to była ostatnia szansa, by zignorować zachętę, którą – jak mu się zdawało – usłyszał w jej głosie, – Idź spać – powiedział zdecydowanym tonem.

– Tak, powinnam. Nie mogłabym polubić zrzędy, który chce zniszczyć małżeństwo brata.

Rick nie wiedział, czy ucieszył ją taki obrót sprawy, czy rozgniewał. Przcisnęła się z trudem obok niego i wtedy poczuł, że przynajmniej jedna część jego ciała nie była zadowolona z tego, że Kim wraca na górne łóżko.

– Chcesz, żebym teraz zgasił światło? – zapytał Rick.

– Jest mi wszystko jedno.

Czyżby usłyszał charakterystyczne pociągnięcie nosem? Nie zgasił światła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kim trudno było zasnąć na wąskim łóżku, zwłaszcza że Rick był tak blisko i nie mogła przestać o nim myśleć. Zwinęła się w kłębek, wtuliła policzek w poduszkę i zaczęła rozmyślać o niespodziewanym pocałunku. Nie sądziła, że do niego dojdzie, ale zastanawiała się wcześniej, co by poczuła, gdyby się pocałowali. Teraz już wiedziała, że Rick potrafi wspaniale całować, lecz ta mała próbka sprawiła, że Kim chciała więcej.

Przewracała się z boku na bok, starając się znaleźć jak najwygodniejszą pozycję, ale jednocześnie bała się, że Rick usłyszy, że nie może zasnąć. Za nic w świecie nie chciała, żeby wiedział, iż to on jest tego przyczyną. Może i potrafił wspaniale całować, ale nie miał na to monopolu. Kim przeżyła już niejedno zauroczenie i rozczarowanie, lecz nadal szczerze pragnęła znaleźć tego jedyne, wymarzonego mężczyznę, który byłby dla niej odpowiedni. Jane znalazła. Jej cicha, poważna siostra miała szczęście, że trafiła na Luke'a. Byli niezwykle zgraną parą.

Taki cud nie był jednak możliwy z mężczyzną, który nienawidził ślubów. Rick wyglądał może jak bóg miłości, a nawet tak całował, ale nie warto brać go pod uwagę.

Powodowała nim zapewne źle pojęta troska o brata, lecz Kim nie zamierzała oddać serca Rickowi Taylorowi, zajadłemu wrogowi miłości.

Rytmiczne kołysanie pociągu miało działanie hipnotyczne, czego nie dało się powiedzieć o cichym pochrapywaniu współpasażera Kim. Spał w najlepsze. Ich zbliżenie nie spędzało mu snu z powiek.

Jeszcze przez jakiś czas Kim wierciła się i przytulała poduszkę. Potem jednak zapadła w sen tak głęboki, że gdy ją z niego wyrwano, usiadła gwałtownie w łóżku i uderzyła głową o sufit. Przez chwilę nie wiedziała, co się z nią dzieje. Powodem jej przebudzenia było nagłe zatrzymanie się pociągu. Działając instynktownie, zsunęła się z łóżka, nie trafiła stopą w szczebel drabinki i runęła na dół.

– Aaaaa...

– Mamcią!

Jej pupa wylądowała na piersi Ricka, który ocalił Kim przed bolesnym upadkiem.

– Postaw mnie na podłodze!

– Nie podziękujesz mi?

– Dziękuję... Postaw mnie!

– Następnym razem skorzystaj z drabinki.

Rick wziął głęboki oddech i opuścił ją na podłogę.

– Co się stało? – zapytała, wkładając na nogi swoje pluszowe kapcie w kształcie królików.

– Pociąg się zatrzymał.

– Gdzie właściwie jesteśmy?

– Nie sędę, aby to był zaplanowany postój. Nie ma jeszcze nawet piętej.

Do ich przedziału dotarły odgłosy z korytarza. Kim uchyliła zasłony okrywające szklane drzwi przedziału i wyjrzała na zewnątrz – Są tam jacyś ludzie – powiedziała i zaraz skarciła siebie w myślach za tę niezbyt odkrywczą obserwację.

– Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Rick wciągnął spodnie i opuścił przedział. Nie zasunął jednak do końca drzwi, żeby Kim mogła słyszeć, co się dzieje. Na korytarzu panował tłok i gwar, ale potem nagle zaległa cisza. Kim wychyliła głowę na tyle, na ile to było możliwe. Trzymała przed sobą kurtkę, by nie siać zgorszenia.

– Proszę państwa, nie ma powodu do niepokoju! – wykrzyknął z końca wagonu wysoki, szczupły mężczyzna w mundurze kolejarza. – Ciężarówka uderzyła w wiadukt, który znajduje się tuż przed nami. Został on tymczasowo zamknięty.

– Na jak długo? – spytał w imieniu wszystkich Rick.

– Aż upewnimy się, że nie stanowi zagrożenia. Jeśli okaże się, że została naruszona konstrukcja wsporników...

– Kiedy będziecie to wiedzieli? – wtrącił otyły mężczyzna w niebieskiej, flanelowej piżamie.

– Jedzie tu inspektor techniczny z Omaha. Powinien być za dwie godziny. Zresztą i tak wiele nie zobaczy, dopóki nie zrobi się jasno. Przepraszamy za opóźnienie i proszę się nie martwić. Połóżcie się spać. Rano poczęstujemy państwa pysznym śniadaniem. Do momentu, gdy znów ruszymy, wszystkie posiłki będą bezpłatne, a zapewniam, że nie brakuje w pociągu jedzenia.

– Gdzie jesteście? – zapytał głośno Rick, gdyż znowu zrobił się harmider.

– Fort Powell, Nebraska, około trzynastu mil na południe od Kearney. Z pociągiem wszystko w porządku. Mamy po prostu nieprzewidziane opóźnienie.

– A jeśli okaże się, że wiadukt jest nieprzejezdny?

– zapytał mężczyzna we flanelowej piżamie.

Pracownik kolei próbował już przejść do następnego wagonu.

– Nie zapadła jeszcze żadna decyzja, ale zapewniam, że dowieziemy państwa tam, dokąd się wybieracie.

– Pewnie będziemy musieli wrócić do Omaha, by pojechać inną trasą – mruknął jakiś inny pasażer, gdy tłum zaczął się rozchodzić.

Po powrocie do przedziału Rick rozłożył siedzenia i złożył górne łóżko, żeby mogli siedzieć wygodnie, z wyprostowanymi plecami. Kim wyjrzała przez okno i zobaczyła z przodu, w miejscu, gdzie skręcały tory, jakieś światła.

– Nie mogę uwierzyć, że przytrafiła mi się taka podróż – powiedziała.

– Pójdę się rozejrzeć. – Rick zaczął wkładać buty.

– Chcesz tam iść?

– Wzgórze nie jest tu zbyt strome.

– To dozwolone? Można wysiąść z pociągu? Rick roześmiał się.

– Nie jesteśmy więźniami – powiedział, po czym wysliznął się z przedziału i skierował ku drzwiom wagonu.

Po jego wyjściu Kim poczuła się bardzo samotna. Pod oknem kilku innych pasażerów schodziło z Rickiem ze wzgórza. Co chcieli udowodnić, brnąc po ciemku w śniegu po kolana? Kim zwinęła się w kłębek, otuliła kurtką jak kocem i udowodniła samej sobie, że jednak da się spać w takiej pozycji.

Rick schodził ze wzgórza, ślizgając się na nierównej, pokrytej śniegiem ziemi. Był tak sfrustrowany kolejnym opóźnieniem, że miał ochotę sam przepchnąć pociąg przez wiadukt. Kiedy dotarł do autostrady, dzieliło go od miejsca wypadku jeszcze około pół kilometra. Strzepnął śnieg z butów i spodni, a potem pobiegł w kierunku skupiska świateł. To, co zobaczył, nie napawało optymizmem. Dwuczęściowa ciężarówka wypadła z drogi pod wiaduktem kolejowym. Rick doszedł do wniosku, że kierowca albo jechał za szybko i wpadł na oblodzony chodnik, albo po prostu zasnął za kierownicą.

W miejscu wypadku było jasno jak za dnia dzięki licznym świadom radiowozów policyjnych oraz pojazdów należących do służb drogowych. Rick ujrzał osiemnastokątową ciężarówkę zmiażdżoną jak zabawka i nadkruszony betonowy filar. Potem podszedł do ubranego w pomarańczową kamizelkę pracownika służb drogowych.

– Jest szansa na to, że pociąg przejedzie? – zapytał.

– Jasne... za parę lat, gdy jakiś urzędnik zarządzi wreszcie naprawę wiaduktu. Nie odważyłbym się tędy przejechać nawet moim motorem.

Pracownik służb drogowych tylko potwierdził obawy Ricka. Jego podróż do domu przypominała jakąś koszmarną grę planszową. Cztery pola naprzód, a potem kara i powrót do punktu wyjścia. Jeśli dalej będzie się posuwał w takim tempie, to zanim dotrze na miejsce, obecna narzeczona brata zdąży już wystąpić o rozwód i zażądać sporej sumki na odchodne.

Kiedy wracał wzdłuż autostrady, dostrzegł majaczącą we mgle tablicę z napisem: „Parking dla ciężarówek”.

Wciąż panował półmrok, więc niełatwo było określić odległość, ale tablica znajdowała się mniej więcej kilometr na południe od pociągu.

Rick był gotów pojechać każdym środkiem lokomocji zmierzającym na zachód, a wszystko wskazywało na to, że nadarzyła się właśnie okazja. Nie zamierzał czekać w pociągu, gdy jego brat będzie wkładał sobie pętle na szyję, mówiąc „tak”.

Kiedy wdrapywał się na wzgórze, wydawało mu się ono bardziej strome niż wtedy, gdy z niego schodził, ale przede wszystkim martwiło go to, że będzie musiał się rozstać z Kim. Dzięki niej podróż nie dłużyła się tak bardzo. Oczywiście, ich znajomość i tak nie miała żadnej przyszłości. Rick wyszedł zwycięsko z największej próby: spędził niewinnie noc ze swoją towarzyszką podróży w przedziale wielkości szafy na ubrania. Jeśli nie liczyć jednego czy dwóch pocałunków, trzymał ją na odpowiedni dystans.

Do licha, przecież go nawet nie lubiła. Ale właściwie dlaczego miała go lubić? Gdy usłyszała

o ślubie, natychmiast się rozmarzyła, a Rick nie uznał nawet za stosowne wyjaśnić, na czym polegają jego zastrzeżenia co do małżeńskich planów Briana. Gdyby to była pierwsza przygoda miłosna brata, Rick nie wtrącałby się. Nie poznał jeszcze nowej narzeczonej Briana, ale był przekonany, że jego jedyny brat znów dał się omotać jakiejś atrakcyjnej, ale kompletnie pustej kobiecie, którą interesowały wyłącznie jego pieniądze. Zresztą nie chodziło mu nawet o stronę finansową całej tej sprawy. Nie obchodził go rodzinny majątek, choć dziadkowie zostawili im niemały kapitał. Brian dobrze zarabiał jako inżynier, a i on sam nie narzekał na swoje dochody. Rick po prostu nie mógł znieść myśli, że jego brat znów zostanie wykorzystany i skrzywdzony.

Po wdrapaniu się do wagonu spostrzegł stojak na bagaże i poczuł pokusę, by wziąć swoją torbę podrózną i odejść bez słowa. W przedziale zostawił tylko przybory do golenia. Nie był jednak pewien, jak zareagowałaby Kim, gdyby tak po prostu zniknął. Mogłaby się martwić. Była taką osobą.

Kim spała okryta kurtką, z nogami opartymi na drugim siedzeniu. Rick wiedział, że długo jej nie zapomni.

Nie chciał jej budzić i postanowił zostawić kartkę. Sięgnął ręką do znajdującego się między ścianą a siedzeniem schowka, żeby wziąć jedną z ulotek reklamowych i napisać na niej kilka słów pożegnania.

– Ojej! Nie słyszałam, jak wchodziłeś. – Kim tak zaskoczyła nagła obecność Ricka, że aż drgnęła gwałtownie i kurtka zsunęła się jej na kolana.

Górna część pizamy przylegała teraz ściśle do ciała Kim i Rick pomyślał, że mimo wszystko spędzenie z nią jeszcze dnia lub dwóch w ciasnym przedziale mogłoby być całkiem przyjemne. Po chwili wahania uznał jednak, że najlepiej będzie dla nich obojga, jeśli natychmiast się rozstaną.

– Przyszedłem po moje przybory do golenia – rzekł Rick.

– Nie musisz się golić z mojego powodu – odparła Kim, zupełnie już rozbudzona. – Dowiedziałeś się czegoś?

– Nie mam dobrych wieści. Na szczęście kierowca przeżył, ale ciężarówka uszkodziła jeden z filarów wiaduktu.

– Jesteś pewien?

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

– Kiedy więc będziemy mogli ruszyć? Martwię się o siostrę.

– Pociąg pojedzie inną trasą – Rick nie wspomniał o wielkim opóźnieniu, jakie się z tym wiązało. – W końcu dojedziesz na miejsce.

– Ja dojadę?

Rickowi nie pozostało nic innego, jak pożegnać się i ruszyć w drogę.

– Około kilometra stąd jest parking dla ciężarówek. Mam nadzieję, że ktoś mnie podwiezie. Ślub dawno się skończy, zanim tam dotrę, jeśli będę tu tkwił przez cały dzień.

– Jeśli pojedziesz ciężarówką, na pewno nie dotrzesz tam na czas.

– Tak, ale może znajdę gdzieś niedaleko, na południe stąd, jakieś otwarte lotnisko. Mam dość czekania w tym pociągu.

– Idę z tobą.

– Nic z tego. Powinnaś zostać.

– Podjęłam już decyzję. Jeśli nie chcesz mnie ze sobą zabrać, pójdę sama.

– To szaleństwo.

– Możliwe, ale mogę się z tobą założyć, że złapię okazję prędzej niż ty.

– Myślałem, że nie lubisz hazardu.

– Chyba że jestem pewna wygranej. Kim sięgnęła po swój mały plecaczek.

– Bądź rozsądna, Kim – rzekł Rick, uświadamiając sobie jednocześnie, że po raz pierwszy wypowiedział jej imię. Ciekawe...

– Będę gotowa do drogi za dwie minuty. Możesz na mnie poczekać albo nie. Twoja sprawa.

– Popelniasz wielki błąd.

– A ty nie? Zdaje się, że nie zamierzasz na mnie czekać. W takim razie pa, pa.

Po tych słowach Kim wstała i, trzymając w ręku plecaczek, próbowała się przecisnąć obok Ricka.

– Poczekać dwie minuty. Jeśli nie wrócisz za sto dwadzieścia sekund, pójdę sam, a ty zostaniesz w pociągu.

– Umowa stoi! Zsynchronizujmy zegarki.

Kim uniosła nadgarstek i spojrzała na swój mały zegarek.

– Twój późni się pięć... nie, siedem sekund – powiedziała.

– A może to twój się spieszy?

To żałosne, pomyślał Rick, sprzeczać się o kilka sekund. Jeszcze nie słyszał o kobiecie, która ubierałaby się krócej niż dwadzieścia minut.

– Dobiegu... gotowa... start!

Kim wybiegła na korytarz w pluszowych kapciach, z kurtką na ramionach, trzymając przed sobą plecaczek i buty niczym tarczę i miecz.

Rick chciał zagrać nie fair i od razu wysiąść z pociągu, ale był przekonany, że wówczas Kim poszłaby sama. Nie był panikarzem, lecz zdawał sobie sprawę, że w takiej sytuacji mogłaby wpaść w poważne tarapaty. A zresztą gdyby nie złapał okazji natychmiast, Kim i tak pewnie by go dogoniła.

Rick lubił precyzję swojego szwajcarskiego zegarka, ale nie wiedział dotąd, że dwie minuty to tak dużo czasu. Co mógłby zrobić przez sto dwadzieścia sekund? Ogolić się, przeczytać pobieżnie pierwszą stronę porannej gazety, włączyć komputer i przystąpić do pracy? Odpowiadało mu jego życie, w którym nie było wielkich wzlotów ani upadków. Czemu miał teraz poczucie, że zaczyna tracić nad nim kontrolę?

Zostało trzydzieści sekund. Kim właściwie nie miała już szans. Ku swemu zdziwieniu Rick stwierdził, że w głębi ducha jej kibicuje. Zaraz jednak rozsądek znowu wziął górę i Rick uznał,

że jeśli zabierze ją ze sobą, czekają go same kłopoty.

– Trzy sekundy przed czasem! – Kim wpadła do przedziału z wypiekami na twarzy i triumfalną miną zwycięzcy.

– A co z twoim bagażem? Jest dość okazały.

– Dlatego, że wracam do Phoenix na stałe. Przed wyjazdem z Detroit wysłałam większość mojego dobytku pocztą, ale wiesz, ile to kosztuje. Tak czy inaczej biorę zawsze ze sobą w podróż tylko tyle bagażu, ile jestem w stanie unieść.

– Jasne. – Rick uznał, że ten nieco uszczypliwy komentarz jest w pełni uprawniony, zważywszy na to, że osobiście pomagał Kim zebrać rozsypaną bieliznę. – Popelniasz wielki błąd – dodał po chwili, wątpiąc w skuteczność tego ostrzeżenia.

– Umowa to umowa. Wygrałam, więc idziemy razem. Rick spojrział wymownie na długą, czarną spódnice swojej towarzyszki podróży.

– Wzgórze jest strome.

– Mówiłeś przecież, że nie jest tak źle.

– Ale to było wcześniej, zanim wyszedłem z pociągu i przekonałem się, jak jest naprawdę.

– Chodźmy.

Pierwszym problemem był bagaż. Rick nie miał wątpliwości, że Kim nie poradzi sobie z walizą podczas schodzenia ze wzgórza, więc gdy zaproponował, że jej pomoże, nie wynikało to bynajmniej z jego szlachetności.

– Wezmę ją.

– Nie trzeba, spuszczę ją na dół ze wzgórza.

– Żeby się rozerwała na jakimś głazie? Dziękuję bardzo. Już się naoglądałem twoich ciuszków. A tego musimy się pozbyć. – Rick ściągnął ze stojaka na bagaże stary neseser Kim. – Możesz podzielić zawartość neseseru między dużą walizkę i plecak.

– Nie mogę. Nie ma tam już miejsca. A poza tym nie chcę go stracić.

Na wszelki wypadek odsunęła od Ricka swój bezcenny neseser.

– De jest wart? Pięćdziesiąt centów? Kupię ci nowy.

– Ale naprawdę nie ma miejsca...

Rick otworzył neseser i plecaczek, bojąc się, że Kim może mieć rację. Udało mu się wcisnąć do plecaka czarną koszulkę i kilka par majtek, ale na nic więcej nie starczyło miejsca. Kim z kolei spróbowała jeszcze coś włożyć do dużej walizki, lecz ta była już wypełniona po brzegi.

– Wypchaj sobie kieszenie – zaproponował Rick.

– Nie, i tak już wyglądam pękato, a wręcz grubo z pizamą pod ubraniem.

– Wciąż masz ją na sobie? To chyba niezgodne z regułami gry.

– Nic podobnego. Wygrałam uczciwie.

Rick wiedział, co powinien zrobić. Przed wyjazdem zapakował torbę na krótką podróż, więc nie brakowało miejsca w jej licznych schowkach i kieszonkach.

– Resztę włożę do mojej torby. Później to jakoś przepakujemy.

Rick starał się nie patrzeć na intymne części garderoby Kim, gdy wkładał je do swojej torby, ale już od samego dotyku zrobiło mu się gorąco. Uwinął się z tym najszybciej, jak potrafił, a potem pozwolił Kim sprawdzić, czy w neseserze coś nie zostało.

Torba podróżna wydawała się teraz Rickowi cięższa, chociaż bielizna Kim praktycznie nic nie ważyła. Pewnie dlatego miał takie wrażenie, że ciążyła mu odpowiedzialność za podatną na kłopoty towarzyszkę podróży.

Śnieg był już udeptany, dzięki czemu lepiej było widać nachylenie wzgórza, ale wcale nie znaczyło to, że łatwiej będzie z niego zejść.

– Daj mi rękę – powiedział Rick.

– Nie, poradzę sobie.

Kim ruszyła pierwsza, lecz już po chwili poślizgnęła się i zjechała kilka metrów w dół, zanim zahamowała, turlając się po śniegu.

– Jesteś cała?

Rick zszedł szybko, mając nadzieję, że nic się jej nie stało.

– Moje spodnie od piżamy są całe w śniegu.

– Może powinnaś wrócić do pociągu i je zdjąć?

– Poczekasz?

– Kiepski pomysł. To ty powinnaś poczekać i pojechać pociągiem.

– Nie mogę. Masz moją bieliznę.

– Odeślę ci ją.

– Zaraz wrócę. Muszę tylko zdjąć spodnie od piżamy.

– Zrobisz to, gdy dotrzemy do parkingu dla ciężarówek. Chodźmy już.

Rick pociągnął Kim za rękę, stawiając ją na nogach.

– Żartujesz? Spodnie są lodowato zimne. Odwróć się. Zdejmę je tutaj.

Rick powiódł wzrokiem po oknach pociągu. W większości przedziałów światło było zgaszone, ale nie we wszystkich. Ilu lubieżnych starców i młodzieńców patrzyło, jak Kim się rozbiera?

– Dobra, już zdjęłam. – Kim pomachała Rickowi przed nosem jedwabnymi spodniami niczym flagą bitewną, obsypując go przy okazji śnieżnym pyłem.

– Przepraszam.

Kim pomogła Rickowi otrzepać się ze śniegu.

– Nic nie szkodzi. Ciężarówki prawdopodobnie wyruszą w drogę o świcie.

Nie wiedział, czy to prawda, ale chciał, żeby wreszcie zaczęli iść. Wcisnął mokre spodnie od piżamy do kieszeni swojej kurtki i poczuł się jak obnośny sprzedawca seksownej damskiej bielizny.

Parking jest dalej, niż się zdawało, pomyślał, gdy uszli już kawałek drogi. Na niebie pojawiły się pierwsze smugi szarego porannego światła. Rick przełożył wielką walizę do drugiej dłoni, żeby odciążyć na chwilę obolałą rękę.

– Mogę ją ciągnąć – powiedziała Kim.

– Lepiej uważaj na lód, żebyś się znów nie przewróciła. Rick szedł dwa kroki przed Kim, ale i tak wciąż o niej myślał. Myślał o tyra, jak zimne muszą być teraz jej nogi.

Chętnie by je pomasował, żeby rozgrzać te kształtne łydki i uda. Chętnie rozgrzałby całe zziębnięte ciało Kim, przytulając ją mocno do siebie.

Próbował sobie wmówić, że takie myśli chodzą mu po głowie tylko dlatego, że dawno już nie spał z żadną kobietą. Był ostatnio bardzo zajęty, a może po prostu zbyt mało mu na tym zależało, by chciało mu się robić te wszystkie podchody, które nieuchronnie prowadzą do spędzenia wspólnej nocy w łóżku. Miał więc zaległości. Każda wysoka, zgrabna, piękna kobieta podziałałaby na niego w ten sposób.

Kim – musiał się zastanowić przez chwilę, zanim przypomniał sobie jej nazwisko – Kim Grant była naiwna, nieco ekscentryczna i miała tendencję do wpadania w tarapaty. Pewnie tylko mu się roilo, że jest wyjątkowa. Ponadto uważała, że każdy facet, który nie jest entuzjastą małżeństwa, zasługuje na potępienie.

Gdyby nie miała głowy wypełnionej myślami o szczęśliwym pożyciu małżeńskim, Rick chętnie by się z nią przespał. Mógł zagwarantować, że miło spędziłaby czas.

– Jestem wykończona. – Kim zrównała się z Rickiem, wypuszczając z ust kłęby pary.

– Już niedaleko i chyba w końcu nam się poszczęściło.

– Jak to?

– Spójrz. Wygląda na to, że nie jest to tylko parking i punkt serwisowy, ale też miejsce, w którym towary są przeładowywane z pociągów do ciężarówek. Zwróć uwagę na te platformy.

– Czy to dobrze?

– Mamy większe szanse na to, że ktoś nas podwiezie.

Droga biegnąca pod wiaduktem to jakaś mniejsza autostrada. Główna jest tam.

Rick wskazał poruszające się w oddali światła.

– Świetnie. Mogłabym spać cały tydzień.

Rick zwolnił i wziął od Kim plecaczek, by dała radę dotrzymać mu kroku. Starła się, jak mogła, ale i tak co chwila zostawała z tyłu.

Gdy wreszcie zbliżyli się do parkingu, Rick spojrzął z zadowoleniem na dobrze oświetlone magazyny, stanowiska przeładunkowe i dystrybutory paliwa. Poza tym była tam duża restauracja, a nawet mały dworzec autobusowy.

Rick miał zdrętwiałe ręce i nogi, ale martwił się przede wszystkim o Kim. Mroźny wiatr zaczerwienił jej policzki, a długa, luźna spódnica z cienkiego materiału stanowiła bardzo wątpliwą ochronę przed zimnem.

Kim nie chciała zostać w pociągu, ale Rick mimo wszystko czuł się winny, że ją ze sobą zabrał. Teraz byli skazani na długą wspólną tułaczkę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kim próbowała iść prosto, ale już nie czuła nóg. Pierwszy raz w życiu miała na głowie kaptur od kurtki, ale lodowaty wiatr wciąż bezlitośnie owiewa! jej twarz.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – powiedział Rick.

– To dobrze – z trudem wycodziła Kim.

Powinna była zostać w pociągu. Jego ciepłe światła zdawały się wzywać ją z widocznego w oddali wzgórza.

Kim wiedziała, że jej siostrzeniec niedługo wstanie z łóżka. Uważał spanie za stratę czasu. Ten urwis nie uciał sobie popołudniowej drzemki, odkąd skończył dwa lata. Jeśli ktoś z rodziny za długo spał, mały wskakiwał z krzykiem na łóżko lub wymachiwał śpiącemu przed nosem pluszowym lwem, tak że winowajca zaraz się budził.

– Już tutaj czuję zapach kawy – powiedział Rick.

Kim pomyślała, że jedna filiżanka na pewno nie wystarczyłaby, żeby ją rozgrzać. Kim musiałaby się zanurzyć w napełnionej gorącą kawą wannie.

Podeszli do parkingu od tyłu, przez ośnieżone pole. Niewielki blaszany budynek, oddalony nieco od głównego obiektu, służył za dworzec autobusowy. Ruszyli najpierw w jego kierunku.

– Może uda nam się wynająć schowek bagażowy. Dobrze by było pozbyć się tych wszystkich tobołów, zanim pójdziemy do restauracji.

– Słusznie – pochwaliła go ledwo dosłyszalnym szeptem Kim.

Weszli do małego, obskurnego pomieszczenia z kilkoma plastikowymi krzesłami, rzędem szafek bagażowych i pustą kasą biletową. Na ścianie wisiała wielka tablica z rozkładem jazdy autobusów.

Rick sięgnął do kieszeni po drobne, żeby wynająć schowek na bagaże, a tymczasem Kim studiowała rozkład jazdy. W pierwszej chwili ucieszyła się, widząc, że jest stamtąd bezpośrednie połączenie do Denver. Zaraz potem jednak przyszła gorzka refleksja. Każdy, kto był szczęśliwym posiadaczem biletu i miał ochotę czekać – policzyła na palcach – pięć i pół godziny, mógł pojechać do Denver, gdzie pogoda była zapewne tak okropna, że żadne samoloty nie startowały z nowego, olbrzymiego lotniska. Kim poczuła się jak postać z gry komputerowej, uwięziona w komnacie, z której nie ma wyjścia, bo wszystkie drzwi są tymi niewłaściwymi.

Mogła ewentualnie zadzwonić do Jane, ale czy udzieliłaby siostrze jakiejś sensownej informacji, skoro znajdowała się Bóg wie gdzie, mając nadzieję, że podwiezie ją Bóg wie kto? Jane jeszcze bardziej by się o nią martwiła, a to mogłoby tylko wpłynąć niekorzystnie na jej ciężę.

Rick musiał skorzystać z dwóch schowków, by upchać jakoś bagaże Kim.

– Chodźmy. Zjemy śniadanie i zobaczymy, czy znajdzie się ktoś, kto zechce nas podwieźć.

Poszli do restauracji. Kim ledwo powłóczyła nogami. Co się z nią działo? Była kompletnie wyczerpana. Dwa lata spędzone na środkowym zachodzie powinny ją uodpornić na zimę, ale klimat w Detroit wydawał się jednak wyjątkowo łagodny w porównaniu z tym, co zastała tutaj.

– Dzięki – powiedziała Kim, gdy Rick otworzył jej drzwi.

Wkroczyli w świat rannych ptaszków. Kim zrobiło się słabo od gryzącego zapachu smażonego bekonu i gwaru męskich głosów.

– Odpowiada ci ten stolik? – zapytał Rick.

– Jasne.

Kim osunęła się na czerwone plastikowe krzesło.

– Na co masz ochotę? – zapytał Rick, podając jej jedno z dwóch menu wciśniętych za pudełko, w którym znajdowały się torebki z solą, pieprzem i cukrem.

– Na herbatę. – Kim zdjęła skórzane rękawiczki i zaczęła masować sobie palce. – Gorącą herbatę.

– Drugi zestaw wygląda zachęcająco. Sok, dwa jajka, bekon lub kielbasa, kuleczki ziemniaczane, tost i naleśniki.

Kim zrobiło się niedobrze, gdy słuchała, jak Rick czytał opis śniadaniowej specjalności zakładu.

– Dasz radę to wszystko pochłonąć?

– W zwykłych okolicznościach pewnie bym nie dał, ale kto wie, kiedy będziemy mieli następną okazję, żeby coś zjeść?

– Jedziemy do Denver, a nie na Antarktydę.

– Jesteś męcząca. Nie musiałaś ze mną...

– Tylko nie mów, że powinnam była zostać w pociągu.

Kim ledwo patrzyła na oczy. Marzyła tylko o tym, by położyć głowę na stoliku i zasnąć.

– Wszystko w porządku?

Rick nachylił się ku Kim i spojrzał na nią uważnie.

– Tak Dzięki, że zapytałeś.

W tym momencie do ich stolika podeszła szybkim krokiem kelnerka, wesoła, ale zabiegana.

– Już się państwo zdecydowali?

– Dla mnie drugi zestaw z bekonem, sokiem pomarańczowym i kawą – powiedział Rick.

– A ja poproszę herbatę. Gorącą herbatę – rzekła Kim.

– Proszę jej też przynieść jajecznicę z tostem – dodał Rick.

– Nie, tylko herbatę – wymamrotała Kim do oddalającej się już kelnerki. Potem zwróciła się do Ricka: – Nie musiałaś zamawiać za mnie.

– Ktoś musiał. Na pewno czujesz się na siłach, by pojechać autostopem do Denver?

Kim chciała go zapewnić, że owszem, ale trudno jest mówić, gdy człowiekowi dzwonią zęby. Nagle zapragnęła być w domu, choć go właściwie nie miała. Nie mogła przecież zostać u Jane na zawsze. Problemy związane z przeprowadzką przybrały w głowie Kim postać betonowej

ściany, pozbawionej jakichkolwiek otworów: rozmowy kwalifikacyjne w sprawie pracy, szukanie mieszkania, zmiana prawa jazdy...

– Kim. Kim!

– Przepraszam. Nie słuchałam.

– Nie jesteś sobą.

– Więc kim jestem? – zapytała z filozoficzną zadumą.

Rick wyciągnął rękę ponad stołem i delikatnie dotknął czoła Kim.

– Nie dziwiłbym się, gdyby się okazało, że masz gorączkę.

– Nigdy nie mam gorączki. Nic mi nie jest – Kim próbowała to powiedzieć wesoło i energicznie, ale ledwie wydobyła z siebie głos.

– Pójdę zapytać, czy ktoś nie mógłby nas podwieźć. Zaraz wracam.

Odchyliwszy się do tyłu na krześle, Kim powiodła wzrokiem za oddalającym się Rickiem. Może nie była w tej chwili sobą, ale patrzenie na niego sprawiło jej przyjemność. Uważała, że jest nienagannie zbudowany. Zrobiło jej się nawet przykro na myśl, że nigdy nie dostanie od niego walentynki. Jej ulubione święto zbliżało się wielkimi krokami: koronkowe serca, pudełka z czekoladkami przewiązane czerwoną wstążką, czerwone róże od kogoś wyjątkowego. Jednak człowiekowi w rodzaju Ricka ten najbardziej romantyczny dzień w roku był pewnie zupełnie obojętny.

Śniadanie podano, zanim Rick zdążył wrócić. Kim zaczęła sączyć gorącą herbatę, parząc sobie język, ale najpierw zawinęła w chusteczkę tost i schowała go do torebki na później. Pozbyła się także jajecznicy, przekładając ją na i tak już wypełniony po brzegi talerz Ricka.

– Już zjadłaś? – zapytał ze zdziwieniem Rick. – Musiałaś umierać z głodu. Znalazłem chętnego do podwiezienia nas, ale musimy się pospieszyć. Skorzystaj z toalety, a ja w tym czasie zjem.

Nawet starsza siostra nie mówiła jej, kiedy ma iść do ubikacji, ale Kim wołała to, niż siedzieć i patrzeć, jak Rick pochłania górę tłustego jedzenia.

Kiedy wróciła, czekał już przy drzwiach.

– Nie zapłaciłam za śniadanie. – Ciepła woda, którą Kim opłukała sobie twarz, sprawiła, że pałały jej policzki, a może rzeczywiście miała gorączkę.

– Załatwiłem to.

– Jesteś ci już winna fortunę.

– Wziąłem w zastaw twoją bieliznę.

Kim kręciło się w głowie od patrzenia na czarnobiałą szachownicę z terakoty. Starła się iść tak, by nie stawać na białych płytkach.

– To dwuczęściowa ciężarówka z biało-czerwonym logo z boku. Zaprowadzę cię tam, a potem wrócę po bagaże.

– Co przewozi?

Kim nie miała pojęcia, dlaczego ją to interesuje.

– Nie pytałem, ale na pewno nic czworonożnego. Silnik ciężarówki pracował na jałowym biegu. Smród spalin wypełniał powietrze i Kim poczuła, że zbiera jej się na wymioty. Kogo próbowała oszukać? Była chora. Dzwoniły jej zęby i nie miała siły wspiąć się do szoferki.

– Dasz radę wsiąść?

Rick wziął Kim pod rękę, chcąc jej pomóc.

– To nie ma sensu – mruknęła pod nosem.

– Wejdz i ogrzej się. Muszę iść po bagaże.

– Nie mogę – wyszeptwała.

– Czego nie możesz? – Rick wydawał się szczerze zaniepokojony.

– Zmieniłam zdanie.

– Myślę, że nie powinnaś teraz wracać do pociągu. Nie wyglądasz najlepiej.

Kim widziała siebie w lustrze, gdy była w toalecie, i musiała przyznać Rickowi rację.

– Poczekam na autobus do Denver – powiedziała tak stanowczo, jak tylko potrafiła.

– To pięć godzin czekania. – Najwyraźniej Rick także zapoznał się z rozkładem jazdy.

– Zdrzemnę się.

– Na jednym z tamtych krzeseł?

– Te stare krzesła są wygodniejsze, niż ci się wydaje.

– Nie chcę cię zostawiać... w takim stanie.

– Potrafię o siebie zadbać. Mam już dwadzieścia sześć lat, wiesz?

– Naprawdę? Aż tyle?

Rick wziął Kim za rękę i zaczął prowadzić w stronę dworca autobusowego.

– A myślałaś, że ile? – Czy powinna się poczuć urażona? Tak bardzo szumiało jej w głowie, że nie przejęłaby się nawet, gdyby wziął ją za trzydziestolatkę.

– Dwadzieścia jeden, może dwa.

– Nieprawda!

– Powiedziałaś mi wcześniej, ile masz lat. Żartowałem. Wcale nie żartowałem, pomyślała Kim. Spędzili ze sobą noc, a nie wymienili się nawet podstawowymi informacjami na swój temat. Czy Rick był rannym ptaszkiem, czy nocnym markiem? Czy jadł sałatkę najpierw, a dopiero potem główne danie, czy może jednocześnie? Czy lubił wysokie brunetki?

– He masz lat? – zapytała.

– W marcu skończę trzydzieści dwa.

– A więc już z górki.

Kim nie chciała tego powiedzieć, ale uznała za dość niezwykle, że przystojny mężczyzna w tym wieku nie ma żony, eksżony czy chociażby stałej partnerki życiowej.

Ledwo szła, wieszając mu się na rękę i zastanawiając się, czy jednak nie powinna z nim pojechać. Z drugiej strony aż bała się myśleć, co by było, gdyby zaczęła wymiotować w ciężarówce.

– Czuję się fatalnie, zostawiając cię tutaj – powiedział Rick.

– To publiczne miejsce. – Z każdym krokiem odczuwała coraz większy ból w kościach i całym ciele. No tak, pomyślała z goryczą, Jane będzie miała ze mnie wielki pożytek, gdy przywiozę jej do domu grypę.

– Sądzę, że i ja mógłbym poczekać na autobus – rzekł nagle obojętnym tonem Rick.

– Nie, ty musisz udaremnić ślub. Jeśli nie zjawisz się tam na czas, mogą potem żyć razem długo i szczęśliwie.

– Nie rozumiesz sytuacji.

– A co tu jest do rozumienia? Chłopak kocha dziewczynę, zamierza się z nią ożenić. Ale oto nagle pojawia się wielki, zły wilk, to znaczy brat...

Rick otworzył drzwi małego budynku dworcowego i praktycznie wepchnął Kim do środka.

– Proszę – powiedział, podając jej swoją wizytówkę. Kim spojrzała na nią, ale nie miała pojęcia, o co mu chodzi. – Zadzwoń do mnie, gdy dojedziesz do Phoenix. Muszę wiedzieć, gdzie mam wysłać twoje rzeczy.

– No tak, jasne. A ja muszę się z tobą rozliczyć za wynajęcie auta, bilet kolejowy i posiłki. Jestem ci pewnie winna niemałą sumkę.

– To akurat najmniejsze z moich zmartwień. – Rick podszedł do szafek bagażowych i wyciągnął z jednej z nich swoją torbę podróżną. – Proszę, to twój plecak i klucz do drugiego schowka.

Kim miała ochotę się rozplakać jak mała, zagubiona dziewczynka. Nie chciała się z nim rozstawać, a tym bardziej pozwolić, by pokrzyżował plany swojemu bratu.

– Kierowca ciężarówki nie będzie czekał – rzekł Rick. – Uważaj na siebie.

Jeśli ja tego nie zrobię, to kto? – pomyślała z żalem.

– Dzięki za wszystko ~ powiedziała oschle.

– Miło było cię poznać. Odszedł.

Dlaczego nie poprosił o numer telefonu jej siostry ani nie umówił się na spotkanie w Phoenix?

Kim usiadła ciężko na jednym z wyblakłych, zielonych krzeseł, zbyt wyczerpana, by dbać o komfort czy szukać odpowiedzi na swoje pytania. Jane potrzebowała jej, a ona nie mogła do niej dojechać. Kim zamknęła oczy, próbując się wreszcie pogrążyć w kojącym śnie, ale wciąż widziała pod powiekami twarz Ricka. Czy tak właśnie się czuje kobieta, pomyślała, której zawrócił w głowie mężczyzna?

Pół godziny później Rick wciąż martwił się o Kim. Kierowca ciężarówki był gadułą i cieszył się, że ma z kim pogawędzić, ale Rickowi trudno się było zaangażować w tę rozmowę. Lubił problemy, które dało się rozwiązać w logiczny sposób, a nie takie pogmatwane sytuacje, wynikające z miłosnych zauroczeń jego brata. Gdy ostatnim razem rozmawiał z Brianem, ten nie chciał nawet słyszeć o jakiegokolwiek umowie przedmałżeńskiej. Twierdził, że taka umowa świadczyłaby o jego braku zaufania do kobiety, którą kocha, i byłaby w stosunku do mej obraźliwa.

Cóż złego w podjęciu zwykłych środków ostrożności? Nie potrafił przemówić Brianowi do rozsądku, a teraz miał jeszcze na głowie Kim. Wyglądała na wykończoną, pozbawioną witalności, która tak mu się w niej podobała. Może była chora, a może tylko wyczerpana. On też był zmęczony, ale ponieważ kierowca nie chciał przyjąć zapłaty za podwiezienie, Rick czuł się w obowiązku rzucić od czasu do czasu jakiś komentarz, by podtrzymać rozmowę. Myślami był jednak gdzie indziej – w lichej, dworcowej poczekalni.

Kiedy Kim wsiądzie do autobusu, myślał Rick, spędzi w nim wiele godzin. A jeśli jest poważnie chora? To prawda, że nie brakowało chętnych, by jej pomóc – sam był tego najlepszym dowodem – ale co będzie, jeśli jej stan się pogorszy na ryle, że Kim w ogóle straci kontakt z rzeczywistością? W restauracji nie bardzo wiedziała, co się wokół niej działo, i całkiem możliwe, że nawet nic nie zjadła. Jego porcja jajecznicy była zaskakująco duża.

Rick spojrział na zegarek po czterdziestu pięciu minutach jazdy ciężarówką. Trudno mu było uwierzyć, że wciąż jest sobota. Cała ta podróż zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Gdyby Brian nie przełożył ślubu, Rickowi zostałyby już tylko kilka godzin na dotarcie do Phoenix.

Ratki śniegu bombardowały przednią szybę i kierowca ucichł. Pogorszyły się warunki drogowe, więc był teraz całkowicie skoncentrowany na prowadzeniu ciężarówki. Rickowi zaczęło brakować jego przyjaznego głosu. Wkrótce uświadomił sobie, że tęskni też za innym przyjaznym głosem.

Kiedy do budynku dworcowego weszła kasjerka i kilku podróżnych, Kim ledwie zarejestrowała ten fakt. Wskazówki wielkiego zegara na ścianie pokazywały, że do odjazdu autobusu do Denver zostało pół godziny. Kim musiała kupić bilet i wyjąć ze schowka bagażowego swoją ogromną walizę, ale nie miała siły wstać z krzesła. Wciąż bolały ją głowa i gardło. Zaczęła się zastanawiać, co zrobić. Pomyślała, że jeśli zostanie tam wystarczająco długo, to może zamieni się w posąg i ktoś ją w końcu stamtąd wywiezie. Rozważała też inną opcję – zdrzemnie się jeszcze dziesięć minut i może to ją postawi na nogi. Zamknęła oczy, licząc na to, że obudzą ją w porę głosy rozmawiających podróżnych, którzy także czekali na autobus.

Obudziła się gwałtownie, nie wiedząc, czy minęły minuty czy godziny.

– Kim, czas wstać. Znała skądś ten ciepły głos.

– Autobus odjeżdża za dziesięć minut. Chcesz nim jechać?

Kim spojrzała ostrożnie spod długich rzęs.

– Kim, słyszysz mnie? Obudź się!

Niechętnie skupiła uwagę, ale było warto. Gdy uświadomiła sobie, kto przed nią stoi, poczuła wielką radość.

– Rick, co ty tu robisz?

– Sam chciałem wiedzieć – odparł i zaśmiał się.

– Skąd się tu wziąłeś? – Wciąż nie była do końca pewna, czy to nie sen.

– Dojechałem ciężarówką z sianem do Fort Powell i pożyczyłem tam w warsztacie od jakiegoś młodego chłopaka rozpadającego się pikapa. Latanie concordem jest tańsze od

podróżowania z tobą.

– Myślałam, że wyruszyłeś już w dalszą drogę. – Skrzywienie kredy o tablicę jest miłsze dla ucha, niż był teraz głos Kim.

– Tak było. To co z tym autobusem? Nadal chcesz nim jechać? Zapłaciłem chłopakowi dość, by zgodził się odebrać swój wóz tutaj, ale w Fort Powell jest motel. Możemy tam pojechać, jeśli chcesz jeszcze odpocząć.

– Musisz przecież jak najprędzej dotrzeć do Phoenix.

Kim wiedziała, że ona z kolei musi zadzwonić do swojej siostry. Nie mogła przyjechać do niej w takim stanie. Choć to wielkie rozczarowanie, byłoby jeszcze gorzej, gdyby Peter i Jane zarazili się od niej.

– Może kilkugodzinny sen w łóżku... – zaproponował Rick z nadzieją w głosie. – Wdziałem w Fort Powell supermarket. Kupię ci aspirynę.

– Autobus zaraz odjeżdża! – zawołała jakaś siwa kobieta o miłej powierzchowności.

Kim była teraz wystarczająco czujna, by zdać sobie sprawę, że to kasjerka i że za chwilę może im uciec autobus do Denver.

– Nie pojedziemy teraz – powiedział Rick, podchodząc do kasy biletowej. – Mogę prosić o rozkład jazdy autobusów do Denver?

„Nie pojedziemy... „ Kim wstała i zakręciło jej się w głowie.

Rick wrócił i wsunął do kieszeni kartkę z rozkładem jazdy.

– Jeszcze przyjedzie niejeden autobus – stwierdził rzeczowo.

– Ale ślub twojego brata...

– Porozmawiamy o tym później.

Kim spała w pikapie, z głową na ramieniu Ricka, a gdy się obudziła, ujrzała zgaszony neon z napisem „EZ Motel”.

– Zaczekaj tu na mnie – powiedział Rick, wysiadając z wozu.

Czy naprawdę sądził, że Kim wyskoczy z pikapa i pobiegnie do kręgielni znajdującej się po drugiej stronie ulicy?

Przestań! – skarciła się w myślach. Powinna o nim dobrze myśleć, bo przecież wrócił, żeby ją uratować. Zapomniała tylko przed czym.

Rick wrócił z kluczem przywiązany do drewnianka w kształcie litery Z. Minęła dłuższa chwila, zanim Kim uświadomiła sobie związek tego przedmiotu z motelem, a jeszcze dłuższa, zanim zdała sobie sprawę, że jest tylko jeden klucz.

– Gdzie będziesz? – zapytała, widząc już siebie wyciągniętą wygodnie na łóżku.

– Pójdę do supermarketu, wykonam kilka telefonów. Nie martw się o mnie. Musisz wypocząć.

– Dziękuję.

Kim po raz pierwszy zaczęła myśleć ciepło o Ricku.

Czy to możliwe? Nie, na pewno nie. Tylko wydawał jej się taki porządny, bo miała gorączkę,

mętlik w głowie i nie wiedziała, co się dzieje. Co za pech! Był seksowny i przystojny, a nawet potrafił być miły...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kim usiadła na brzegu łóżka, żeby zdjąć buty, ale wydawały się zbyt daleko. Nachyliła się i szukała po omacku lewego, ale wówczas pokój zaczął wirować.

– Pomogę ci – zaproponował Rick i padł na kolana, żeby uchronić Kim przed runięciem głową do przodu na podłogę.

– Ojej, kręci mi się w głowie.

Rick znowu delikatnie dotknął czoła Kim.

– Jesteś rozpalona. Może powinienem cię zawieźć do szpitala?

– Nie, muszę się po prostu porządnie wyspać.

Kim nie miała nic przeciwko szpitalom. Swojego najlepszego jak dotąd chłopaka poznała na ostrym dyżurze, na który trafiła po upadku ze skały w czasie wspinaczki. Oczywiście, po cudownych sześciu miesiącach wybranek jej serca postanowił podjąć pracę w organizacji charytatywnej działającej w Gwatemali. Kim chciała pojechać tam z nim jako wolontariuszka, ale jej umiejętności komputerowe nie były do niczego potrzebne w miejscu całkowicie pozbawionym elektryczności.

– Nie zaszkodziłoby, gdyby ktoś cię obejrzał na ostrym dyżurze – nalegał Rick.

Łatwo mu mówić. Miał pewnie ubezpieczenie zdrowotne. Kim straciła je, gdy odeszła z pracy, a i tak była już winna Rickowi równowartość całych swoich oszczędności. Siostra pomogłaby jej, gdyby Kim ją o to poprosiła, ale celem tej podróży było odwrócenie ról – Kim chciała wreszcie pomóc Jane.

– To zbyt kłopotliwe, jechać tam i czekać w kolejce – odpowiedziała w końcu.

– W takim razie zdejmę ci buty.

Rick ujął w jedną dłoń podeszwę buta, a drugą pomasaował wierzch stopy. Kim miała na ogół w takich sytuacjach łaskotki, ale gdy Rick przystąpił po chwili do rozmasowywania jej palców, poczuła się wspaniale i nie potrafiła tego ukryć.

– To cudowne – westchnęła. – Moja szyja jest zazdrosna.

– Czyżby spanie na krześle w poczekalni dworcowej wywołało jakieś skurcze? – zapytał, masując drugą stopę.

– Powinnam była zostać w pociągu.

– Przesuń się na koniec łóżka – powiedział Rick, wstając i zdobywając kilka dodatkowych punktów za powstrzymanie się od komentarza: „A nie mówiłem?”.

– Miałam szansę zrobić coś dla mojej siostry. Bez Jane moje dzieciństwo byłoby dość ponure. Zastępowała mi matkę, a teraz jest moją najlepszą przyjaciółką.

– Zdaje się, że jest wyjątkową osobą, ale to mnie nie dziwi.

Kim spodziewała się, że zaraz powie to samo o niej, ale nie zrobił tego, tylko zaczął

masować jej kark.

– Jesteś w tym dobry – mruknęła z zadowoleniem.

– Dzięki. Chodzę do masażysty, więc nauczyłem się tego i owego. Nie boli?

– Nie, czuję się znacznie lepiej. – Kim przechylała głowę to w jedną, to w drugą stronę. – Jak ja ci się odwdzięczę?

– Może się rozbierzesz...

– Nie jestem ci aż tak wdzięczna!

– Nie miałem na myśli... Chodziło mi o to, żebyś przebrała się w coś wygodniejszego i położyła się spać. Pójdę po aspirynę.

– Jestem tak zmęczona, że wszystko mi jedno, w czym będę spała.

Kim odchyliła narzutę i podczołgała się do pękatej, białej poduszki.

– Zdejmij przynajmniej spódnice. Będzie ci o wiele wygodniej.

Jej myśli były jednak zajęte czym innym. Przed zaśnięciem musiała się koniecznie czegoś dowiedzieć. Leżąc już, spojrzała na Ricka i zapytała:

– Dlaczego jesteś taki przykry dla swojego brata?

– Wcale nie jestem. – Wziął głęboki oddech, ale nie wydawał się rozdrażniony tym pytaniem. – Brian miał jedno bardzo złe doświadczenie małżeńskie, a lista jego przygód miłosnych jest nieskończenie długa. Chcę, żeby trochę zwolnił, nie pakował się w kolejny katastrofalny związek. Zna tę kobietę zaledwie od sześciu tygodni. Chyba nie zaszkodziłoby, gdyby poznał ją trochę lepiej przed podjęciem tak ważnej decyzji?

– Nie wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? – Kim przewróciła się na bok i podniosła wzrok na Ricka.

– Nie. To czysta chemia, hormony albo, mówiąc wprost, seks. Gdy zjeżdżałaś wtedy ruchomymi schodami, chciałem zapomnieć o bagażu, przerzucić cię przez ramię i udać się z tobą w jakieś ustronne miejsce.

– Jak jaskiniowiec... – Kim przeszedł dreszcz, ale nie miał on nic wspólnego z jej gorączką.

– Ale poza tym, że mógłbym zostać za to aresztowany, byłby to szczyt głupoty.

Kim poczuła rozczarowanie. To wszystko było w sferze imaginacji, czemu więc nie powiedział jej, co jeszcze zamierzał zrobić?

– Nie rozumiem dlaczego, zakładając, że ona... ja... miałabym na to ochotę.

– A miałas?

– Nie znałam cię.

– No właśnie!

Rick zdawał się triumfować.

– Ale gdybyś wiedziała, że jestem kawalerem żyjącym na odpowiedniej stopie – ciągnął Rick – i gdybym pomachał ci przed nosem diamentem wielkości jajka, to nic kusiłoby cię to, mimo że mnie nie znałaś?

– Oczywiście, że nie. – Teraz naprawdę ją rozzłościł, ale wolała się ugryźć w język, niż

powiedzieć Rickowi, że miłość znaczy dla niej zbyt wiele, by mogła wyjść za mąż z jakiegokolwiek innego powodu. Gorączka mieszała jej trochę w głowie, ale nie na tyle, by Kim obnażyła serce przed takim sceptykiem.

– W takim razie jesteś zupełnie inna niż kobiety, z którymi zadaje się mój brat.

– Ale to życie twojego brata.

– Wiem.

Rick przeczesywał dłonią włosy, odgarniając je z czoła.

Kim po raz pierwszy widziała go tak zdenerwowanego. Wyczuła, że to nie najlepszy moment na udzielanie mu cennych rad.

– Chcę tylko dać mu czas na zastanowienie – powiedział. – Czy to nierozsądne?

Kim wiedziała, że to pytanie retoryczne. Położyła się na plecach, zamknęła oczy i ujrzała tańczące plamki pod powiekami.

Gdy Kim zasnęła, Rick patrzył na nią dłużej, niż zamierzał. Nie potrafił tego zrozumieć, ale działo się z nim coś dziwnego. Czuł się niezwykle odpowiedzialny za Kim, chociaż wspólna podróż nie była wcale jego pomysłem. Miał przez nią same kłopoty, a szanse na to, że powstrzyma brata, malały z każdą chwilą.

Podszedł do łóżka z zamiarem okrycia Kim i zwrócił uwagę na spódnicę owiniętą wokół jej ud. Uznał, że musi jej ona bardzo przeszkadzać, i postanowił coś z tym zrobić. Ujął delikatnie palcami gumkę, a potem zsunął ostrożnie spódnicę. Widok pięknych nóg i pośladków, okrytych nieznacznie głęboko wciętymi majtkami, zupełnie go oszołomił.

Rick zaczął się zastanawiać, czy jego chęć zostania z Kim miała cokolwiek wspólnego z altruizmem. Czyżby był równie mało odporny jak jego brat, dając się omamić dopiero co poznanej kobiecie?

Zły na siebie, brata i niechcianą towarzyszkę podróży, opuścił pospiesznie pokój. Zapomniał nawet zapiąć kurtkę i włożyć rękawiczki. Koniecznie musiał ochłonać.

Po trzech godzinach Rickowi skończyły się pomysły na to, co jeszcze mógłby robić w tym małym miasteczku. Zrobił zakupy w jedynym supermarkecie i zjadł lunch w barze przy kręgielni. Potworny hałas, jaki towarzyszył grze w kręgle, oraz krzyki podekscytowanych zawodników nie były w stanie uwolnić go od natarczywych myśli.

Na szczęście sam lunch przypadł mu go gustu. Hamburger był soczysty i gorący, a rosół z pewnością nie pochodził z puszki. Rick zamówił coś na wynos dla Kim i przeszedł do holu, gdzie zauważył wcześniej automat telefoniczny.

Brian podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku. Rick zdziwił się w pierwszej chwili, że brat nie poszedł do pracy, ale potem przypomniał sobie, że przecież wciąż jest weekend.

– Braciszku! – Brian zazwyczaj zwracał się tak do Ricka wtedy, gdy czegoś od niego chciał.

– Mam dla ciebie dobrą i złą wiadomość. Którą chcesz usłyszeć najpierw?

– Zacznij od złej.

– Pszczoła użądliła mamę Melindy.

– Ma alergię?

– Nie, ale pszczoła użądliła ją w nos. Jest czerwony i spuchnięty jak nochal klauna. Moja przyszła teściowa nie chce, by ktokolwiek ją widział w takim stanie, więc musieliśmy przełożyć ślub na przyszłą sobotę. Odbędzie się zaraz przed przyjęciem weselnym. Melinda jest rozczarowana, ale znosi to dzielnie.

Rick chciał zawyć z radości. Zła wiadomość Briana była dla niego wspaniała. Po dotarciu do Phoenix będzie miał dość czasu, by przemówić bratu do rozsądku.

– A dobra wiadomość?

– Rozmawiałem z Melindą na temat intercyzy. Chce, żebyśmy ją podpisali. Dzięki temu mam pewność, że wychodzi za mnie tylko dlatego, że za mną szaleje.

– Wydaje się rozsądną kobietą – powiedział Rick. – Cieszę się.

– Oczywiście, nie zrobię tego.

– Co? Powiedziałeś, że według niej to dobry pomysł.

– Tak, ale ja jestem odmiennego zdania. Czy mógłbym tak potraktować kobietę, którą kocham? Co by sobie pomyślała? Dobrze, że z nią porozmawiałem, ale podjąłem już decyzję. A więc kiedy tu będziesz?

Rick wyjaśnił swoją sytuację, ale nie powiedział nic o Kim, tylko że utknął w jakiejś dziurze, bo ciężarówka uderzyła w wiadukt. Zła wiadomość Briana była dobra dla Ricka, ale wciąż niepokoiła go krótkowzroczność brata co do umowy przedmałżeńskiej. Nadal ważne było to, by jak najszybciej dotrzeć do Phoenix i porozmawiać poważnie z Brianem, ale teraz przynajmniej miał więcej czasu.

Rick pożegnał się z bratem, odebrał w barze rosół dla Kim, zapłacił chłopakowi w warsztacie za możliwość korzystania z pikapa przez jeszcze jeden dzień, po czym wrócił do motelu z zamiarem wynajęcia drugiego pokoju.

– Przykro mi – powiedział recepcjonista. – Nie ma już wolnych pokoi. Ostatnie zostały wynajęte przez pasażerów pociągu.

– Gdzie w pobliżu można wynająć pokój?

– Może w Keamey.

Wspaniale! Rick podziękował i poszedł sprawdzić, co się dzieje z Kim. Czy tego chce, czy nie, będzie miała współlokatora. Dla mego zresztą to będzie trudniejsze niż dla niej.

Gdy Rick wszedł do pokoju, łóżko było puste, ale usłyszał, że Kim bierze w łazience prysznic. Zdjął kurtkę, postawił pojemniczek z rosółem koło kaloryfera i popatrzył na łóżko. Był tak zmęczony, że zasnąłby nawet na stojąco, lecz uznał, że skoro Kim wstała, teraz on może się położyć.

– Och, nie słyszałam, jak wchodziłeś! – Kim wyszła z łazienki w długim, różowym szlafroku.

– Przyniosłem ci zupę i aspirynę.

– Jestem ci taka wdzięczna, że po mnie wróciłeś. Sprawiałam ci tyle kłopotu.

Rick wzruszył ramionami, nie chcąc się przyznać przed sobą, że już nie spieszy mu się do rozstania z Kim.

– Jak się czujesz?

– Nie najlepiej, ale przynajmniej się zdrzemnęłam. Obudziłam się chyba dlatego, że jestem głodna. Ale, co ciekawe, nie pamiętam, bym zdejmowała spódnice.

Kim posłała Rickowi karcące spojrzenie.

– Sądziłem, że jest ci niewygodnie – Rick powiedział to lekkim tonem, ale był w tym momencie bardzo zdenerwowany.

Kim zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, lecz nic nie powiedziała.

– Przyniosłem ci rosół z kręgielni. Jest całkiem niezły. Mam też dla ciebie plastikową łyżkę i kilka krakersów.

Rick wziął zupę spod kaloryfera i ustawił ją na niskim stoliku. Kim pochwaliła zupę, posłusznie połknęła tabletki i podziękowała mu serdecznie, ale przez cały czas spoglądała na niego podejrzliwie.

– Zadzwoiłem do brata – odezwał się w końcu Rick.

– Przełożył ślub?

– Tak. Matka panny młodej została użądlnona przez pszczołę w czubek nosa.

– W czubek nosa? Może oddychać?

– Chyba tak, ale nie chce, by ktoś ją oglądał ze spuchniętym nosem. Ślub ma się odbyć w przyszłą sobotę, więc nie zamierzam jechać autostopem, tylko jutrzejszym autobusem do Denver.

– A więc możemy tu przenocować. Cieszę się. Wciąż jestem w kiepskim stanie. Wynająłeś dragi pokój?

Może i czuła się kiepsko, ale wyglądała wspaniale. Rumieńce na twarzy czyniły ją jeszcze piękniejszą.

– Wszystkie są zajęte. Muszę chyba zostać w tym.

Rick wstrzymał oddech, zastanawiając się, czy Kim zaprotestuje. Zważywszy na piorunujące wrażenie, jakie robiła teraz na nim jej uroda, powinna go natychmiast wyrzucić za drzwi.

– To raczej bez znaczenia. Wyglądam jeszcze gorzej, niż się czuję. Chyba znowu się prześpię.

Kim spała, a tymczasem Rick próbował się zdrzemnąć na drewnianym krześle. Nic jednak z tego nie wyszło, bo nie miał o co oprzeć głowy, a poza tym nie był w stanie zapomnieć o kobiecie leżącej w łóżku zaledwie parę kroków od niego. Mógł popełnić w tej sytuacji wielki błąd. Kim potraktowałaby to, co by między nimi zaszło, niezwykle poważnie, a im lepiej Rick ją znał, tym bardziej był przekonany, że nie interesuje jej przypadkowy seks. Chciała trwałego związku, a Rick nie widział siebie w roli stałego partnera.

Potrzebował zimnego prysznica.

Kiedy Kim powtórnie się obudziła, była już prawie ósma wieczorem. Rick znowu poszedł do baru i przyniósł stamtąd kanapki i dwa ogromne kubki kawy bezkofeinowej. Szybko uporał się ze

swoją porcją i zjadł jeszcze połowę tego, co przyniósł dla Kim.

Po wzięciu prysznic – gorącego, a nie zimnego, bo i tak nic nie wyleczyłoby go z zauroczenia towarzyszką podróży – Rick wsunął się pod narzutę i położył na kocu po drugiej stronie wielkiego łóżka.

– Czuję, że spadła mi gorączka – odezwała się Kim.

– To dobrze – Rick leżał odwrócony do niej plecami.

– Jest jednak pewien mały problem.

– Jaki?

– Nie chce mi się spać. Spałam prawie cały dzień.

– Pooglądaj sobie telewizję. Nie mam nic przeciwko temu.

– Nie chcę ci przeszkadzać w spaniu.

– Nic nie jest w stanie mi w rym przeszkodzić – skłamał. – Jestem padnięty. – Nic oprócz jej długich nóg owiniętych wokół jego ciała.

– Pewnie wolałbyś, żebym już zamilkła.

Rick wyobraził sobie, że przywiera ustami do jej ust i Kim nic już nie mówi, tylko wzdycha z rozkoszy.

– Nie, w porządku. Cieszę się, że czujesz się lepiej. Narzuta była stęchła i szorstka. Rick zamierzał się jej pozbyć i wsunąć się pod koc, gdy tylko Kim zaśnie.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam gorączkę – odezwała się znowu Kim. – Chyba w dzieciństwie.

Rick starał się nie słuchać, ale jej słowa były jak ciepły miód, oblewający całe jego ciało. Głos Kim znajdował się bez wątpienia na długiej liście rzeczy, które Rickowi podobały się w tej kobiecie.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła – dodała po chwili.

– Ktoś inny by ci pomógł. Nieznajomi lubią okazywać ci życzliwość, co oczywiście nie znaczy, że nie potrafisz sama o siebie zadbać.

Kim miała z pewnością dar skłaniania mężczyzn do roztaczania nad nią opieki. Czy w przeciwnym razie Rick leżałby teraz grzecznie po swojej stronie łóżka, choć dzielił je z kobietą, którą tak bardzo pragnął wziąć w ramiona?

– Opowiedz mi bajkę – poprosiła Kim.

– Co takiego?

Rick oparł się na łokciu i zobaczył ją niewyraźnie w nikłym świetle sączącym się zza drzwi łazienki. Kim siedziała, obejmując rękami kolana.

– No wiesz, bajkę na dobranoc.

– Nie znam żadnej. Rodzice nie opowiadali mi bajek, nawet gdy zdarzało im się położyć mnie do łóżka.

– Szkoda. Aha, zanim zapomnę. Jestem ci winna za telefon. Zadzwoiłam do siostry, gdy poszedłeś po kanapki.

Te skoki z tematu na temat kompletnie rozstrajały Ricka, a może powodem takiego stanu jego ducha była obecność Kim.

– Jak się czuje?

Rick chciał się poddać i uciąć sobie z Kim dłuższą pogawędkę, ale nie mógł się skupić na tym, co mówiła. Co miał zrobić, żeby w końcu zasnęła? Czy naprawdę nie zdawała sobie sprawy, na jak wielką próbę wystawia jego siłę woli?

– Powiedziała, że czuje się dobrze, ale miała zmęczony głos. Niepotrzebnie zdradziła Peterowi, że przyjeżdżam. Wyszedł w piżamie o szóstej rano przed dom, żeby się ze mną przywitać.

– To musi być fajny chłopak. Skoro już czujesz się lepiej, wkrótce go zobaczysz. Bo czujesz się lepiej, prawda? To się nie zmieniło?

Nie musiał pytać, poznał po jej głosie, ale szukał rozpaczliwie jakiegoś bezpiecznego tematu.

– O wiele lepiej. Mam nadzieję, że był to tylko niegroźny wirus.

– Słyszałem, że w takich wypadkach pomaga sen.

Kim znowu się położyła i Rick odetchnął z ulgą. Przeraził go wcześniej widok schorowanej Kim, ale to, że poczuł wewnętrzny nakaz, by po nią wrócić, też było dla niego przerażające. Gdy na lotnisku w Detroit podnosił pierwszą parę jej pachnących majtek, był niczym ryba, która połyka przynętę. Dopóki Kim miała gorączkę, Rick nie mógł wyciągnąć haczyka.

– Czekam na bajkę – nie ustępowała Kim.

Wbrew pozorom ta kapryśna prośba sprawiła Rickowi przyjemność. Był to znak, że Kim powoli dochodzi do siebie.

– Ty zacznij, a ja potem spróbuję dokończyć.

– Dobrze. Dawno, dawno temu było sobie dwóch przystojnych księząt. Jeden z nich chciał się ożenić, ale starszy, większy i silniejszy, powiedział: „Nie, nie, nie. Absolutnie nie możesz się ożenić”.

Kim zachichotała, a Rick natychmiast zorientował się, ku czemu to wszystko zmierza.

– Teraz twoja kolej. Dokończ bajkę – nalegała.

– Starszy książe, który był też przystojniejszy, zamknął brata w lochu, a niedoszłą pannę młodą zagonił do szorowania ubrań w strumieniu. Koniec problemu. Koniec bajki.

– To okropne zakończenie!

Kim znowu usiadła, szeleszcząc pościelą.

– Nie twierdziłem, że jestem dobrym gawędziarzem.

– Powiedz mi jedno. Czy starszy książe był wrogiem wszystkich ślubów, czy tylko ślubu swojego brata?

– Nie chodziło o ślub ani o małżeństwo. Mądry, odważny i utalentowany książe próbował uchronić młodszego brata przed popełnieniem strasznego błędu. Chłopak zdążył już osiąść tyle wiejskich dziewczuch i uwieść tyle wdów, że nie musiał robić z siebie idioty z powodu jakiegoś głupiego, polującego na męża podlotka.

– Skąd wiesz, że ta dziewczyna była głupia?

– Zgadłem, a teraz już śpij.

– Łatwo ci mówić, bo nie zmrużyłeś nawet okap. Ja spałam cały dzień.

– Kim, proszę, daj mi się zdrzemnąć.

– Przepraszam. – Kim powiedziała to takim tonem, jakby chciała okazać skruchę. – Powinnam być dla ciebie miła po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś.

– Wybaczam ci. Dobranoc.

– Ale czy nie uważasz, że zamykając brata w lochu, starszy książę postąpił dość okrutnie?

– W porządku. Może być zamknięty w pięknej, przytulnej wieży, gdzie umilają mu czas tancerki.

– Ale i tak jest zamknięty.

– Kim, to tylko bajka. Czemu przejmujesz się tak bardzo zmyśloną historyjką?

– Czytałam książkę na temat interpretacji bajek. Mają zawsze ukryty sens. . Wiesz, jaka była prawdziwa przyczyna tego, że Śpiąca Królowna spała tak długo?

Rick ziewnął głośno, zadowolony, że Kim nie zna jego tajemnicy. Doskonale wiedział, co chciałby zrobić z tą gadatliwą księżniczką.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– No cóż, jesteśmy na miejscu. W Denver.

Kim popatrzyła na tłum wypełniający halę lotniska, po czym przyspieszyła kroku i zrównała się z Rickiem.

– Dopóki nie wsiądziemy do samolotu do Phoenix, wciąż będziemy praktycznie w punkcie wyjścia – mruknął Rick.

Rick dużo spał podczas ośmiogodzinnej podróży autobusem, ale Kim zauważyła, że nie poprawiło mu to humoru.

– Mieliliśmy do tej pory takiego pecha, że może teraz już wszystko pójdzie gładko – powiedziała z nadzieją Kim.

Miło upłynął jej ten czas spędzony w autobusie. Kiedy nie drzemała na ramieniu Ricka, patrzyła z przyjemnością, jak on śpi. Gdy był odprężony i włosy opadały mu na czoło, wyglądał niezwykle chłopięco. Trochę też rozmawiali po drodze. Rick opowiedział jej o swojej grze w baseball na uniwersytecie – wciąż była to jego ulubiona dyscyplina sportu. Kim z kolei zdradziła mu, że często grywa w tenisa. Okazało się, że lubią tych samych muzyków jazzowych, a Rick jest honorowym dawcą krwi. Cierpliwie słuchał opowieści Kim o Jane, Peterze i Luke’u, ale sam nie mówił dużo o swojej rodzinie.

– Nie podoba mi się to – powiedział z niepokojem Rick. – Trochę tu za dużo ludzi jak na niedzielny wieczór.

– Denver to wielkie miasto. Na lotnisku zawsze jest dużo ludzi – przypomniała mu Kim.

– Masz rację. Niepotrzebnie wywołuję wilka z lasu. Co złego mogłoby się nam jeszcze przydarzyć podczas tej podróży?

Co? Kim wołała nie wiedzieć.

Musieli stanąć w kolejce, która poruszała się w wyjątkowo żółtym tempie, więc gdy w końcu dotarli do kasy, poczuli się tak, jakby wygrali na loterii. Za ponad godzinę mieli już lecieć do Phoenix. Rick nadał na bagaż rzeczy Kim, ale nie rozstał się ze swoją torbą, którą mógł zabrać do samolotu jako bagaż podręczny. Czy zrobił tak dlatego, że wiedział, iż dzięki temu nie będzie musiał czekać na lotnisku w Phoenix na swoje rzeczy? Czyżby chciał uniknąć długich pożegnań z Kim?

– Głodna? – zapytał Rick, gdy przesuwali się w stronę bramki.

– Obawiam się, że nie mamy czasu na jedzenie.

– W samolocie poczęstują nas w najlepszym razie orzeszkami. Zamierzam coś szybko przekąsić.

– Wołałabym poczekać tutaj i mieć samolot na oku. Tylko wówczas uzyskam pewność, że nie odleci bez nas.

– Jest jeszcze mnóstwo czasu. Chodź ze mną.

– Po co?

– Przyzwyczałem się do twojego towarzystwa. Rick uśmiechnął się, ale nie wiedział, czy Kim odebrała te słowa jako komplement.

– Zresztą musisz się czegoś napić. Po tej gorączce masz na pewno odwodniony organizm.

– Jestem już całkowicie zdrowa.

– Pozwól przynajmniej, że postawię ci wodę sodową. Rick wziął Kim pod rękę. W pierwszej chwili chciała ją zabrać, ale po co? To był ostatni etap ich wspólnej podróży i Kim pragnęła spędzić z Rickiem każdą minutę. Gdyby tylko nie miał tak idiotycznego stosunku do kwestii małżeństwa!

Zaprowadził ją do eleganckiej restauracyjki, która znajdowała się nieopodal. Były tam przyciemnione światła i ubrani na biało kelnerzy.

– Mamy czas na taki ambitny lokal?

– Są przyzwyczajeni do ludzi, którzy spieszą się na samolot.

Kim poszła za Rickiem do dwuosobowego stolika w ciemnym kącie, idealnego dla pary chcącej spędzić miło czas w intymnej atmosferze. Potem przełożyła swoją skórzaną torebkę na plecy, żeby jej nie przeszkadzała, ale nie zdjęła jej z szyi. Uznała też, że w tej sytuacji nie warto zdejmować kurtki. Kim lubiła ustawiać się w kolejce do samolotu, zanim jeszcze pilot wszedł na pokład. Nie znosiła pędzić w ostatniej chwili. Miała teraz nadzieję, że zostaną szybko obsłużeni i będą się mogli udać spokojnie do samolotu. Usiadła na brzegu krzesła, by w razie czego szybko opuścić restaurację.

– Dla mnie tylko gorąca herbata.

Nie mogła się powstrzymać od ciągłego zerkania na zegarek.

– Zjesz ze mną na spólkę kanapkę z indykiem? Nie zdążę zjeść całej sam.

– Może kawalek. – Kim miała pusty żołądek, ale nie chciała się do tego przyznać. – Niewykluczone, że będziemy musieli zabrać cześć kanapki do samolotu. Widzę, że mają tu do obsłużenia sporo gości.

Jakby na potwierdzenie słów Kim, ktoś gorączkowo poszukujący wolnego stolika wpadł na oparcie jej krzesła.

Ku swemu zdziwieniu, Rick położył dłoń na dłoni Kim.

– Z pewnością nieprędko zapomnę tę podróż. Mimo przyciemnionego światła spojrzenie niebieskich oczu Ricka zelektryzowało Kim.

– Jeszcze się nie skończyła – wymamrotała zmieszana.

Choć towarzystwo Ricka sprawiało Kim dużą przyjemność, wiedziała, że nie uda jej się zrelaksować, dopóki nie znajdą się w samolocie. Rick próbował przyciągnąć uwagę kelnerów i w końcu któryś się pofatygował.

– Mam na imię Gerald. Będę państwa obsługiwał dzisiaj wieczoru. Życzę sobie państwo czegoś z baru?

– Macie jakieś zagraniczne piwo? – zapytał Rick.

Zaraz będzie się chciał dowiedzieć, pomyślała z oburzeniem Kim, z jakiej farmy pochodzi indyk, którego mięso trafi do jego kanapki!

– Musimy zdążyć na samolot – wtrąciła. – Bardzo się spieszymy.

– Oczywiście, rozumiem. – Gerald miał wyjątkowo duże zęby i uśmiechał się od ucha do ucha.

Gdy Rick zamówił jakieś niemieckie piwo z dwudziestoma sylabami w nazwie, kelner chciał natychmiast po nie iść, ale Kim była szybsza i chwyciła go za rękaw.

– Naprawdę bardzo się spieszymy.

– Zamówimy wszystko teraz – dodał Rick bez przekonania, gdyż nie do końca podzielał obawy Kim. – Prosimy o kanapkę z indykiem, frytki i dwa talerze. I o dzbanek herbaty.

– Ziołowej czy... ?

– Błagam! Nie chcemy się spóźnić na samolot – wtrąciła się znowu Kim.

– Zaraz państwa obsłużę – obiecał kelner.

– Na razie wszystko gra – zapewnił Rick, udając, że bawi go jej niecierpliwość.

– Łatwo ci mówić. Masz cały tydzień na udaremnienie ślubu. Moja siostra potrzebuje mnie już teraz.

Piwo dotarło bardzo szybko. Było ciemne i wyglądało okropnie. Rick pił je małymi łyżkami. Potem kelner przyniósł wodę dla Kim, ale tak gorącą, że dosłownie gotowała się w dzbanku, a także owinięty folią talerz, na którym leżały torebki z herbatą w co najmniej kilkunastu smakach. Kim straciła całą minutę, zanim zdecydowała się na malinową. Poza tym doszła do wniosku, że nim herbata ostygnie na tyle, by dało się ją pić, samolot będzie już lądował w Phoenix.

Na jedzenie przyszło im czekać znacznie dłużej, a na domiar złego kelner zapomniał przynieść drugi talerz.

– Nawet nie próbuj mu o tym przypominać! – ostrzegła Kim, przekładając swoją połowę kanapki na papierową chusteczkę. – Lada chwila wejdą na pokład.

Kim wbiła zęby w chrupiący tost i gorący topiony ser, \ którego cienkie strużki ściekały z zapiekanki.

– Nie spiesz się – powiedział Rick z bulwersującym spokojem. – O wiele łatwiej wsiąść do samolotu, gdy jest luźniej przy wejściu.

Kim przestała zerkać na zegarek i skubała powoli swoją część kanapki, czekając, aż Rick będzie gotów do wyjścia. Pomyślała, że jej towarzysz podróży ma rację. Samolot nigdy nie startuje zaraz po wejściu pasażerów na pokład. Ileż to razy była świadkiem tego, że ktoś wpadał do samolotu w ostatniej chwili? Oczywiście, jako zdyscyplinowany pasażer uważała zawsze takich spóźnialskich za ludzi egoistycznych i aroganckich.

– Mamy mnóstwo czasu – pocieszył ją Rick. – Jedz spokojnie.

Przestań czytać w moich myślach, przemknęło jej przez głowę, i wypij do końca tę

niemiecką wodę ze stawu.

– Spójrz – powiedział Rick, pokazując skomplikowany cyferblat swojego zegarka, kiedy już wypił ostami tyk. – Skończyliśmy w samą porę. Akurat gdy tam przyjdziemy, pasażerowie z naszego rzędu będą wsiadać do samolotu.

– Świetnie.

Wstali od stolika i wówczas jak oparzony podbiegł do nich kelner. Rick podał mu kilka banknotów, nie prosząc o resztę.

– Chodźmy – powiedział do Kim.

Kim zrobiła krok w kierunku wyjścia, ale coś jej się nie zgadzało. Kolejne dwa kroki utwierdziły ją w przekonaniu, że coś jest nie tak.

– O nie!

– Co się stało?

– Zostałam okradziona!

– Jesteś pewna?

– Rick, noszę tę torebkę całe życie. Potrafię poznać, że jest za lekka.

Kim zaczęła grzebać w torbie.

– Nie ma portfela.

– Wdziałem, jak go chowałaś do torby po okazaniu dokumentu tożsamości przy kasie biletowej.

– Bo tak było, ale patrz! Nie ma go!

– Ale przecież w ogóle nie zdejmowałaś torebki z szyi. Patrzyłem na ciebie przez cały czas. Może z wyjątkiem tych paru chwil, gdy czytałem menu.

– Ktoś potrącił moje krzesło. To musiało się stać wtedy.

– Może zawiadomimy ochronę lotniska?

– Spóźnimy się na samolot!

Wziął ją pod rękę i wyprowadził z restauracji.

– Co było w portfelu?

– Pieniądze, poza drobnymi, które wrzuciłam luzem do torebki. Wszystkie moje dokumenty, nawet akt urodzenia, bo przecież się przeprowadzam. Karta ubezpieczeniowa, moje ukochane zdjęcia Petera...

– A karty kredytowe?

– Mam tylko dwie, ale one także były luzem w torbie. W portfelu zabrakło już na nie miejsca, bo był w nim paszport i...

– Paszport?

– Wyrobiłam go sobie, gdy miałam jechać do Gwatemali.

– Kiepsko.

– Pewnie, że kiepsko! Wyrobienie nowych dokumentów długo potrwa.

– Jest jeszcze gorzej.

– Jak to?

– Złodziej może zatrzymać twoje dokumenty. Jest ich tam tyle, że jeśli zechce, będzie mógł się pod ciebie podszyć. Niedobrze...

– Zawiadomię ochronę.

– Zanim cokolwiek zrobisz, spróbujmy znaleźć ten portfel. Chodź!

– Nie ma go pod stolikiem!

– Nie, ale złodziej na pewno się go pozbył, kiedy już wziął, co chciał. Podejrzewam, że portfel jest gdzieś niedaleko w pojemniku na śmieci.

– W takim razie zabieramy się do grzebania w pojemnikach na śmieci.

– Miejmy nadzieję, że nie są pełne – skomentował ponuro Rick.

– Gdybym była złodziejem, wpadłabym na chwilę do toalety, żeby obejrzeć łupy.

– Słusznie. Sprawdź w męskiej, a ty rozejrzyj się po poczekalniach.

– Może to złodziejka, kobieta.

– Nie widziałem, by jakaś wchodziła do restauracji.

– Zwracasz uwagę na wszystkie kobiety, które wchodzi do lokalu, w którym jesz? – Wciąż jeszcze niewiele wiedziała o Ricku Taylorze.

– Zazwyczaj tak. – Wyglądał na nieco zmieszanego. – To dar. Posiadają go wszyscy faceci.

– Samolot zaraz będzie startował.

– Pośpieszmy się. Może się nam poszczęści.

Rick ruszył w kierunku najbliższej męskiej toalety. Kim natomiast poszła do pustej poczekalni obok restauracji i zajrzała w ciemną otchłań pojemnika na śmieci. Nie potrafiła – po prostu nie potrafiła – zanurzyć ręki w nieprzyjemnej mieszance pustych kubków, brudnych chusteczek i wilgotnych gazet.

Obejrzała się, licząc na to, że ktoś z ochrony przyjdzie jej z pomocą, ale nie zauważyła nikogo takiego.

Znów zdjęła pokrywę pojemnika, wyciągnęła czarny foliowy worek i obmacała go, wysypując niechcący część zawartości. Jedynym twardym przedmiotem, jaki udało jej się znaleźć, był umazany musztardą różowy trampek.

Szkoda czasu na sprzątanie. Samolot może wystartować lada chwila. Kim pobiegła do następnego kosza na śmieci, potwornie zakłopotana z powodu bałaganu, jaki za sobą zostawiła. Po dwudziestu sześciu latach pedantycznego usuwania najmniejszego śmiecia stała się nagle seryjną bałaganiarą.

Kontakt z następnym pojemnikiem na śmieci był jeszcze bardziej przykry. Jak to możliwe, że słodkie, urocze dziecko zostawiło tak odrażającą pamiątkę? Kim wyciągnęła worek, ścisnęła dłonią jego górną część, żeby nic się z niego nie wysypało, po czym postawiła na nim stopę. Na powierzchni worka nie pojawiło się żadne wybrzuszenie w kształcie portfela, ale ludzie szeptali już między sobą na temat Kim.

Zaczęła zaglądać pod krzesła, do fontann, wszędzie tam, gdzie sprytny złodziej mógł ukryć

dokumenty potwierdzające jej tożsamość. A jeśli jakiś wyjątkowo podły kryminalista rzeczywiście zamierza się pod nią podszyć? Wkrótce może się okazać, że trafiła na listę przestępców poszukiwanych przez Interpol i Kanadyjską Policję Konną!

– Zostałam okradziona! – syknęła w stronę dwóch wyrostków, obserwujących ją z przesadnym zainteresowaniem. – Szukam mojego portfela.

– Może pomóc?

– Och, byłabym wdzięczna. Mam nadzieję, że złodziej wziął pieniądze, a reszty się pozbył.

– Ja bym tak właśnie zrobił – powiedział jeden z wyrostków, chudy i wysoki.

– A ja nie. Zachowałbym wszystko, co do ciebie należało, jako cenne trofeum – rzekł jego pucołowaty kolega.

Kim wysłała chłopaków na poszukiwania w jednym kierunku, a sama poszła w przeciwnym. Dlaczego nie zauważyła, że ktoś wyciąga jej z torby portfel? Może nie miała w głowie systemu wczesnego ostrzegania, ale tak czy inaczej złodziej musiał być profesjonalnym kieszonkowcem. Czy zawodowiec zrobiłby coś tak oczywistego – porzucił portfel w łatwym do przewidzenia miejscu?

Następny kosz na śmieci, który znalazła Kim, nie był pełny. Jak poprzednio, wyciągnęła czarny worek, postawiła na nim kilka razy stopę, miażdżąc plastikowe kubki, a potem wrzuciła go z powrotem do pojemnika. Wtedy jednak poczuła na dłoni coś nieprzyjemnego. Spojrzała na nią i zobaczyła jakąś zieloną, lepka, przyprawiającą o małości maź. Popędziła co sił w nogach do najbliższej damskiej toalety, gdzie musiała namydlić i opłukać rękę siedem czy osiem razy, żeby ją porządnie umyć.

Wciąż nie wiedziała, gdzie jest Rick, ale postanowiła iść do chłopaków, którzy wspaniałomyślnie zaoferowali jej pomoc, i nakłonić ich do jeszcze intensywniejszych poszukiwań. Sama nie bardzo już miała ochotę wchodzić w kontakt z kolejną oślizgłą substancją.

Ruszyła w ich kierunku i minęła poczekalnię, w której powinna była pozostać aż do podstawienia swojego samolotu. Była pusta! Ani jednego pasażera. Tylko jakiś znudzony pracownik lotniska rozmawiał tam cicho przez telefon.

– Czy samolot do Phoenix już odleciał? – zapytała Kim, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

– Chwileczkę – powiedział do słuchawki pracownik lotniska, po czym zwrócił się do Kim: – Tak, proszę pani. Miała pani rezerwację?

– Tak, tak, tak. – Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. To na pewno tylko zły sen!

– Przykro mi.

– Ale w samolocie są moje bagaże.

Pracownik lotniska postukał w klawiaturę komputera.

– Nie, proszę pani. Ponieważ nie wsiadła pani na pokład, bagaże wyjęto z samolotu. Przepisy bezpieczeństwa. Będzie pani musiała pójść do głównej hali i porozmawiać z jednym z naszych

przedstawicieli.

Kim spojrzała w jedną, a potem w drugą stronę i ujrzała swoich młodych bohaterów, zmierzających szybkim krokiem w jej kierunku. Jeden z nich wymachiwał czymś w powietrzu.

– Znaleźliście go!

– Może jest twój, a może nie – powiedział ten pucołowaty. – Nazywasz się Kiraberly Grant?

– Tak, to ja.

– Możesz to udowodnić?

– Daj go jej, Biff.

Kim zdecydowanie wołała tego wysokiego.

– Jest tu dużo rzeczy. Nie mogę przecież dać portfela komukolwiek.

– Nie wygłupiaj się – zaprotestował wysoki chłopak, ale Biff nie zamierzał tak łatwo ustąpić.

– Mogę to udowodnić – powiedziała Kim, wyciągając z dna torebki kartę kredytową. – Tu jest moje nazwisko.

– Dość wygłupów. – powiedział stanowczo ten wysoki. Wyrwał koledze portfel i podał go Kim.

– Bardzo ci dziękuję – powiedziała. – Jak masz na imię?

– Gilbert. Cieszę się, że mogliśmy pomóc.

– Jak ja ci się odwdzięczę? – Kim ujęła jego podbródek i pocałowała mocno tuż pod ustami.

– Właśnie to zrobiłaś! – Wyszczrzył zęby, uradowany.

– Aha, dzięki za pomoc, Biff rzuciła jeszcze niedbale na pożegnanie, zwracając się do drugiego chłopaka.

Oddalając się, słyszała, jak pucołowaty narzeka i robi wyrzuty koledze.

Paszport wciąż znajdował się w bocznej kieszonce. W portfelu była też karta ubezpieczeniowa, zdjęcia, a nawet prawo jazdy. Teraz nie miało już większego znaczenia, że złodziej zabrał wszystkie pieniądze. Najważniejsze, że Kim odzyskała swoją tożsamość.

Nadal jednak nie odzyskała Ricka. Czyżby podążając śladem pojemników na śmieci, wywędrował poza terminal? A może miał już dość problemów i zniknął z jej życia na zawsze? Nagle opadła cała euforia wywołana odnalezieniem portfela.

Wróciła do poczekalni. Tym razem nie było tam nawet pracownika lotniska, który wcześniej rozmawiał przez telefon. Nie mając nic lepszego do roboty, zaczęła wycierać portfel chusteczką. Zapomniała zapytać chłopaków, gdzie go znaleźli. Zresztą chyba wołała nie wiedzieć.

– Masz go!

Rick podszedł nagle od tyłu. Kim tak się przestraszyła, że upuściła portfel i część jego zawartości wysypała się na podłogę.

– Znalazło go dwóch młodych chłopaków.

– Zawsze udaje ci się uzyskać pomoc obcych ludzi. Kim popatrzyła na Ricka spod przymrużonych powiek.

Jeśli chciał zwalić na nią całą winę za tę sytuację.. ;

– Przepraszam – powiedział łagodnie.

Kim opadła ciężko na fotel. Zaczynała już mieć serdecznie dość tych wszystkich przygód z Rickiem.

– Przynajmniej mógłbyś nie być sarkastyczny.

– Nie jestem! Chciałaś iść prosto do poczekalni, to ja nalegałem, żebyśmy zjedli...

– W eleganckiej restauracji, w której kelnerzy ruszają się jak muchy w smole.

– Moja wina. Naprawdę jest mi przykro. Tym razem nie poleciliśmy przeze mnie.

Kim popatrzyła przeciągle na Ricka i widząc jego skruszoną minę, wybuchła śmiechem. A potem już nie mogła przestać się śmiać. Chichotała jak wariatka i Rick wkrótce się do niej przyłączył. Stworzyli niezwykle głośny, zwariowany duet.

– Znowu utknęliśmy, wyrzucili moje bagaże z samolotu, zapłaciliśmy za bilety, a nie poleciliśmy, nigdy nic takiego mi się nie przydarzyło! – wykrzykiwała Kim między kolejnymi wybuchami śmiechu.

Rick zgiął się wpół i oparł dłonie na kolanach. On też nie mógł przestać się śmiać.

– Rick, wszystko z tobą w porządku?

– Nie. Oczywiście, że nie.

Rick wyprostował się, chwycił Kim za ramiona i przywarł ustami do jej ust. Pocałunek był niezwykle namiętny.

– Myślałam...

Co chciała powiedzieć? Że nie spodziewała się, iż jej towarzysz podróży potrafi tak całować?

– Może pomóc w czymś jeszcze, Kimberly?

Biff podszedł tak blisko do Kim, że aż lekko trącił ją ramieniem.

– To jeden z tych młodych ludzi, którzy znaleźli mój portfel – powiedziała, próbując złapać oddech.

– Wielkie dzięki. – Rick uścisnął mu rękę.

– To była ciężka robota, całe to grzebanie w śmieciach.

– Ale wyświadczyliście mojej przyjaciółce ogromną przysługę... – Rick wyciągnął z kieszeni pieniądze. – Jestem wam bardzo wdzięczny.

– Tylko podziel się z Gilem! – zawołała Kim za odchodzącym chłopakiem.

– Jasne, tak jak on podzielił się ze mną! – rzucił przez ramię Biff.

– Nie musiałeś tego robić – odezwała się do Ricka Kim.

– Już dałaś im nagrodę?

– Niezupełnie. Złodziej zabrał wszystkie pieniądze, ale podziękowałam im.

Postanowiła nie mówić, w jaki sposób.

– A więc znów utknęliśmy.

Rick objął jedną ręką ramiona Kim.

– Myślę, że powinniśmy poszukać mojego bagażu i sprawdzić, kiedy odlatuje następny samolot do Phoenix.

- Zgoda na bagaże. Brak zgody na samolot.
 - Nie lecimy?
 - Nie.
 - To jak się dostaniemy do Phoenix?
 - W jedyny pewny sposób. Pojedziemy samochodem. I ja prowadzę.
 - Ale to bardzo daleko!
 - Zaledwie kilkaset kilometrów, może trochę więcej.
 - Ale jest ciemno.
 - To się zdarza nocą.
 - Czemu mnie pocałowałaś? – zmieniła nagle temat Kim.
 - Sam chciałbym wiedzieć.
 - A więc wynajmujemy samochód?
 - Tak, samochodem będzie zdecydowanie szybciej niż psim zaprzęgiem albo skuterem śnieżnym.
 - Będę już winna równowartość rocznych zarobków.
 - Na szczęście odzyskałaś tożsamość, więc w razie czego będę mógł cię odnaleźć.
- Rick zarzucił sobie torbę na ramię.
- Tym razem będziemy prowadzić na zmianę – powiedziała z naciskiem Kim, idąc szybkim krokiem za Rickiem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Siedząc obok Ricka w wynajętym samochodzie, którym jechali teraz zaśnieżoną autostradą, Kim czuła się bezpiecznie, mimo że zamieć przybierała na sile. Prowadzenie auta było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, ale uznała, że jej towarzysz podróży, który kilkakrotnie odmówił przekazania jej kierownicy, nie musi wcale o tym wiedzieć. Był taki uparty...

– Pada coraz gęstszy śnieg – zauważył Rick. – I wieje coraz silniejszy wiatr.

– Jakieś światła przed nami! – krzyknęła Kim.

– Co to, u licha?

Rick stopniowo wyhamował i zatrzymał się kilka metrów od metalowej zapory. Jakiś policjant z drogówki wymachiwał w powietrzu wielką latarką.

– Autostrada jest zamknięta, proszę pana – poinformował funkcjonariusz, gdy Rick otworzył okno. – Przy Kościele Zjednoczenia jest noclegownia Czerwonego Krzyża. Proszę zjechać z autostrady, skręcić w lewo na światłach, a potem w prawo na trzecim skrzyżowaniu.

– Istnieje szansa na wynajęcie pokoju w jakimś motelu?

– Szczerze wątpię.

Rick ruszył w kierunku świeżo odśnieżonego zjazdu z autostrady. Gęsto padający śnieg przyćmiewał światła miasta i we wnętrzu wozu było ciemno jak w kokonie. Kim spojrzała na zegarek, ale nie udało jej się zobaczyć wskazówek.

– Która godzina? – zapytała Ricka, który miał nowoczesny zegarek z podświetlanym cyferblatem.

– Dziesięć po trzeciej. Przepraszam za to wszystko, Kim.

– A czy mieliśmy inny wybór? Spanie na podłodze na lotnisku? To jest przynajmniej coś nowego.

Rick dostrzegł na drzwiach kościoła tablicę z informacją o przytułku.

– Spróbuj zapamiętać, gdzie zaparkowaliśmy – powiedział, gdy wysiedli z samochodu. – Za kilka godzin wóz zniknie pod olbrzymią czapą śniegu.

Kim szczękała zębami raczej ze zdenerwowania niż z zimna, gdy wchodzili do słabo oświetlonego budynku. Cała ta sytuacja wydawała się zupełnie nierzeczywista.

Przywitała ich siwiejąca kobieta o ciele nastolatki ubrana w wytarte dżinsy i obszerny, wełniany sweter.

– Piękna noc, w sam raz na przejażdżkę – zażartowała wolontariuszka. – Mamy jeszcze sporo wolnych łóżek w głównej sali. Pościel przypomina aluminiową folię, ale jest czysta. Łazienkę znajdziecie w korytarzu. W każdej chwili możecie się napić gorącej kawy, a na śniadanie będą pączki.

– Jesteśmy niezmiernie wdzięczni – powiedział Rick. Zostawili bagaże w samochodzie. Żeby

położyć się spać, musieli więc tylko znaleźć wolne łóżka, zdjąć buty i kurtki, a potem wsunąć się pod zgrzebną pościel. Kiedy już im się to udało, natychmiast zamknęli oczy i zasnęli w ciągu paru sekund.

Nazajutrz rano zbudziły Kim piskliwe głosy dzieci, bawiących się i przekomarzających w głównej sali noclegowni. Wstała i rozejrzała się dokoła. Podłoga była wyłożona beżową terakotą, a ściany pomalowano na zielono. Pomieszczenie wydawało się teraz zatłoczone, gdyż krzatali się po nim liczni goście. Pościel na łóżku Ricka była złożona w kostkę, ale jego samego ani śladu.

Kim odświeżyła się, korzystając z mydła w płynie i brązowych papierowych ręczników, po czym zjadła przyobiecanego pączka. Wciąż nie natrafiła nigdzie na Ricka. Po przeszukaniu całego budynku, od kaplicy po skrzydło, w którym mieściła się szkółka niedzielna, postanowiła zajrzeć na parking. Niestety, jej złe przeczucia potwierdziły się. W miejscu, w którym powinien stać wynajęty samochód, były tylko ślady opon odcisnięte w zmrożonym śniegu. Rick musiał niedawno odjechać.

Nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć, Kim wróciła do głównej sali i dołączyła do niewielkiej grupki ludzi skupionych wokół małego telewizora i oglądających prognozę pogody.

– Przełęcz Raton zamknięta... Zamięć nie ustępuje... Obfite opady śniegu...

Gdziekolwiek Rick był, nie mógł jechać teraz do Phoenix. Autostrada wciąż była zamknięta i nic nie wskazywało na to, że wkrótce zostanie otwarta. Nieco tym uspokojona, Kim zaofiarowała swoją pomoc w zabawianiu armii dzieci, które utknęły w noclegowni.

Rick nie sądził, że jego poranna wyprawa zajmie mu aż tyle czasu. Próbował znaleźć wolny pokój, zaglądając do wszystkich hoteli, moteli i pensjonatów w okolicy. Gdyby podróżował sam, zadowoliliby się skromnymi warunkami panującymi w noclegowni, ale zależało mu na tym, by kolejne noce spędzić wyłącznie w towarzystwie Kim. Potrzebował czasu, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie, co ich właściwie łączy. Bliższe poznanie się w pomieszczeniu, w którym było jeszcze sto osób, wydawało mu się niemożliwe.

Poszukiwania Ricka zostały w końcu uwieńczone powodzeniem. W przydrożnej kawiarni, gdzie zatrzymał się na kawę, przypadkowo poznany mężczyzna powiedział mu o ekskluzywnym pensjonacie, prowadzonym przez jego ciotkę. Była to starsza, wysoka kobieta o snobistycznym usposobieniu. Bardzo starannie dobierała gości i kazała sobie sownie płacić za nocleg w jej wiktoriańskim domu. Z początku przyjęła Ricka chłodno, zapewniając, że nie ma wolnych miejsc, ale gdy powołał się na jej siostrzeńca i zgodził się zapłacić bajorńską sumę za trzy noce z góry w dwupokojowym apartamencie, sprawa została załatwiona.

Po powrocie do noclegowni Rickowi nie od razu udało się odnaleźć Kim. Nie było jej w głównej sali. Znalazł ją dopiero w jednej z klas szkółki niedzielnej, gdzie siedziała na dywanie, otoczona gromadką dzieci, i z istic aktorskim zacięciem opowiadała im jakąś bajkę. Przez jakiś czas Rick przyglądał się tej scenie niezauważony, ciesząc oczy widokiem pięknej towarzyszkii podróży. W pewnym momencie jednak Kim zaczęła iść na czworakach, prowadząc dziecięcy korowód, i omal nie zderzyła się z nogami Ricka.

– Wróciłeś! – wy krzyknęła, po czym bez słowa dokończyła rundkę po klasie. Zaraz potem do sali weszły dwie kobiety i zabrały dzieci na obiad. Kim wciąż była na czworakach i mierzyła teraz Ricka groźnym spojrzeniem. – Oczywiście, możesz sobie jeździć, dokąd chcesz. To nie moja sprawa.

Rick podał jej rękę, ale Kim zignorowała ją i wstała o własnych siłach.

– Myślałaś, że pojechałem dalej bez ciebie?

– Nie zastanawiałam się nad tym.

– Kłamiesz.

– No dobrze, martwiłam się o swój bagaż. Rick zamknął drzwi.

– A nie o to, że tu utkniesz?

– O to chyba też, ale umiem o siebie zadbać.

– Wiem, wiem – powiedział, szczerząc zęby.

Kim wędrowała między niskimi stolikami, nie pozwalając mu się do siebie zbliżyć.

– Pewnie wróciłeś dlatego, że autostrada jest wciąż zamknięta.

– A jest?

– Doskonale wiesz, że tak.

Kim straciła czujność i zwolniła kroku, co też Rick natychmiast wykorzystał. Przeskoczył jedno z niskich krzesełek i chwycił Kim za ramiona.

– Powinnam pomóc w jadalni.

– Nie masz czasu.

– Jeśli wierzyć synoptykom, to mam kilka dni. Po tych słowach Kim uwolniła się z uścisku Ricka.

– Znalazłem dla nas nocleg.

– To miejsce w zupełności mi odpowiada.

– Szkoda, bo nie wiem, co będę robił sam w dwupokojowym apartamencie z największą wanną na wschód od Missisipi.

– Mówisz serio? – Błysk w zielonych oczach Kim był aż nadto widoczny.

– Właśnie dlatego tak długo mnie nie było. Szukałem miejsca na nocleg.

– Kilka osób stąd też próbowało znaleźć jakieś inne lokum, ale nie udało im się i wrócili.

Jakim cudem tobie się powiodło?

– Poznałem w kawiarni faceta, który ma ciotkę... Zresztą nieważne, bo i tak nie jesteś zainteresowana. Rozumiem, w końcu świetnie się tu bawisz.

– To prawda.

– Jesteś na mnie wściekła, bo nie obudziłem cię przed wyjazdem czy dlatego, że wróciłem?

– Mogłeś zostawić kartkę.

– Sądziłem, że wrócę wcześniej.

– To naprawdę dwupokojowy apartament?

– Okłamałbym cię?

– Chyba jednak muszę z tobą jechać. Masz moją najlepszą bieliznę. Ale za swój pokój zapłacę kartą kredytową.

– Zapłaciłem już za cały apartament. Potem się rozliczymy.

– Zjedzmy z dziećmi obiad, zanim tam pojedziemy.

– Ty zjedz. Ja tymczasem odśnieżę schody i chodnik. Rick musiał się nieco ochłodzić.

Około czwartej po południu pani de la Farge wprowadziła ich do Apartamentu Generała Dodge'a w sposób tak oficjalny, jakby była głową państwa, przyjmującą u siebie niższych rangą dygnitarzy.

– Te sofy z końskiego włosia przywiózł na zachód mój przodek, Pierre de la Farge, gdy przybył tu w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, żeby zainwestować w kopalnie srebra.

Miała na sobie gorset i sięgającą podłogi suknię z tafty.

– Śniadanie jest podawane od godziny siódmej do dziewiątej w pokoju jadalnym. Wszystkie moje apartamenty mają małe saloniki, w których znajdują się płatne dodatkowo napoje.

Gdy pani de la Farge zaczęła schodzić na dół krętymi schodami, Kim musiała zakryć dłonią usta, by nie wybuchnąć śmiechem.

Rick zaproponował Kim, żeby pierwsza wykąpała się z głębokiej, przestronnej wannie. Znajdowała się ona w oryginalnie urządzonej łazience, której ściany wyłożono czarnymi kafelkami ozdobionymi złotymi wizerunkami łabędzi. Kim nigdy wcześniej nie używała czarnego ręcznika i nie siedziała w wodzie o zapachu lawendy.

Gdy potem kąpał się Rick, Kim leżała na łóżku z baldachimem w swojej różowo-białej sypialni i zastanawiała się, co zrobić, by nie musieć tkwić do końca dnia w tym przesadnie przytulnym gniazdku. W mieście roiło się od podróżnych, więc na pewno nie brakowało w nim miejsc, gdzie dużo się działo i można się było dobrze zabawić. Wstała, podeszła do swojej wielkiej walizy i wyciągnęła z niej obcisłą szmaragdową sukienkę, która doskonale eksponowała jej powabne kształty. Pamiętając o temperaturze na zewnątrz, Kim włożyła też czarne rajstopy i buty na grubej podeszwie. Potem wyszła z pokoju i zastała w saloniku Ricka, który miał na sobie tylko szlafrok.

– Jesteś ubrana – powiedział.

– Myślałeś już o kolacji? – zapytała nieśmiało i zalotnie zarazem.

– Może pizza...

– Mam pomysł.

Kim wzięła ze staroświeckiego sekretarzyka książkę telefoniczną i przeglądając strony poświęcone restauracjom, zaczęła zgłaszać propozycje.

– Restauracja rodzinna... Nie, tam będzie nudno. Moglibyśmy pójść do chińskiej... Nie, mam coś lepszego. Zajazd Foxy'ego Freda. Co wieczór muzyka na żywo, tańce, grube steki i sześćdziesiąt jeden rodzajów piwa.

– No nie wiem...

– Ja stawiam, ubieraj się. Akceptują wszystkie karty kredytowe, więc nie powinnam mieć

problemów z zapłaceniem.

– Na zewnątrz jest zimno. Pomyślałem, że moglibyśmy na przykład...

– Dobrze wiem, o czym pomyślałeś!

Kiedy dotarli do zajazdu, okazało się, że jest tam mnóstwo ludzi i muszą poczekać, aż zwolni się któryś z niskich, czarnych stolików ustawionych wokół drewnianego parkietu. W zatłoczonej sali rozbrzmiewały dźwięki muzyki country, wykonywanej przez zespół, którego liderem był gitarzysta obdarzony niskim, delikatnym głosem.

– Hej, turysto! Dostałeś pokój?

Zataczając się, zmierzał w ich kierunku niezwykle wysoki i przysadzisty mężczyzna, ubrany w krzykliwą flanelową koszulę i obcisłe dżinsy.

– Na dźwięk twojego imienia drzwi stanęły otworem – odparł przyjaźnie Rick.

– Będziecie czekać na stolik do północy. Przyłączcie się do nas.

– Nie chcielibyśmy przeszkadzać – powiedział Rick.

– Jestem tu z kuzynem... Nie ma problemu. Mówił do Ricka, ale patrzył na nią. Kim zauważyła, że jest rozbierana wzrokiem. W pierwszej chwili więc chciała zaprotestować przeciwko przyłączeniu się do nieznanego, ale potem zmieniła zdanie. Co mogło się stać w zatłoczonym zajeździe z Rickiem w roli przyzwoitki? Nie zaszkodzi, jeśli Rick przekona się, że Kim potrafi się dobrze bawić bez niego.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała za Ricka, ignorując jego piorunujące spojrzenie.

Poszli za wielkim mężczyzną do stolika znajdującego się w ciemnym kącie i poczekali, aż zdobędzie dla nich dodatkowe krzesła.

– Jestem Art Gries – przedstawił się w końcu. – Fanny jest moją ciotką.

– Pani de la Farge – wyjaśnił Rick.

– Stary Fergie był jej drugim mężem. Miała jeszcze trzech po tym, jak uciekł do Kalifornii z jasnowłosą tancerką, ale Fanny lubi używać jego nazwiska. Dzięki niemu jej pensjonat zyskuje na znaczeniu.

– Kim Grant. – Wyciągnęła rękę do Arta Griesa, który natychmiast delikatnie ją uściskał.

– A to mój kuzyn, Mac Gries. Jechał dwuczęściową ciężarówką z Kansas City. Utknął tu jak wy i chwilowo mieszka u mnie.

Art zaproponował, by poczęstowali się kurzymi skrzydełkami w ostrym sosie, które leżały już na wielkim talerzu na stoliku, i poprosił ubraną w kowbojski strój kelnerkę o jeszcze jeden dzbanek piwa. Kim nie dała się długo namawiać i zaraz przystąpiła do jedzenia.

– Dokąd jedziecie? – spytał kuzyn Mac.

– Do Phoenix.

Rick dyskutował potem z kierowcą ciężarówki o warunkach na drogach, a tymczasem Art starał się oczarować Kim. Nie próbowała go zniechęcić, ale nie chciała też, by pojechał za nią do pensjonatu. Jeśli myślał, że ona i Rick są parą, nie zamierzała wyprowadzać go z błędu.

– Zatańczymy? – zapytał Art.

– Mam dwie lewe nogi – odparta asekuracyjnie.

– A ja dwie prawe. – Uśmiechnął się chytrze. – To może spróbujemy?

Kim nie spojrzała na Ricka, a on nic nie powiedział, i już po chwili szła za Artem na parkiet z co najwyżej udawanym entuzjazmem.

Rick lepiej się bawił z podstarzałymi przyjaciółmi swojej matki na śmiertelnie nudnych przyjęciach organizowanych w podmiejskim klubie niż teraz w zajeździe. Jego nowy kumpel bez przerwy tańczył z Kim. Natomiast kuzyn Mac był już na nogach od trzydziestu godzin i wyglądało na to, że lada chwila jego głowa wyląduje w misce z chipsami. Rick zaczynał powoli żałować, że opuścił przykościelny przytułek.

– Och, ledwo oddycham! – Kim opadła na krzesło, zasapana. Art został po drugiej stronie zadymionej sali, by porozmawiać z jakimiś przyjaciółkami, ale Riek nie miał wątpliwości, że zaraz wróci. – Czy on śpi? – zapytała po chwili, wskazując na Maca, który w końcu się poddał i drzemał już z brodą opartą na piersi.

– Jest wykończony. Kuzyn powinien go zabrać do domu.

– Nic mu nie będzie. Niedługo zamykają. Na pewno nie chcesz zatańczyć?

– Nie, dzięki.

Rickowi ani się śniło wyjść na parkiet i zrobić z siebie pośmiewisko. Kim spędziła przecież cały wieczór na harcach z wytrawnym tancerzem.

– Myślałam, że będziesz się lepiej bawił.

– Świetnie się bawię – skłamał Rick.

– Czy na przyjęciu weselnym twojego brata też będą tańce?

– Nie mam pojęcia.

– Nie udaremnisz tego ślubu.

– Nie?

– Bo kiedy ludzie się naprawdę kochają, nikt inny się dla nich nie liczy.

– Wiesz to z doświadczenia?

Jego plan dowiedzenia się tego wieczoru czegoś więcej o Kim spalił na panewce i Ricka trawiła nie zaspokojona ciekawość. Chciał rozmawiać o niej, a nie o swoim bracie.

– Miałam paru bliskich przyjaciół.

– Nie pytam o przyjaciół.

– Nic z tego nie wyszło, więc jakie to ma znaczenie? Czyżby w jej głosie zabrzmiała nutka smutku? Intuicja podpowiadała Rickowi, że Kim jest kobietą o złożonej osobowości, ale odnosił wrażenie, iż nadal zna ją zbyt słabo, by móc sobie wyrobić zdanie na jej temat. Starał się łowić każde słowo, analizować każdą wypowiedź. Czemu traktował ją tak poważnie?

– Hej, skarbie, ostatnia szansa, żeby zatańczyć!

Art zjawił się znienacka przy stoliku niczym drapieznik, który dopadł swoją ofiarę.

– Och, nie mam już siły – odpowiedziała bez przekonania Kim.

– Teraz wielki finał, spodoba ci się. Tańczyłaś kiedyś kankana w kowbojskim stylu?

– Chyba często tu bywasz – wtrącił Rick.

– Zazwyczaj w weekendy, ale chciałem pokazać Macowi, jak wygląda prawdziwa zabawa.

– Zdaje się, że on ma już dość tej zabawy – powiedział z przekąsem Rick, lecz Art i Kim byli już w drodze na parkiet i nie usłyszeli go.

Od hałasu i dymu rozboleła Ricka głowa. A może z zupełnie innego powodu, może dlatego, że było mu wstyd, iż nie walczy o względy Kim, tylko przygląda się biernie, jak ona flirtuje z nieznajomym. Pragnął, by wolała jego towarzystwo, by chciała być tylko z nim, ale to z kolei wymagało poczynienia pewnych zobowiązań, a na to już nie było Ricka stać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rick objął Kim jedną ręką, gdy sunęli powoli w gęsto padającym śniegu i mroźnych powiewach wiatru przez parking przed zajazdem. Kim żałowała teraz, że nie włożyła spodni, ale jeszcze bardziej tego, że zmarnowała szansę spędzenia wieczoru z Rickiem sam na sam. Nie pamiętała już nawet, co właściwie chciała udowodnić.

– Wyglądasz jak prawdziwy bałwan – powiedział Rick, otwierając drzwi samochodu.

– Jak bałwan?

– A raczej jak Królowa Śniegu.

– Brawo, udało ci się wybrnąć – pochwaliła go Kim, wsiadając do auta.

Jadąc przez miasto, nie mijali prawie żadnych samochodów. Na szczęście pługi śnieżne pracowały nieprzerwanie i ulice były przejezdne.

Kim wpatrywała się w wirujące płatki śniegu, zastanawiając się, czy to prawda, że każdy jest zupełnie inny, niepowtarzalny. Nie było dwóch takich samych mężczyzn, więc to samo mogło dotyczyć tych lodowych kryształków. Z pewnością nie było drugiego takiego mężczyzny jak Rick. Z każdą chwilą spędzoną w jego towarzystwie Kim pragnęła go bardziej.

Po dotarciu do pensjonatu otrzepali się jako tako ze śniegu na frontowym ganku, a potem Rick wyjął klucz, który dostał od pani de la Farge, i otworzył drzwi. Leżała za nimi kwadratowa plastikowa wycieraczka, ale żeby znaleźć się w swoim apartamencie, Rick i Kim musieli jeszcze przejść spory kawałek po wypolerowanej na wysoki połysk posadzce i schodach.

– Madame wyrzuci nas z trzaskiem, jeśli zostawimy najmniejszy ślad – szepnęła Kim.

Zdjęła buty i spojrzała na swoje pokryte bryłkami topniejącego śniegu pończochy, z których w każdej chwili mogła skapnąć na podłogę kropla wody. Rick także zdjął buty i próbował wydobyć śnieg zza mankietów.

– Nie ma innego sposobu – szepnął Rick. – Musimy zdjąć wszystko, co jest mokre.

Zwinęli wierzchnie okrycia w rulon, by topniejący śnieg nie wyciekał na zewnątrz, ale Kim wciąż miała na sobie kompletnie przemoczone pończochy.

– Nie patrz.

Odwróciła się i szybko ściągnęła pończochy. Rick patrzył. Upajał się tym widokiem.

– Teraz twoja kolej – powiedziała cicho Kim. Rick zdjął spodnie i rzekł:

– No dobrze, chodźmy spać.

Powiedział to tak, jakby byli starą parą małżeńską, która od lat śpi w jednym łóżku. Te proste słowa zabrzmiały jednak niezwykle uwodzicielsko.

– Tak – odparła Kim. – To był bardzo długi dzień. Wzięła swoje mokre rzeczy i ruszyła za Rickiem, ledwo tłumią śmiech.

– Przypomina to wkradanie się do szkolnego internatu po przydługiej randce – powiedziała

półgłosem.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby Fergie nas przyłapała. Rick poczekał, aż Kim wejdzie na pierwszy stopień schodów, po czym objął ją jedną ręką.

– I gdyby zamknęła nas tu w areszcie domowym – dodała Kim, teraz już chichocząc.

– Areszt domowy z tobą? Jakoś bym to przeżył. Jego ręka powędrowała w dół ku jej biodrom.

– Jestem ciekawa, czy są tu jacyś inni goście – powiedziała Kim.

– A ja nie. – Jego głos był niski i chrapliwy. Kim podobało się to u mężczyzn, których chciała uwieść.

Rick otworzył drzwi do apartamentu, wpuścił Kim przed sobą i rzucił swoje mokre ubranie na inną plastikową wycieraczkę.

Kim rozejrzała się po apartamencie, jakby widziała go po raz pierwszy. Mały wiktoriański salonik z bordowo-niebieskim dywanikiem pośrodku i wykuszowym oknem. Na lewo znana już jej sypialnia oraz łazienka. Tylko pokój po prawej stronie wciąż stanowił dla Kim tajemnicę.

– Apartament wydaje się teraz bardzo przytulny – powiedziała.

Rick zamknął drzwi, a Kim położyła swoje mokre rzeczy na podłodze obok jego ubrania.

– Tak.

– Cieszę się, że pani de la Farge jest taką pozerką. Dzięki temu jest bardzo zabawna, – Naprawdę chcesz o niej rozmawiać?

– Niekoniecznie.

– A może o jej siostrzeńcu?

Kim podobało się lekkie rozdrażnienie pobrzmiewające w jego głosie.

– O nim też chyba nie.

– Zimno ci? Wziął ją za rękę.

– Zmarzłam na kość. Objął ją i mocno przytulił.

– Jakim cudem jesteś taki gorący?

– Mam w sobie wewnętrzny ogień.

Schylił się i wreszcie zrobił to, na co czekał cały wieczór: pocałował ją. Kim zamknęła oczy i pomyślała, że to najwspanialsza chwila w jej życiu. Wargi Ricka zmierzały powoli od jednego do drugiego kącika jej ust.

– Jesteś taka piękna – wyszeptał. – Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Wciąż trzymał ją w ramionach. Jego usta muskały jej zamknięte powieki, a potem przywarły na chwilę do czoła.

– Jest ci już trochę cieplej? – zapytał cicho.

– Zdecydowanie.

Wsunęła ręce pod jego brązowy golf. Drgnął, ale nie cofnął się.

– Twoje palce są jak sople lodu.

– Przepraszam. – Zaczęła cofać rękę.

– Nie. Jaki byłby ze mnie mężczyzna, gdybym nie próbował cię rozgrzać?

– Bałwan z bryłą lodu zamiast serca.

– Uważasz, że taki jestem?

– Nie wiem, jaki tak naprawdę jesteś – powiedziała poważnie.

– Musisz się położyć pod grubą kołdrą – rzekł Rick, cofając się o krok, gdy Kim zabrała rękę.

– Na moim łóżku jest tylko narzuta i cienki koc w poszewce.

– Zamienimy się pokojami?

– Nie mogłabym cię prosić o to, żebyś spał w małym dziewczęcym pokoiku wymalowanym na różowo.

– Nie widziałaś jeszcze mojego.

Wziął ją za rękę i poprowadził do sypialni numer dwa.

– Jeśli pani de la Farge ma podwójną osobowość, to ta gorsza odpowiada za urządzenie tego pokoju.

Rick zapalił światło, którego jedynym źródłem w tym pomieszczeniu była bogato zdobiona mosiężna lampa, stojąca na podłodze. Na kloszu obrzeżonym złotymi frędzlami widniały fioletowe łabędzie. Ściany pokoju były wyłożone na dole kremową boazerią, a wyżej wyklejone czerwoną tapetą we wzorki. Na podłodze leżał wielobarwny orientalny dywanik. Wielkie podwójne łóżko miało masywne, rzeźbione wezłowie i było nakryte grubą purpurową kołdrą.

– A oto prześcieradło.

Rick odrzucił do tyłu kołdrę i oczom Kim ukazał się czarny lniany materiał z perłowo-białym rysunkiem przedstawiającym egzotyczne pnącza i kwiaty.

– Połóż się. Musisz się rozgrzać.

Kim usiadła na brzegu łóżka, zaniepokojona kierunkiem, w jakim to wszystko zmierzało, ale jednocześnie tak już zakochana, że słowa Ricka brzmiały dla niej jak rozkaz. Wiedziała, że to przełomowy moment. Albo pójdzie teraz do swojego pokoju i nic się nie stanie, albo spędzi tę noc z Rickiem. Mocno bijące serce podjęło decyzję.

Rick obudził się pierwszy i jedyne, czego pragnął, to znów kochać się z Kim. Leżała obok niego naga, zwinięta w kłębek. Ich ciała lekko się ze sobą stykały. Nie wyobrażał sobie lepszego sposobu na rozpoczęcie dnia.

Zasłona w oknie była szara, ale odbijające się od śniegu światło tak bardzo ją rozjaśniało, że trudno było stwierdzić, która jest godzina. Rick sięgnął po swój leżący na nocnej szafce zegarek.

Czy postąpiłby nieładnie, gdyby obudził ją przed siódmą, skoro i tak nie mogli jeszcze stąd wyjechać? Było to kuszące. Rick chciał się przekonać, czy Kim jest nad ranem marudna, czy słodka; czy lubi poranny seks i czy byłaby tak namiętna jak w nocy.

Rick nie był przyzwyczajony do spania na stercie poduszek i bolała go głowa. A może to skutek odwodnienia organizmu, pomyślał, czując, że ma sucho w gardle. Ostrożnie – tak, by nie

obudzić Kim – wyslizgnął się z łóżka i zaraz przeszedł go dreszcz, gdyż Rick poczuł na ciele powiew zimnego powietrza. Dziwaczna lampa wciąż była zapalona. Zgasił ją, żeby w pokoju było ciemniej i nic nie przeszkadzało jego kochance w spaniu.

Gdy wracał do łóżka ze szklanką wody, cały już trząsał się z zimna. Skoro pani de la Farge tak sownie kazała sobie płacić, mogła przynajmniej lepiej ogrzewać pokoje.

Kim zsunęła się z poduszek i leżała teraz na brzuchu, ale wciąż spała. Rick powoli wślizgnął się pod kołdrę.

Kiedy znów się obudził, ujrzał Kim stojącą obok łóżka.

– Masz na sobie mój szlafrok – zauważył natychmiast z satysfakcją.

– Właśnie się wykapałam. Chciałabym wyjąć swoją bieliznę z twojej torby.

– Pod jednym warunkiem. – Mimo bólu głowy nie mógł się powstrzymać. – Zaprezentujesz mi na sobie całą kolekcję.

– Chcesz, żebym ci zrobiła pokaz mody? – Kim wahała się przez chwilę, ale potem zachichotała. – Czemu nie? W końcu i tak widziałeś już całą moją bieliznę. Zresztą mnie też już widziałeś w całej okazałości.

Wyglądała cudownie, gdy się rumieniła.

– Na początek ta czarna koszulka – powiedział, zastanawiając się, jak długo zdoła oglądać ten podniecający pokaz mody.

Kim rzuciła szlafrok na łóżko, podeszła do lampy i zapaliła ją. Nawet nago poruszała się jak modelka, zalotnie kręcąc pupą. Potem otworzyła torbę, pogrzebała w niej trochę i wyciągnęła część swoich jedwabnych skarbów.

– Zasady są takie – oznajmiła z powagą. – Nie ruszasz się z łóżka i tylko patrzysz. Żadnych komentarzy.

– Nie mogę nawet zagwizdać?

– Wykluczone. Jeśli to zrobisz, koniec pokazu.

– Jesteś okrutną kobietą.

Kim wyszczerzyła zęby, po czym wślizgnęła się w czarną, koronkową koszulkę. Rick patrzył jak zaczarowany, ale nie zdążył się nacieszyć tym zachwycającym widokiem.

– Zaczekaj chwilę.

Po tych słowach Kim wybiegła z sypialni i nie wracała tak długo, że rozgoryczony Rick zaczął się niecierpliwic. Oparł się plecami o poduszki i podciągnął kołdrę pod brodę, bo wciąż było mu zimno.

– Uwaga!

Wejście Kim było tak efektowne, że Rick ani przez chwilę nie żałował, iż przyszło mu czekać na nie tak długo. Modelka miała teraz na nogach czarne szpilki, które doskonale współgrały z seksowną koszulką. Bielizna pozostawiała bardzo niewiele miejsca dla wyobraźni.

Kim podniosła z podłogi inną część swojej ponętnej kolekcji i znów pospiesznie opuściła pokój. Wróciła zupełnie odmieniona. Tym razem miała na sobie majtki z wzorem przywodzącym

na myśl bujną roślinność amazońskiej dżungli oraz stanik z takiego samego materiału. Ponadto wzbogaciła teraz swój pokaz o elementy choreograficzne, wymachując nad głową rękami i kołysząc uwodzicielsko biodrami.

– Gdzie się tego nauczyłaś?

– Kobiety nie muszą się tego uczyć, mają to we krwi. Wybierzesz najlepszy ciuch, gdy skończę?

– A chcesz, żebym to zrobił?

– Jasne, czemu nie?

– Przebieraj się tutaj. Proszę.

– To trochę krępujące.

Na te słowa Rick tak bardzo się roześmiał, że aż zgiął się wpół.

– Mówię poważnie, to dla mnie krępujące – obruszyła się Kim. – Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Kupuję ładną bieliznę wyłącznie dla własnej przyjemności.

– Jestem ci wdzięczny, że dzielisz się ze mną czymś tak intymnym.

Kim popatrzyła na niego sceptycznie, ale mimo to zsunęła majki i zdjęła stanik. Z jakiegoś powodu Rick pomyślał, że kobiety na ogół zdejmują najpierw stanik, lecz z drugiej strony nie miał znów tak dużego doświadczenia w obcowaniu z nimi, by móc uważać się za eksperta w tej dziedzinie.

Potem Kim zaprezentowała całą serię prześwitujących, intymnych kreacji – czerwonych, niebieskich i białych. Na szczególną uwagę zasługiwała bielizna walentynkowa ze strategicznie rozmieszczonymi, różowymi serduszkami.

– Pokażę ci jeszcze tylko jedną rzecz – powiedziała stanowczo Kim. – Ale tym razem przebiorę się w saloniku.

Rick kiwnął głową, wąpiąc, czy wytrzyma kolejną prezentację.

– Nigdy tego nie noszę – powiedziała, wychyliwszy głowę zza framugi. – Nie jest wygodne.

– Rozumiem – rzekł, choć miał raczej blade pojęcie o tym, jaka bielizna jest dla kobiety wygodna, a jaka nie.

– A poza tym – dodała, ponownie wychylając głowę zza framugi – nie mam do tego stanika.

Tym razem nie wbiegła do pokoju tanecznym krokiem. Weszła nieśmiało, zakrywając rękami piersi. Jej łono okrywał trójkątny, fioletowy skrawek materiału, przywiązany dwoma cienkimi sznureczkami.

– To stringi – oświadczył Rick, tłumiąc śmiech.

– Nic podobnego! Znalazłam je w porządnym katalogu z bielizną.

– Nie zmienia to jednak faktu, że to są stringi.

– A skąd wiesz? Kupowałeś kiedyś damską bieliznę?

– Nigdy – przyznał. – Ale skoro są niewygodne, to może je zdejmiesz?

– Owszem.

Kim chwyciła szlafrok i opuściła pokój; Rickowi niezupełnie o to chodziło. Przemknęło mu

nawet przez myśl, by za nią pójść. Miał ochotę wziąć Kim na ręce i zanieść broniącą się i chichoczącą prosto do łóżka, ale ten pokaz bielizny bardzo go osłabił.

– Dziękuję za wspianały pokaz mody – powiedział Rick, gdy wróciła.

– Czuję się jak idiotka.

– Nie ma powodu. To była najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek dla mnie zrobił. – Rick mówił serio.

– Naprawdę? – Kim podeszła bliżej.

– Zrobiłaś coś bardzo dla siebie nietypowego, bo wiedziałaś, że sprawisz mi tym przyjemność.

– Chyba tak.

– Wracaj do łóżka.

Kim trwała w bezruchu, trzymając obiema rękami poły szlafroka.

– Nie wydaje ci się, że w tym pokoju jest zimno? – zapytał Rick.

– Ani trochę. Dokonałeś już wyboru? – Kim wciąż nie ruszała się z miejsca.

Rickowi podobały się stringi, bo najmniej zakrywały, ale taki wybór nie wydawał się najlepszy ze strategicznego punktu widzenia. Przypadła mu także do gustu biała koronkowa koszulka, ale za bardzo kojarzyła się ze strojem ślubnym. Komplet z egzotycznym wzorem sprawił, że Rick od razu chciał porwać Kim w ramiona, ale i czarna prześwitująca koszulka była niezwykle podniecająca. Nie potrafił się zdecydować, bo tak naprawdę najbardziej podobało mu się nagie ciało modelki.

– Komplet walentynkowy – oznajmił Rick, dokonawszy najmniej kontrowersyjnego wyboru.

– To moja ulubiona bielizna! – ucieszyła się Kim i natychmiast podbiegła do łóżka. – Uwielbiam Dzień Świętego Walentego. Jest taki romantyczny.

– Zimno mi – powiedział Rick, Ucząc na ciepłą reakcję Kim. Nawet gorący pokaz mody nie zdołał go w pełni rozgrzać.

– Och, biedactwo – Kim dotknęła palcami czoła Ricka. – Jesteś rozpalony. Mam nadzieję, że się nie rozchorujesz.

– Nigdy nie choruję. A swoją drogą, ten szlafrok zupełnie mi się nie podoba.

Tym razem Kim nie okazała się pruderyjna. Wzruszyła ramionami, zdjęła szlafrok i rzuciła go w stronę małego krzesła stojącego po drugiej stronie pokoju. Chybiła, ale nawet sama próba zrobiła na Ricku wrażenie. Już wiedział, że jego towarzyszka podróży lubi poranny seks.

– Jesteś fantastyczna – wyszeptał, obejmując Kim i pragnąc już zawsze trzymać ją w ramionach.

Rick znowu zasnął, ale Kim nie chciało się już spać. Za oknem hulał wiatr, tworząc na drogach zasypane śnieżne tak szybko, że żaden sprzęt nie był w stanie temu zapobiec. Kim policzyła na palcach dni, które upłynęły od rozpoczęcia tej niezwykłej wyprawy do Phoenix. Jak to możliwe, że był dopiero wtorek? Życie Kim zmieniło się diametralnie w niespełna tydzień.

Wtuliła się w śpiącego Ricka. Ostatnio nie mówił nic o ślubie brata, ale Kim była pewna, że

nie zmienił zdania w tej sprawie i że nadal zamierza uchronić Briana przed losem gorszym od jeżdżenia co weekend na piknik do Doliny Śmierci.

Co właściwie wiedziała o prywatnym życiu Ricka? Miał dom w ekskluzywnej części Phoenix, ale nigdy go jej dokładnie nie opisał, więc nie potrafiła go sobie wyobrazić. Jak Rick spędzał czas ze swoimi przyjaciółmi? Lubił huczne zabawy czy może preferował spokojne wieczory z bliską osobą?

Kim nie wiedziała nawet, czy Rick się z kimś spotyka. Nie był typem człowieka, który opowiada nieznanym o swoim życiu osobistym. Teraz jednak nie byli już sobie obcy i Kim chciała mu zadać mnóstwo pytań, ale jednocześnie bała się odpowiedzi.

Rick poruszył się, przeciągnął i położył na plecach.

– Jak się czujesz? – spytała, wsparłszy się na łokciu.

– To chyba ja powinienem cię o to zapytać?

– Pytam o twoje zdrowie.

– W porządku.

Usiadł, potrząsnął głową i opadł na poduszki – Kręci mi się trochę w głowie – przyznał. – Myślisz, że dostaniemy jeszcze śniadanie?

Kim podniosła z szafki nocnej ciężki zegarek Ricka.

– Już prawie jedenasta.

– Cholera. Śniadanie podają od siódmej do dziewiątej.

– To się jeszcze okaże!

Kim wyskoczyła z łóżka i chwyciła swoje egzotyczne majtki, które leżały na najbliższym krześle. Biały koronkowy stanik był pierwszym, jaki znalazła w torbie Ricka, więc założyła go, nie chcąc tracić czasu na dalsze poszukiwania.

– Świetne zestawienie kolorów – zażartował Rick.

– Na czym ci bardziej zależy? Na śniadaniu czy na kolejnym pokazie mody?

– Co za pytanie!

– Zapłaciłeś za śniadanie, więc je dostaniesz. Ubrała się szybko w swoim pokoju w dzinsy i bluzkę, udając, że nie widzi stojącego w drzwiach Ricka. Gdy próbowała wyjść, stanął jej na drodze.

– Naprawdę nie żałujesz, że to zrobiliśmy? Położył jej rękę na ramionach i wpatrywał się w nią swoimi elektryzującymi, niebieskimi oczami.

– Ani trochę – odparła lekkim tonem, choć nie zabrzmiało to przekonująco.

– Jesteś wyjątkową osobą i za nic w świecie nie chciałbym cię skrzywdzić.

– W takim razie zamknij się, bo czuję się jak dziewczyna na jedną noc!

Na obronę Ricka można powiedzieć tyle, że w tym momencie wyglądał tak, jakby dostał mocny policzek.

– Wcale tak o tobie nie myślę!

– Na jedną noc, na jeden poranek, co za różnica! – Kim nie była dumna ze swojego wybuchu

złości. – Idę załatwić śniadanie.

Kim wyszła zwycięsko z porannej konfrontacji z gospodynią. Okazała się ona zresztą o wiele sympatyczniejszą osobą, niż się mogło wydawać, zwłaszcza gdy Kim wdała się z nią w pogawędkę na temat zaplanowanej na wiosnę naprawy komina.

Wróciła do pokoju z tacą pełną śniadaniowych przysmaków. Były na niej plasterki szynki, ciepłe bułki, miód, ciastka z cytrynowym nadzieniem, płatki kukurydziane oraz trzy dzbanki: z mlekiem, sokiem pomarańczowym i gorącą kawą.

Rick leżał w łóżku.

– Śniadanie podajemy w saloniku – oznajmiła Kim z przesadną wesołością.

– Dzięki, kochanie, ale napiję się tylko soku, jeśli jakiś przyniosłaś.

– A więc jednak jesteś chory – powiedziała z wyrzutem i współczuciem zarazem. – Dopadło cię to samo co mnie.

– Po prostu muszę się jeszcze zdrzemnąć. Dowiedziałś się czegoś na temat warunków drogowych?

– Pani de la Farge miała włączone radio. Szanse na to, że autostrada zostanie dzisiaj otwarta, są równe zero.

– Mów dalej, naprawdę potrafisz dodać człowiekowi otuchy – zażartował Rick.

– To straszne. Tkwisz tutaj, a przecież musisz udaremnić ślub.

– Tak, to straszne – przyznał Rick, uśmiechając się od ucha do ucha. – Ale pewną pociechą może być dla mnie śniadanie w łóżku.

– A jednak odzyskałeś apetyt?

– Zmuszę się do jedzenia.

Kim postawiła tacę na szafce nocnej, zdjęła džinsy i buty, po czym usadowiła się koło Ricka.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam śniadanie w łóżku – powiedziała, zalewając mlekiem płatki kukurydziane.

– Ja też nie. Czy mogłabyś łaskawie... – Rick otworzył usta jak pisklę czekające na pokarm.

– Czemu nie?

Kim zbliżyła łyżkę z płatkami do ust Ricka i zachichotała, gdy kropla mleka spłynęła mu po podbródku.

– To wymaga wprawy – powiedziała, wycierając mu podbródek chusteczką.

– Ćwicz dalej – zachęcał Rick.

– Myślałam, że nie jesteś głodny.

Po zjedzeniu śniadania znów oddali się cielesnym uciechom, których finał stanowiła popołudniowa drzemka. Kiedy się obudzili, wiatr już się uspokoił i za oknem widniało szare niebo, zwiastujące nadejście kolejnej zimowej nocy.

– Nie sądzę, aby udało mi się wydebić od naszej gospodyni kolację – powiedziała leniwie Kim.

– Zjemy na mieście. – Rick przeciągnął się i pogłaskał Kim po rękę. – Na co masz ochotę?

Palce Kim zaczęły wędrować pieszczotliwie po brzuchu Ricka.

– Miałem na myśli jedzenie.

– Nie jesteś za słaby na wychodzenie z pensjonatu? Mogę coś przywieźć. Można też zamówić pizzę.

– Wolałbym rosół.

– Do Ucha, zaraziłeś się ode mnie.

– Nie obwiniaj się. Jeśli miałas tego wirusa, ja też go chcę mieć.

– Na szczęście nie jest zbyt złośliwy i szybko ustępuje. Jakie masz objawy?

– Nieprzyzwoite myśli i ciągła żądza.

– Jesteś okropny!

Uszczypnęła go w nos i wyślizgnęła się z łóżka.

Kiedy udało im się wreszcie wyjść z pensjonatu, musieli się przedzierać przez sięgające bioder zasy pył śnieżne, żeby dotrzeć do samochodu. Na szczęście wiatr nie był zbyt silny i prowadzenie wozu nie sprawiało Rickowi większych kłopotów, choć silnik zaskoczył dopiero po kilku minutach.

Restauracja miała charakter rodzinny, a jej bałaganiacki wystrój nawiązywał do stylu lat 80. Nad boksem, w którym posadzono Ricka i Kim, wisiał drewniany konik na patyku i wiosło. Ściany sali udekorowano puszkami, starymi zdjęciami w ramkach, a nawet pułapką na myszy, łyżwą i kawałkami drutu kolczastego.

– To może być dobre – powiedziała Kim, trzymając przed sobą menu.

– Co? – Rick przejrzał już swoje nieco lepkie menu i odłożył je na bok.

– Żeberka z grilla z frytkami i kapustą.

Teraz, gdy trochę odtajał, Rick wyglądał na jeszcze bardziej chorego.

– A może wezmę tylko dużą sałatkę powiedziała Kim ze względu na Ricka, przypominawszy sobie, jak się czuła, gdy była chora.

Ostatecznie więc zamówiła sałatkę z kury, sera czedar i jeszcze kilku innych składników. Rick wybrał kawałek indyka na toście, ale połowę tej kanapki i tak musiała zjeść za niego Kim.

– Cieszę się, że cię nakarmiłem – powiedział wesoło Rick. – Po seksie zawsze bardzo chce się jeść.

– Nie zapominaj, że nie jedliśmy dziś obiadu.

– Jakoś mi to umknęło. Pewnie dlatego, że miałem myśli zajęte czym innym.

Kim chciała wierzyć, że Rick rozmyślał o mej oraz ich wspólnej przyszłości po zakończeniu tej szalonej podróży.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Czy naprawdę sądziła, że ten dzień nigdy nie nadejdzie? Po kilku dniach przymusowego postoju ruszali w dalszą drogę, lecz Kim czuła się tak, jakby już teraz żegnała się z Rickiem. Oczywiście mieli jeszcze do przejechania siedemset kilometrów, ale czy istniała jakakolwiek szansa, że kiedyś znów będą się kąpać razem w tak wielkiej wannie? Czy jeszcze kiedykolwiek obejrzą razem film w starym, zabytkowym kinie? Kim nie pamiętała już tytułu filmu, na którym byli, ale wiedziała, że nigdy nie zapomni, jak trzymali się za ręce w migoczącej ciemności, jedząc z jednej torebki popcorn, dotykając się kolanami i pieszcząc niczym zakochane po uszy nastolatki.

– To będzie nasz pierwszy raz – powiedział Rick, który nagle stanął za Kim i objął ją czule. – Pierwszy raz zdążymy na śniadanie pani Fargie.

Kim odwróciła się, zarzuciła mu ręce na szyję i rozchyliła złąknione pocałunku usta.

– Kiedy musimy oddać klucze?

– Nie kuś mnie. Jeszcze jedna taka pobudka jak dziś rano, a wyjdę stąd na miękkich nogach, jeśli w ogóle będę mógł chodzić.

– Jesteś taki wygadany – zauważyła, muskając ustami jego dolną wargę.

– Jeśli jesteś gotowa, chodźmy na śniadanie. Autostrada jest już otwarta, ale obawiam się, że nie będziemy mieli zbyt dużego tempa.

Zeszli krętymi schodami do jadalni. Ściany sali były wyklejone tapetą przedstawiającą zielone gałązki winorośli i małe, żółte kwiatki na białym tle, a w wąskich, wysokich oknach wychodzących na ośnieżony pagórek wisiały firanki. Był tam tylko jeden stół, duży i okrągły, nakryty jasnozielonym obrusem. Siedziały teraz przy nim dwie osoby: korpulentny, łysiejący mężczyzna o wydatnej szczęce i kobieta o okrągłej, roześmianej twarzy i czerwono-różowych lokach. Jej skóra była poorana zmarszczkami, wyeksponowanymi raczej niż ukrytymi pod grubą warstwą pudru.

– Młoda para w podróży poślubnej – ucieszyła się kobieta. – Bardzo nam zależało na tym, by was poznać.

Pięćdziesiąt dwa lata temu Harold i ja spędziliśmy w tym domu miodowy miesiąc. Wtedy był tu, rzecz jasna, pensjonat pani Flannagan, więc mieliśmy szczęście, że zgodziła się wynająć pokój małżeństwu. – Zjesz w końcu ten bekon, Josie? – zapytał Harold.

– Teraz już chyba wiesz, że nie dasz rady go pogryźć.

Harold wziął kilka plasterków z talerza żony i szybko się z nimi uporał.

– Siadajcie, siadajcie – powiedziała Josie, gdy już Kim grzecznie przedstawiła siebie i Ricka, podając tylko imiona, by nie musieć niczego wyjaśniać. – W czwartki Fanny robi zawsze belgijskie wafle, choć wam, słowiczki, na pewno co innego teraz w głowie.

– Nie jesteście... – zaczęła mówić Kim.

– Mieszkacie w Apartamencie Generała Dodge’a – przerwała jej Josie. – My wynajęliśmy go dwa lata temu.

– Trzy – poprawił żonę Harold.

– Nie, Haroldzie, jestem pewna, że to było dwa lata temu. Przyjeżdżamy tu regularnie, żeby odwiedzić ciotkę Harolda. Jest w domu starców, więc zawsze wynajmujemy pokój w tym pensjonacie.

– Ciotka jest w domu opieki – sprecyzował Harold, nabijając na widelec kawałek wafła leżącego na talerzu żony.

– To takie romantyczne, że jest tutaj młoda para. Miałam nadzieję, że zejdziecie na śniadanie choć raz przed naszym wyjazdem.

– Nie jesteśmy małżeństwem – sprostowała Kim w odpowiedzi na niezadowoloną minę Ricka.

– Och, nie musicie się nas wstydzić. Wiemy, co to znaczy być prosto po ślubie.

Tłuściutka, słodka kelnerka przyniosła świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy. Korzystając z okazji, Kim i Rick „zamówili do wafli jajecznicę i parówki.

Rick starał się nawiązać rozmowę z Haroldem, ale próby wymiany zdań na temat koszykówki, pogody czy warunków na drogach nie zdołały wyprzeć monologu Josie dotyczącego uroków młodzieńczej miłości. Wobec tego Rick dał za wygraną i potem już tylko siedział w milczeniu, z ponurą miną.

Kim zjadła tak szybko, że skończyła, zanim jej żołądek zorientował się, że zaczęła.

Potem spakowali się i poszli do samochodu. Przez cały czas Rick milczał na temat incydentu w jadalni.

– Podejrzewam, że gdy jest się w starszym wieku, wszyscy młodzi ludzie wydają się nowożeńcami – podjęła wreszcie temat Kim.

– Mam nadzieję, że silnik zapali. – Rick przekręcił kluczyk w stacyjce piąty albo szósty raz.

W końcu silnik zaskoczył, ale Kim doszła do wniosku, że Rick nie zamierza komentować pomyłki w jadaniach – tego, że wzięto ich za nowożeńców.

Kim czuła się jak Kopciuszek opuszczający bal, ale raczej taki, którego nikt nie będzie szukał z pantofelkiem. Jej księżę zamienił się w ponuraka.

– Na pewno czujesz się na tyle dobrze, by móc prowadzić wóz do samego Phoenix? – zapytała.

– Nic mi nie dolega. To był dwudziestoczworogodzinny wirus, taki jak twój.

– Tak, ale jeśli się zmęczysz, ja poprowadzę.

– Może gdy miniemy już Albuquerque.

Świeciło słońce i śnieg migotał jak diamenty. Dzięki temu Kim miała pretekst, by ukryć zaszkłone oczy za okularami przeciwsłonecznymi.

– Droga jest trochę oblodzona – powiedział Rick. – Nie dojedziemy zbyt szybko.

– Ważne, że dobrze się bawiliśmy – rzuciła przynętę Kim, ale Rick nie dał się na nią złapać.

Kim pragnęła teraz usłyszeć, że jest wspaniała, piękna, wyjątkowa i tak dalej. Te same słowa powiedziane w łóżku nie miały znaczenia. Teraz jednak Rick milczał i choć za oknem były piękne widoki, Kim nie potrafiła się nimi cieszyć.

Dojechali do Albuquerque wczesnym popołudniem.

Było to jedno z ulubionych miast Kim, więc żałowała, że będą w nim tylko przez chwilę.

– Zawsze chciałam przyjechać tu na festyn balonowy – powiedziała, gdy Rick zatrzymał się na stacji benzynowej. – Stare Miasto jest bardzo piękne.

Teraz ona prowadziła, a on spał. Potem było odwrotnie. To spanie na przemian miało sens, gdyż Rick uparł się, że dojedzie do rana do samego Phoenk. Chciał tam być w piątek, żeby udaremnić ślub, zniweczyć nadzieje brata na przyszłość i zniszczyć szczęście jego narzeczonej. Kim nie wierzyła jednak, że mu się to uda – że prawdziwie kochający się ludzie pozwolą, by ktoś pokrzyżował im plany.

Rick wiedział, rzecz jasna, co Kim o tym wszystkim myśli. Jego kruczata przeciwko temu ślubowi była między nimi kością niezgody.

Rick był zadowolony, gdy po krótkim postoju znów usiadł za kierownicą. Popatrzył na mapę i stwierdził, że mają niezłe tempo. Mimo to wciąż był przed nimi szmat drogi. Wyruszyli później, niż Rick by sobie tego życzył, i na górskich drogach utworzyły się płyty lodu, które opóźniały podróż.

– Nie jestem pewien, czy zdołamy dojechać tej nocy do Phoenix – przyznał, gdy Kim wsiadła do wozu.

– Łatwo zasnąć za kierownicą, jadąc po zmroku – ostrzegła.

Rick nie przejmowałby się tym, gdyby jechał sam. Uchyliłby okno, włączył radio i jakoś by sobie poradził. Teraz jednak prowadził na zmianę z Kim i bał się ryzyka.

– Może poszukamy jakiegoś motelu we Flagstaff i ruszymy w dalszą drogę wczesnym rankiem? – zaproponował. – Powinniśmy dojechać stamtąd do Phoenk w ciągu dwóch godzin.

Nie dodał, że wówczas zdąży jeszcze spotkać się z rodzinnym prawnikiem. Jeśli nie zdoła przekonać brata, by zrezygnował ze ślubu, to przynajmniej załatwi sprawę intercyzy.

Kim była romantyczką. Nienawidziła jego zdroworozsądkowego podejścia do życia, ale nie rozumiała też, dlaczego Brianowi tak fatalnie układało się z kobietami. Wbrew pozorom zdanie Kim było dla Ricka o wiele ważniejsze, niż mu się zdawało, a mimo to wciąż nie brakowało mu determinacji.

– To dobry pomysł – zgodziła się Kim. – Przenocujemy we Flagstaff.

Było już ciemno, gdy dotarli do Flagstaff. Rick uwielbiał tę część swojego rodzinnego stanu, a zwłaszcza piękne, okazałe sosny, które tam rosły. Tego wieczoru był jednak zbyt zmęczony, by zrobić cokolwiek poza udaniem się wprost do motelu. Wirus okazał się chyba groźniejszy, niż zdawało się jego ofierze. Rick myślał tylko o miękkiej poduszce, solidnym łóżku i Kim śpiącej w jego ramionach.

Znaleźli pokój w przeciętnym motelu, pozbawionym jakiegokolwiek uroku i charakteru, ale po kilku dniach spędzonych w tak wielkim przepychu była to nawet przyjemna odmiana.

– Zamówimy pizzę? – zapytał Rick z nadzieją w głosie, gdy Kim włączyła stojący pod oknem grzejnik.

– Dobry pomysł. Lubię wszystkie dodatki oprócz kanadyjskiego bekonu.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, jedli smaczną, tłustą pizzę pełną najrozmaitszych dodatków, takich jak salami, grzyby i zielona papryka.

– To najlepsza pizza, jaką jadłam – powiedziała Kim, odrywając kolejny kawałek.

– Chcesz wziąć prysznic pierwsza? – zapytał Rick, tak zmęczony i przejezdzony, że nie wiedział, czy zdoła zdjąć spodnie przed położeniem się spać.

– Wszystko jedno.

Rickowi nie było wszystko jedno. Wiedział, że jeśli pierwszy pójdzie się wykapać, Kim może do niego dołączyć pod prysznicem, a wówczas jego potrzeba snu ustąpi wobec namiętności i rano będzie jeszcze bardziej zmęczony.

– Najpierw ty się wykap – nalegał Rick.

Kiedy tylko drzwi łazienki zamknęły się za Kim, Rick rozebrał się, zgasił światło i położył się na dużym, podwójnym łóżku. Nie wątpił, że zaśnie, zanim jego towarzyszka podróży skończy się kąpać.

I rzeczywiście tak było. Rick spał osiem bitych godzin. Po przebudzeniu przeciągnął się, ale coś się nie zgadzało. Sięgnął ręką i nie znalazł nikogo obok siebie.

Kim! Rick usiadł gwałtownie, ale zaraz potem odetchnął z ulgą, widząc, że jego towarzyszka podróży śpi po drugiej stronie wielkiego łóżka. W pierwszej chwili chciał przysunąć się do niej i wziąć ją w ramiona, lecz wiedział, jaki byłby tego skutek – z pewnością nie skończyłoby się na jednym pocałunku.

Prawda jednak była taka, że Rick musiał jak najszybciej dotrzeć do Phoenix. Wstał, chwycił przybory do golenia i ruszył w stronę łazienki.

Kim była już ubrana, gdy wrócił z ręcznikiem owiniętym wokół bioder.

– Napijemy się kawy gdzieś po drodze, dobrze?

– Miło, że powiedziałaś mi dzień dobry.

– Dzień dobry, kochanie.

Rick pocałował ją szybko w usta. Kim cofnęła się o krok i zrobiła zadumaną minę. Rick był przyzwyczajony do tego, że to kobiety są mierzone wzrokiem od stóp do głów, ale tym razem role się odwróciły. Kim przyglądała mu się tak uważnie, że czuł się zbyt zakłopotany, by zrzucić ręcznik i włożyć majtki.

– Łazienka jest do twojej dyspozycji – powiedział z ulgą, gdy Kim sięgnęła wreszcie po szczoteczkę do zębów.

Dziesięć minut później bagaże były już w samochodzie. Rick obawiał się, że Kim będzie chciała prowadzić, więc na wszelki wypadek otworzył jej drzwi od strony pasażera. Nie miał

zastrzeżeń co do jej umiejętności – była świetnym kierowcą, ale chciał coś robić podczas jazdy, żeby nie zadręczać się problemami związanymi z bratem.

Rick przekręcił kluczyk w stacyjce, ale – jak zwykle – silnik nie chciał zapalić. Zazwyczaj wymagało to pięciu, sześciu prób. Tym razem jednak było ich znacznie więcej i żadna nie zakończyła się powodzeniem.

– Silnik jest zalany – zauważyła Kim.

Miała rację. Musieli poczekać, aż wyschnie. W końcu motor zaskoczył, ale dobywające się z niego odgłosy nie napawały optymizmem – charczał, piszczął i klekotał.

– Co się dzieje? – zapytała Kim.

– Nie jestem mechanikiem – odparł zirytowany Rick. Potem wysiadł z wozu i zrobił to, co w podobnych sytuacjach robią wszyscy mężczyźni: otworzył maskę. Zanim jednak spojrzął na silnik, ten zdążył już zgasnąć.

– Spróbuj go ponownie uruchomić – powiedział Rick, Kim wsunęła się za kierownicę i włączyła rozrusznik.

Silnik rzeził i kaszlał przez chwilę, po czym znowu zgasł – teraz już nieodwołalnie. Kolejne próby uruchomienia go spełzyły na niczym.

– I co teraz? – zapytał Rick, choć było to pytanie retoryczne.

Znajdowali się sto kilometrów od Phoenix, a ich sytuacja była teraz gorsza niż w Detroit.

– Oto umowa wynajmu wozu – powiedziała Kim, podając Rickowi dokument. – Jest tu numer, pod który należy dzwonić w przypadku awarii.

– To jak najbardziej wygląda na awarię.

– Na pewno podstawią w zastępstwie jakiś inny samochód – dodała optymistycznie Kim.

Za siódmym czy ósmym razem Rick połączył się w końcu z operatorem.

– Potrzebuję natychmiast innego wozu – powiedział, gdy już opisał swojemu rozmówcy liczne defekty wynajętego samochodu.

– To nie będzie takie proste – odparł operator. – Korporacja ma pewne problemy finansowe. Obsługą naszych klientów zajmuje się teraz firma Royal Rental. Oto, co musi pan zrobić.

Rick notował na małych karteczkach, które zabrał z motelu.

– Trzeba odholować wóz – zwrócił się w końcu do Kim.

Po godzinie i siedemnastu minutach przyjechał pojazd holowniczy. Kiedy zepsuty samochód został umieszczony na lawecie, Kim i Rick wsiedli do szoferki.

– Wynajmują tu ciężarówki – zauważyła Kim, gdy zajechali na duży plac na obrzeżach miasta.

– Ale prowadzimy też serwis samochodów firmy Royal Rental – zapewnił kierowca. – Będzie trzeba tylko wypełnić kilka formularzy.

Rick był przekonany, że nawet zaciągnięcie pożyczki wymagałoby mniej roboty papierkowej niż cała ta procedura. Kiedy wreszcie zaniósł do biura wypełnione formularze, kierownik wyglądał na bardzo zatroskanego i współczującego – zły znak.

– Zaraz się tym zajmiemy – zapewnił. – Powinien pan dostać odszkodowanie w ciągu dziewięćdziesięciu dni.

– Chcę samochodu, a nie odszkodowania. Muszę się dostać do Phoenix.

– Przykro mi. Nie zajmujemy się wynajmem samochodów osobowych. Świadczymy tylko usługi serwisowe.

– Umowa wynajmu jasno stwierdza, że w przypadku awarii powinienem dostać samochód zastępczy.

– Royal Rental nie oferuje takiej usługi. Pańska umowa została zawarta z...

– Tak, wiem. Proszę mi tylko powiedzieć, skąd wziąć samochód.

– Przykro mi. Najbliższa wypożyczalnia jest na lotnisku w Phoenix.

– Gdybym mógł dotrzeć na lotnisko w Phoenix, nie musiałbym wynajmować samochodu.

– A możemy wynająć ciężarówkę? – zapytała Kim.

– Przykro mi. Dzisiaj to niemożliwe, bo wszystkie są wynajęte. Najwcześniej jutro w południe.

– W takim razie co nam pozostaje? •

– Proszę zadzwonić pod numer awaryjny, który jest podany w państwa umowie. Podstawią prawdopodobnie jakiś inny samochód.

– Już dzwonił pod ten numer i skierowano nas tutaj!

Wyciągnęli swoje rzeczy z zepsutego samochodu.

– Nie był zły, póki jeździł – powiedziała Kim. – Około kilometra stąd jest parking dla ciężarówek.

– Chcesz pojechać autostopem?

– Sam masz o wiele większe szanse na złapanie okazji, bez mojego bagażu. Zresztą Jane mogłaby za wcześnie zacząć rodzić, gdyby dowiedziała się, że przyjechałam ciężarówką. Widziałeś te wszystkie niesamowite zabezpieczenia w górach?

– Tak. Ciężarówkom niełatwo jest wyhamować na tych stromych drogach. Co zrobisz, gdy pojedę?

– Wrócę taksówką do motelu. Wynajmę pokój na jeszcze jeden dzień i załatwię podstawienie zastępczego samochodu.

– Sam nie wiem...

– Jeśli będziesz ze mną czekał na nowy wóz, możesz nie zdążyć na ślub.

– Na pewno sobie poradzisz?

– Ludzie zawsze mi pomagają.

– Jesteś wspaniała. – Pocałował ją w usta, zawahał się, po czym dodał: – Nigdy tego nie zapomnę... ani ciebie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rick pocałował Kim i jednocześnie wcisnął jej w dłoń plik banknotów. Jego usta były zimne.

Kim cierpiała z powodu tego, że musi wziąć pieniądze od Ricka, i przysięgła sobie, że zwróci wszystko co do centa, nawet gdyby oznaczało to konieczność zapożyczenia się u Jane.

Rick zaczął teraz instruować Kim, co powinna zrobić, żeby podstawiono jej zastępczy samochód. Nie słuchała go. Była zawiedziona i rozczarowana. Jeszcze do niedawna miała nadzieję na wspólną przyszłość z Rickiem. Niekoniecznie na małżeństwo, ale przynajmniej na możliwość bycia z nim.

Zależało mu wyłącznie na udaremnieniu ślubu brata. Postanowił więc zostawić ją z zepsutym autem i jakąś lichą radą na obrzeżach dziwnego miasta. Wprawdzie Kim sama zaproponowała, by pojechał bez niej, ale zrobiła to tylko po to, by mógł się nie zgodzić i powiedzieć, że absolutnie nie potrafiłby się z nią rozstać.

– Poradzę sobie – przerwała mu Kim.

– Jasne, że tak.

Uśmiechnął się, ale nie miało to dla niej w tej chwili żadnego znaczenia.

Potem odszedł szybkim krokiem wzdłuż szosy, rycerz niosący ratunek swojemu bratu, ocalenie przed koszmarem małżeństwa.

Gdyby czuł do niej to, co ona do niego, na pewno by jej nie zostawił – niezależnie od tego, co mu powiedziała. Kim miała ochotę wybuchnąć głośnym płaczem, ale wciąż pozostawał do rozwiązania problem dotarcia do Phoenix. Samochód, autobus, muł – środek transportu był jej zupełnie obojętny. Najpierw jednak wezwała taksówkę i wróciła do motelu.

O dziwo, dostała ten sam pokój. Zapłaciła za niego kartą kredytową. Taksówkarzowi jednak musiała zapłacić pieniędzmi Ricka.

Przed podjęciem kolejnej próby skontaktowania się z wypożyczalnią samochodów zadzwoniła do siostry.

– Jane – powiedziała z wymuszoną wesołością, gdy jej siostra odebrała telefon – jestem już coraz bliżej. We Flagstaff.

– Wspaniale! Kiedy tu będziesz, za dwie godziny?

– Może jutro. Zepsuł się wynajęty samochód. Muszę poczekać, aż podstawią zastępczy. Dzisiaj już raczej nic z tego nie będzie.

– Och, Kim, przykro mi, że masz tyle problemów z mojego powodu. Ale wiesz co? Jest już z nami Luke! Wrócił wcześniej, bo się o mnie martwił.

Jane tryskała radością i Kim również ucieszyła się ze względu na siostrę. Z drugiej strony jednak zrobiło jej się trochę smutno. Zadała sobie tyle trudu, by dotrzeć do Phoenix, a Jane już jej nie potrzebowała. Odzyskała swojego cudownego męża, a z czym została Kim? Jej towarzysz

podróży – nie wiedziała, jak inaczej mogłaby go określić – opuścił ją bez wahania, by kontynuować swoją prywatną krucjatę przeciwko szczęściu małżeńskiemu.

– Peter chciałby zamienić z tobą parę stów. Siostrzeniec podzielił się z Kim radosnymi nowinami:

tata obiecał zbudować domek na drzewie, tata przywiózł pięknego lwa...

– Ale nie żywego – wyjaśnił Luke, wzięwszy od syna słuchawkę, po czym podziękował Kim, że mimo tylu przeciwności starała się jak najszybciej dotrzeć do lane. zaproponował też, że przyjedzie po nią do Flagstaff, ale Kim stanowczo mu zabroniła.

– Nie waz się opuszczać żony – ostrzegła.

– Tak jest!

Kim odłożyła słuchawkę, a potem postanowiła się uporać ze sprawą zastępczego auta. Przedstawiciele wypożyczalni zgodzili się w końcu podstawić samochód, kiedy tylko będą mieli jakiś do dyspozycji, czyli około południa następnego dnia. Tymczasem przesyłali faksem do motelu rozmaite formularze, które należało jak najszybciej wypełnić i odesłać.

Jane już jej nie potrzebowała, a Rick pojechał. Czy mężczyzna, który naprawdę kocha kobietę, nie zapomniałby o bożym świecie, żeby móc z nią wypełniać te paskudne formularze?

Resztę dnia Kim spędziła na oglądaniu oper mydlanych i jedzeniu chipsów. Istnieje łatwy sposób na rozwiązanie problemów obecnych w melodramatach, pomyślała. Wystarczy usunąć ze scenariuszy wszystkich złych mężczyzn, a wówczas życie stanie się bardzo proste.

Nazajutrz rano obudziło Kim pukanie do drzwi. Spojrzała na zegarek; było dopiero parę minut po ósmej. Musiała otworzyć na wypadek, gdyby okazało się, że podstawiono zastępczy wóz. Zamierzała jednak powiedzieć kierowcy, co sądzi o budzeniu ludzi o tak wczesnej porze, i to bez uprzedzenia.

Przemknęło jej przez myśl, że to może być Rick, ale gdy spojrzała przez wizjer, jej nadzieja została natychmiast zniweczona. Kim uchyliła drzwi, nie zdejmując łańcucha.

Mężczyzna był niski i szczupły, miał króciutkie wąsy, ale jego strój – granatowa marynarka ze srebrnymi guzikami i szoferska czapka – nadawał mu niezwykle dostoyny i elegancki wygląd.

– Pani Grant – powiedział oficjalnym tonem.

– Tak?

– Limuzyna jest do pani dyspozycji.

– Limuzyna?

– Poczekam tam.

Szofer wskazał długą limuzynę zajmującą trzy czy cztery miejsca parkingowe. Stała niedaleko drzwi do pokoju Kim.

Kim spodziewała się jakiejś rekompensaty ze strony firmy, ale nie aż takiej.

– Przysłała pana wypożyczalnia samochodowa? – zapytała.

– Nie, proszę pani. Pracuję w firmie specjalizującej się w wynajmie limuzyn. Oto moje uprawnienia. – Pokazał licencję oraz identyfikator. – Jeśli chce pani zweryfikować moje dane,

mogę podać numer do naszego biura.

Kim popatrzyła na wspaniały, szary wóz.

– Nie trzeba. Ta limuzyna to wystarczający dowód, ale kto ją zamówił?

– Przykro mi, ale nie wiem. Czy mogę pani w czymś pomóc?

– Wystawię bagaże za drzwi, gdy będę gotowa. Ależ Luke i Jane sprawili mi niespodziankę, pomyślała Kim. Choć podróż trwała cały tydzień, koniec będzie nader efektowny.

Kim wzięła prysznic i szybko się ubrała. Mogli płacić za limuzynę od godziny, więc nie było sensu się ościagać.

Jedynie, czego brakowało w luksusowym aucie, to Rick. Powinni pokonać ostatni odcinek podróży razem.

Szofer imieniem William włożył bagaże do wozu, otworzył tylne drzwi i pokazał Kim lodówkę, w której czekało na nią wykwintne, zimne śniadanie: truskawki i melony, topione serki w trzech smakach, kajzerki, słodkie bułeczki i fantazyjnie zwinięte plasterki szynki. Oprócz tego był tam bogaty wybór soków w małych buteleczkach oraz szampan.

Kim postanowiła zacząć od truskawek i szampana. Gdyby nie tęskniła tak bardzo za Rickiem, byłaby na pewno oszołomiona: dość miejsca, by wyprostować nogi, elegancka, wiśniowa tapicerka i interkom na wypadek, gdyby Kim chciała się skontaktować z szoferem, oddzielonym od niej szklaną przegrodą.

Po spróbowaniu wszystkich przysmaków i wypiciu szampana Kim zachciało się spać. Niebawem więc słodko zasnęła.

Obudziła się nagle i aż drgnęła. To nie była autostrada I-17 do Phoenk. Kim potrafiła odróżnić drogę szybkiego ruchu od bocznej szosy.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała.

William nie odpowiedział. Oczywiście, że nie! Należało skorzystać z interkomu.

Teraz jednak Kim, przesadziła, bo spanikowana wrzasnęła do słuchawki:

– Dokąd mnie pan wiezie?!

William był zbyt dobrze wyszkolonym szoferem, by podniesiony głos Kim mógł go zbić z tropu.

– Do Sedony, proszę pani. Interkom jest dość czułym urządzeniem.

– Chcę jechać do Phoenix. – Kim zniżyła nieco głos, próbując przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek czytała książkę, której bohaterkę uprowadzono limuzyną.

– Dostałem ścisłe instrukcje, pani Grant. Mam jechać do Sedony. Może pani zadzwonić do naszego biura i sprawdzić.

Na pewno istniał jakiś plan. Każdy mógł być pod numerem podanym przez tego człowieka i powiedzieć to, czego oczekiwał porywacz. Z drugiej strony jednak kierowca mógł mówić prawdę, a wtedy Kim wyszłaby na idiotkę.

Była większa od Williama. Może powinna się jakoś zabarykadować z tyłu i czekać, aż nadejdzie pomoc?

Sprawiła telefon komórkowy. Działał. Zaczęła się zastanawiać, czy nie przesadza. W końcu ile ofiar porwań dostaje śniadanie z szampanem?

Nagle zrobiło jej się głupio. Dziadek Luke'a mieszkał w Sedonie. Może postanowili spotkać się z nią właśnie tam. Sedona to piękne miasteczko, usytuowane między czerwonymi skałami, mekka turystyczna zamożnych ludzi. Kim zachichotała na myśl, że może się tam mieścić baza gangu porwaczy.

Kierowca pokonywał trudne zakręty na górskiej drodze z dziecinną łatwością, ale Kim wątpiła w to, że uda mu się znaleźć ten dom bez jej pomocy. Włączyła interkom, ale nic nie powiedziała, bo nagle limuzyna skręciła w prywatną alejkę z łukowatą bramą i tablicą, na której widniał napis „Los Paradiso”. Kim nie miała wątpliwości, że jest tu po raz pierwszy.

Auto zatrzymało się na kolistym podjeździe przed hotelem w stylu hiszpańskim. Kim dostrzegła najpierw korty tenisowe, stajnie i otoczony płotkiem staw, a potem stojącego przy krawężniku mężczyznę i nie mogła już oderwać od niego wzroku.

Rick otworzył drzwi limuzyny.

– Kazałeś mnie tu przywieźć! – Kim była podekscytowana, choć nie bardzo wiedziała, czy z powodu gniewu, czy radosnego uniesienia.

Rick uśmiechnął się.

– Nakłoniłeś brata do odwołania ślubu? Wcześniej Kim nawet przez chwilę nie wątpiła, że Rickowi się to nie uda, ale to było jedyne logiczne wytłumaczenie jego obecności. W przeciwnym razie bowiem Rick byłby teraz w Phoenix i przygotowywał się do uroczystości ślubnej.

– Porozmawiamy o tym w naszym pokoju.

– W naszym pokoju?

Kim spojrzała na jego wyciągniętą dłoń, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Proszę, wysiądź.

– Siostra czeka na mnie w Phoenix.

– Już nie. Rozmawiałem z nią.

– Przecież ona cię nie zna.

– Prawdę mówiąc, złożyłem im wizytę. Jane jest w świetnej formie. Tych dwoje ludzi jest dla siebie stworzonych. Luke wrócił wcześniej, bo miał przeczucie, że Jane go potrzebuje.

– Peter na mnie czeka – nie ustępowała Kim.

– Jest teraz pochłonięty zabawą w budowniczego. Pomaga ojcu budować domek na drzewie. Wbija gwoździe prawdziwym młotkiem. Przytrzymałem mu je i dlatego mam palce w bliznach.

– Czyżby? – Kolejne słowa Ricka, w które Kim nie wierzyła.

– Żartowałem, ale przed wyjściem od nich zajrzałem na wszelki wypadek do kieszeni, żeby sprawdzić, czy nie ma w nich jaszczurek.

– Kiedy to było?

– Porozmawiamy na górze.

Rick podszedł do kierowcy i pochwalił go za dobrze wykonane zadanie. Potem podał Williamowi czek. Na jego widok szofer rozpromienił się niczym zwycięzca teleturnieju, a następnie zabrał się energicznie do wyjmowania bagaży.

– Nie powiedziałam, że tu zostanę.

Kim wysiadła z limuzyny i zobaczyła, że pracownik hotelu ubrany w czarny garnitur, białą koszulę i błękitny krawat bierze jej bagaże.

Rick wziął Kim za rękę i nie miała już wyboru. Mogła z nim iść albo urządzić mu scenę, a to drugie rozwiązanie nie wchodziło w grę.

– Jesteś wściekła, bo zostawiłem cię samą we Flagstaff – szepnął jej do ucha.

– Nie jestem wściekła. Poradziłam sobie. Podstawia mi samochód w południe.

– Odwołałem to.

– Skąd wiedziałeś, że zechcę pojechać tą limuzyną? I jakim cudem zdążyłeś odwiedzić moją siostrę, wynająć limuzynę, załatwić sprawę z tamtą wypożyczalnią, zarezerwować tu pokój i...

– Mam pracowników.

– Myślałam, że jesteś doradcą komputerowym.

– Jestem, ale przecież nie mogę prowadzić firmy sam.

– Ilu ludzi zatrudniasz?

– Około trzydziestu.

– Och! – Kim postanowiła zamilknąć.

Przeszli przez hol, w którym przy sztucznym strumyku wypełnionym dużymi złotymi rybkami stała rzeźba przedstawiająca nimfę. Obsługa była niezwykle dyskretna, Kim nie zauważyła nawet recepcji. Czekala na nich otwarta winda. Pojechali na ostatnie piętro. Rick położył dłoń na biodrze Kim – sprawił jej tym tak wielką przyjemność, że aż się przestraszyła – i zaprowadził ją do pokoju. Pomieszczenie było przestronne i urządzone w stylu charakterystycznym dla południowego zachodu. Dominowały stonowane, pustynne kolory, które Kim uwielbiała. W pokoju stało podwójne łóżko, komoda i szafa na ubrania. Wszystkie meble były dębowe.

Rick zamknął drzwi, przyciągnął Kim do siebie i zaczął ją całować tak namiętnie, że niemal uwierzyła, iż nic poza tym się nie liczy.

A jednak liczyło się.

– Udaremniałeś ślub?

Kim próbowała się uwolnić z uścisku, ale Rick wcale nie zamierzał jej puścić.

– Nie.

– Nie przejęli się twoimi obiekcjami?

– Nie zgłosiłem żadnych obiekcji.

– Nie?

– Chcę porozmawiać o nas, a nie o nich.

Kim też tego chciała, ale sprawa ślubu nie dawała jej spokoju. Czyżby doszło do jakiejś poważnej sprzeczki między Rickiem a jego bratem?

– Dlaczego nie jesteś na ślubie?

– To staroświecka uroczystość bez żadnego znaczenia. Zresztą nie jestem tam potrzebny.

– Ślub nie jest bez znaczenia!

– Usiądź, opowiem ci wszystko po kolei.

Rick pociągnął Kim w dół, żeby usiadła obok niego na brzegu łóżka, po czym ujął w obie ręce jej dłonie. Westchnął głęboko i wyjaśnił:

– Przyjechałem ciężarówką, wiozącą pralki produkowane w stanie Iowa.

– To mało istotne!

Kim wiedziała, że Rick celowo podaje te nieistotne szczegóły, chcąc w ten sposób wystawić jej cierpliwość na próbę.

– Dotarłem do domu i umyłem się.

– Rick! Zaraz mi powiesz, że odsłuchałeś wiadomości z automatycznej sekretarki i otworzyłeś pocztę.

Rick uśmiechnął się i ścisnął dłonie Kim.

– Nie, pojechałem prosto do brata. Była tam jego narzeczona. Można by rzec, że stworzyli już coś w rodzaju domu.

– Na pewno ci się to nie spodobało. Nie poprosili cię o pozwolenie.

– Pozwól mi skończyć. – Podniósł dłoń Kim do swoich ust i gryzł lekko jej palce, aż w końcu cofnęła rękę.

– Opowiedz o ślubie.

– Poznałem Melinę – kontynuował Rick – i to była dla mnie cenna lekcja.

– Spodobała ci się? – zapytała z nadzieją Kim.

– Byłem nią oczarowany. Jest cudowna. To ładna, drobniutka blondynka...

– Wystarczy!

Kim podkurczyła swoje długie nogi. Pierwszy raz w życiu żałowała, że jest wysoka.

– Najważniejsze jednak, że jest zakochana po uszy w Brianie, choć, prawdę mówiąc, nie wiem, co ona w nim widzi.

– Chyba naprawdę ci się podoba.

– Owszem. A poza tym w ogóle jej nie zależy na pieniądzach Briana. Ma ich prawdopodobnie więcej od niego, o czym mój kochany braciszek zapomniał mi nadmienić. Powiedział, że chciał, bym ją polubił za to, jaka jest. Jest mi teraz trochę głupio.

– Trzeba ją było najpierw poznać, a potem się czepiać.

– Dzięki za poprawienie mi nastroju – powiedział Rick, szczerząc zęby. – Nie powinienem być z góry zakładać, że Brian popełnia kolejny wielki błąd. Jedyne, co mnie trochę usprawiedliwia, to wcześniejsze dokonania brata na tym polu. Skąd mogłem wiedzieć, że obu braciom Traylor tak się poszczęści?

– Rozwiń tę myśl.

– Chciałaś wiedzieć, co się wydarzyło, więc dokończę – rzekł stanowczo Rick.

– Powiedz mi, dlaczego nie poszedłeś na ślub.

– Rick tego nie chciał.

– W to na pewno nie uwierzę!

– Opowiadałem mu do trzeciej nad ranem, jaka jesteś wspaniała. Powiedział, że jestem idiotą, skoro zostawiłem cię samą, i tak oto po raz pierwszy w życiu okazał się mądrzejszy ode mnie. Zapewnił mnie, że nic nie jest ważniejsze od tego, byśmy ukończyli tę podróż razem.

– Sama zaproponowałam, żebyś pojechał – przypomniała Kim.

– Miałaś odwagę wysłać mnie do Phoenix, choć za nic w świecie nie chciałaś, bym mieszał się w sprawę ślubu.

Kim wzruszyła ramionami, a wtedy Rick objął ją jedną ręką.

– Nie chodziło tylko o ślub – przyznał z trudem. – Uciekałem od ciebie.

Kim zeszywniała, obawiając się, że Rick chce się z nią po prostu w dżentelmeński sposób pożegnać.

– Wiem, że zależy ci na trwałym związku. Nigdy nie miałem odwagi uczynić tego kroku. Winę za moją niechęć przypisywałem zawsze moim rodzicom, ich małżeńskim porażkom. Jednak prawda jest, taka, że bałem się ryzyka.

– Pragnę być z tobą tak długo, jak zechcesz. Bez żadnych zobowiązań – szepnęła.

Kim miała wrażenie, że zaraz zemdleje, jeśli Rick nie weźmie jej w ramiona i nie powie w końcu, co właściwie do niej czuje. On jednak wstał, a potem uklęknął na podłodze i ujął jej dłonie.

– Kocham cię, Kim. Chciałbym się z tobą ożenić, jeśli mnie zechcesz.

Kim przymknęła na chwilę powieki. Gdy je otworzyła, Rick wciąż tam był.

– Wiem, że znamy się dosyć krótko – mówił dalej Rick. – Jeśli potrzebujesz więcej czasu... Poczekam tak długo, jak będziesz chciała, ale wołałbym nie.

– Ja też. – Kim zdobyła się wreszcie na zrozumiałą odpowiedź.

– Czy to znaczy, że...

– Naprawdę chcesz się ożenić?

– Chcę się ożenić z tobą. Kocham cię, Kim. Jesteś moją drugą połową. Gdy zostawiłem cię we Flagstaff, wszystko straciło dla mnie znaczenie. Oprócz ciebie.

– Teraz tak czujesz...

– Zawsze będę cię kochał – zapewnił Rick, biorąc Kim w ramiona.

– Jeszcze się nie rozmyśliłeś?

– Nie, nie, nie – odparł zdecydowanie, przypieczętowując tę rytmiczną odpowiedź pocałunkami. – Jak długo każesz mi cierpieć?

– Przynajmniej do końca życia.

Wtuliła się w niego mocno.

– Tak długo mam czekać, aż powiesz, że ty też mnie kochasz?

Rick wydawał się zbity z tropu, a Kim zależało teraz tylko na tym, by go uszczęśliwić.

– Oczywiście, że cię kocham! Uwielbiam. Nigdy nie sądziłam, że kogoś tak mocno pokocham.

Położyła mu (Bonie na skroniach, przyciągnęła jego głowę i zaczęła go całować namiętnie w usta.

– Na jak długo mamy ten pokój? – zapytała Kim rozmarzona.

Rick roześmiał się.

– Nie wynajmują go na godziny. Ale zaczekaj. Mam coś dla ciebie. – Rick sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął małe, ciemne, aksamitne pudełeczko. – Jeśli ci się nie spodoba.

– To wykluczone – odparła Kim i zaświeciły jej się oczy.

Rick otworzył eleganckie pudełeczko i wyjął z niego złoty pierścionek z dużym, połyskującym brylantem.

– Jest doskonały. Tak jak ty.

Na widok pierścionka Kim zaparło dech w piersi.

– Jest naprawdę piękny – przyznała.

– Tak jak ty – zrewanżował się Rick. – Co powiesz na ślub w Las Vegas?

– A jak tam dotrzemy?

– Samolotem, pociągiem albo na wielbłądzie.

– Znając nasze szczęście, samolot by się zepsuł, pociąg zapalił, ^ wielbłąd utknąłby w burzy piaskowej.

– Racja, A więc Phoenix?

– W domu Jane, w salonie. Peter na pewno chętnie potrzyma obrączki.

– Nie liczyłbym na to. Chyba że przywiążemy mu je do nadgarstka.

– Widzę, że już go dobrze poznałeś. Wsunął jej zaręczynowy pierścionek na palec.

– Nie tak dobrze, jak chcę poznać ciebie, kochanie.